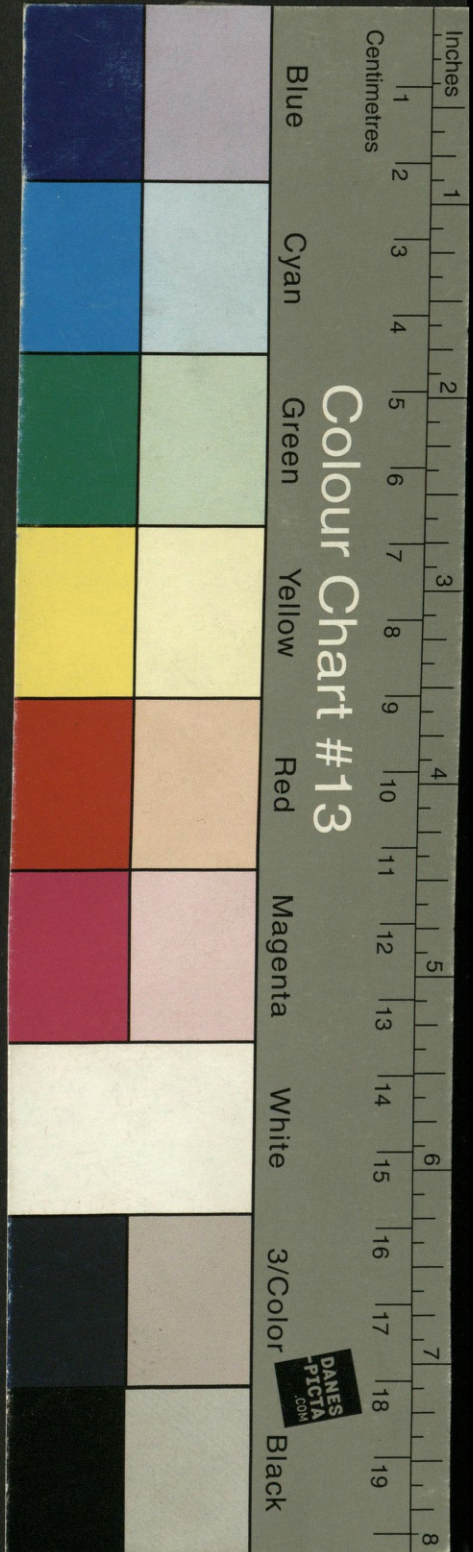
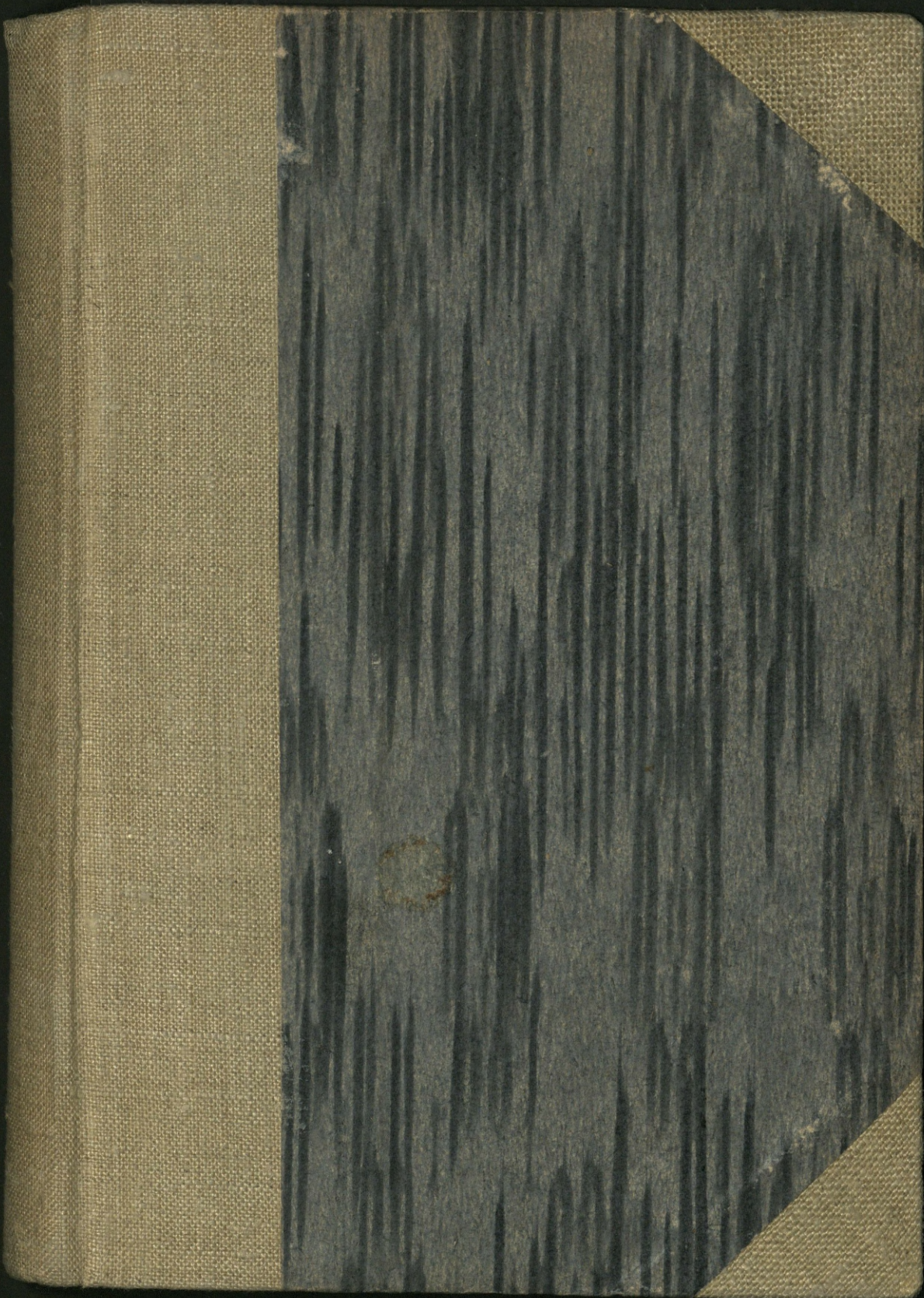


Grey Scale #13

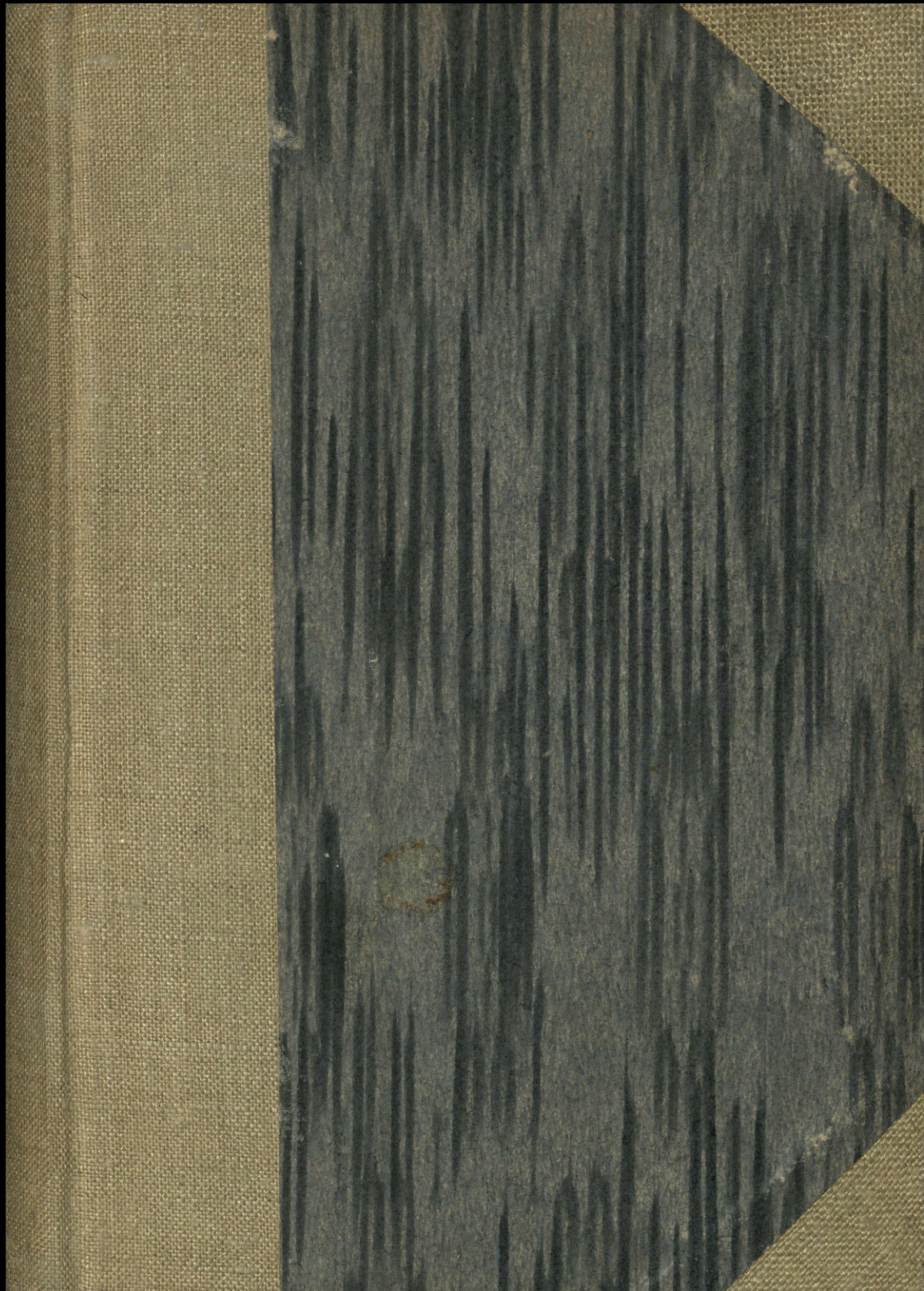


A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13





KWESTJA ROLNA W GALICJI

cc

WESTLA BULLY W. G. (1911)

ZDZISŁAW LUDKIEWICZ



KWESTJA ROLNA W GALICJI



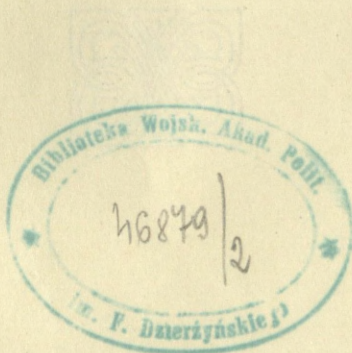
LWÓW
NAKŁADEM AUTORA
KSIĘGARNIA GUBRYNOWICZA I SYNA
1910

33.2 : 93/438/11

PROF. DR. H. C. W. L. ANCZYCA

KWESTIA ROLNA W GAIKACH

KSIĄŻKA TA ZŁOŻONA BYŁA JAKO PRACA DYPLOMOWA
:: AUTORA W AKADEMII ROLNICZEJ W DUBLANACH. ::



WYDAWCA
WYDZIAŁ WYDAWNICZY
AKADEMII ROLNICZEJ W DUBLANACH

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

SPIS RZECZY.

Przedmowa	Str. VII
Wstęp	1

ROZDZIAŁ I.

Położenie ekonomiczne ludności rolniczej w Galicji	5—75
Stosunki posiadania w rolnictwie galicyjskim	5
Produkcja rolnicza i leśnicza	25
Przyczyny niskiego poziomu produkcji rolniczej	44
Parcelacja dworów	65

ROZDZIAŁ II.

Emigracja zarobkowa naszej ludności rolniczej	76—151
Emigracja jako zjawisko ogólnoeuropejskie	76
Nasza emigracja sezonowa	80
Wychodźstwo zarobkowe do Ameryki	122
Znaczenie emigracji zarobkowej dla nas i projektu jej regulacji	136

ROZDZIAŁ III.

Akcja społeczno-rolnicza w Galicji	152—252
Materiał w ludziach do tej akcji	152
Institucje kierownicze w pracy społ.-roln.	158
Opracowywanie metod techniki rolniczej	162
Praca oświatowo-rolnicza	165
Szkoły rolnicze	172
Popieranie czynne rolnictwa	182

	Str.
Kooperatywy handlowo-rolnicze	189
Kooperatywy rolnicze wytwórcze	196
Spółki oszczędności i pożyczek wiejskie	201
Akcja podnoszenia kultury ogrodniczej	205
Drenowanie	211
Komasacja	216
Kredyt rolny	225
Włości rentowe	232
Regulacja parcelacji	236
Asekuracja	241
Projekt przymusowego związku zawodowego rolników	243

ROZDZIAŁ IV.

Uprzemysłowienie kraju oraz wychodźstwo osadnicze, jako czynniki rozwiązania kwestji przeludnienia w Galicji 253—270	
Sprawa uprzemysłowienia kraju	253
Emigracja osadnicza	258

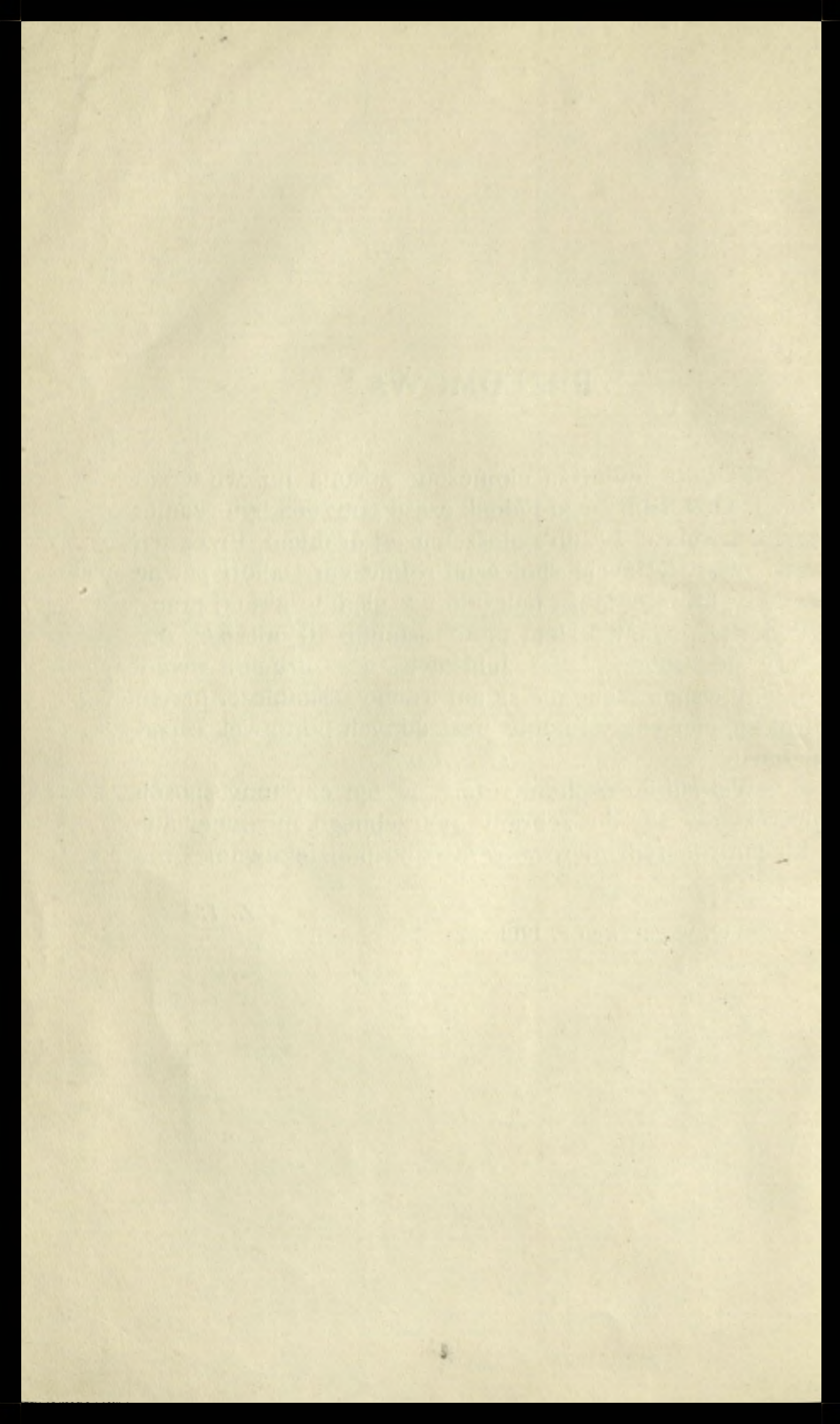
PRZEDMOWA.

Książka niniejsza ukończoną została już we wrześniu r. 1909. Dłuższego jednak czasu potrzeba było, zanim mogłem zabrać się do ogłoszenia jej drukiem. Przez ten czas zaszły w życiu społeczno-rolniczym Galicji pewne zmiany, któreby może należało uwzględnić w mej pracy. Ponieważ jednak byłem przez ostatnie 10 miesięcy odcięty od Galicji i jej bibliotek, a z drugiej strony zmiany wspomniane nie są ani trochę zasadnicze, przeto drukuję pierwotny rękopis bez żadnych poprawek i uzupełnień.

Wszystkim osobom, które w ten czy inny sposób przyczyniły się do zebrania potrzebnego mi materiału, składam na tym miejscu serdeczne podziękowanie.

Z. L.

Kęty, w czerwcu r. 1910.



WSTĘP.

Stara, a przez wielu ekonomistów zwalczana teoria Malthusa nigdzie nie znalazła tak dobrego potwierdzenia swej prawdziwości, jak w Galicji. Ludność tego kraju zagęszcza się coraz bardziej, produkcja zaś jego wcale w tym stosunku nie wzrasta. Powstaje więc groźna kwestja przeludnienia, tym niebezpieczniejsza dla nas, iż hasła uprzemysłowienia kraju, któreby miało być środkiem zaradczym na to, rozbijają się z jednej strony o przeszkody naturalne i ekonomiczne, z drugiej o zbyt małą ruchliwość ekonomiczną warstw posiadających społeczeństwa naszego. Łącznie z przeludnieniem występuje druga, nie mniej dotkliwa bolączka społeczna — nieprzystosowanie rolnictwa, a ściślej mówiąc gospodarstw rolnych i gospodarzy, do wymogów istniejących na terenie galicyjskim warunków ekonomicznych. Obok więc kwestji przeludnienia występuje kwestja rolna, pozostająca z nią w stosunku ściślej współzależności.

Zaognienie tych kwestji, wywołać musiało pewną reakcję w warstwach najbardziej niemi dotkniętych — w ludności rolniczej. Powstaje więc silny prąd emigracji zarobkowej, a częściowo i osadniczej, porywający

za sobą z każdym rokiem coraz liczniejsze rzesze. Emigracja ta, jako środek zaradczy na rozwiązanie tamtych kwestji, stapia się z niemi w jedną całość, tak że bez jej rozważenia, nie można też dojść do sądu jasnego ani o kwestji przeludnienia, ani o kwestji rolnej.

Sam wyraz — kwestja rolna — może być różnie interpretowany. W literaturze ekonomicznej nie zawsze autorowie poszczególni, mówiąc o niej, mówią o rzeczach tych samych. Często przeciwnie tym samym wyrazem określają zjawiska w dosyć dalekim względem siebie pokrewieństwie się znajdujące. W każdym razie słowo »kwestja« oznacza już, iż mowa jest o pewnym stanie nienormalnych, patologicznym omawianego zjawiska lub zespołu zjawisk. Nienormalność owa może być jednak zależną tylko od zasadniczego punktu patrzania na rzecz omawianą. Dajmy na to, iż autor jest zwolennikiem nacjonalizacji ziemi i dojścia przez to do pewnego idealnego typu gospodarstw. Dla niego kwestją rolną będzie więc odchylenie położenia obecnego rolnictwa od owego stanu idealnego. Dla »trudowików« rosyjskich ideałem ułożenia się stosunków rolnych byłoby oddanie całej ziemi chłopom — dla nich więc kwestję rolną stan obecny wykazuje o tyle, o ile odbiega od tego ideału.

Można jednak wyraz ten — kwestja rolna — rozumieć, że tak powiem, bardziej praktycznie, t. zn. za ideał postawić nie doktrynę jakąś, lecz takie ukształtowanie w obecnym już ustroju społecznym stosunków produkcji rolnej i połączonego z nią zaludnienia rolniczego, aby produkcja ta wykazywała maximum swej wysokości, a ludność rolnicza miała z niej jak największe i jak najwszechstronniejsze zaspokojenie swych potrzeb, a więc nie byłaby narażona ani w całości ani w poszczególnych warstwach na te lub inne skutki

braku podstaw materialnych do życia. Z tego stanowiska wychodząc, nie można oczywiście znaleźć kraju, któryby kwestji rolnej nie posiadał wcale, ponieważ od ideału założonego zawsze stan jego mniej lub więcej różnić się będzie. Jednakże stopień zaognienia tej kwestji jest w różnych krajach bardzo różny, a u nas w Galicji ze szczególną siłą występuje.

Mówiąc więc o kwestji rolnej w Galicji mam na myśli to odbiegnięcie położenia naszego rolnictwa i ludności rolnej od idealnego tego stanu, oraz dążenie czynników do tego powołanych do zbliżenia się do owego ideału. Wobec tego powinienem omówić położenie i braki rolnictwa naszego wraz z położeniem ekonomicznem ludności rolnej, wykazać w jaki sposób ludność ta radzi sobie na brak środków do życia, których już jej rola dostarczyć nie może, zbadać wartość tych środków i ich następstwa, później omówić dążenie społeczeństwa do poprawy stanu rzeczy, czyli do rozwiązania kwestji oraz zanalizować te czynniki, któreby w przyszłości lekiem na tę bolączkę być mogły.

Stosunkowo wiele miejsca poświęcam emigracji zarobkowej, będącej najsilniejszym środkiem zaradczym naszej ludności rolnej na brak podstaw materialnych do życia. Czynię to, ponieważ sprawa ta urosła już u nas do jednego z najważniejszych objawów życia ekonomicznego wsi, a pomimo to jest silnie zapoznana przez całe niemal społeczeństwo.

...the ... of the ...
...the ... of the ...
...the ... of the ...
...the ... of the ...

...the ... of the ...
...the ... of the ...
...the ... of the ...
...the ... of the ...

...the ... of the ...
...the ... of the ...
...the ... of the ...
...the ... of the ...

...the ... of the ...
...the ... of the ...
...the ... of the ...
...the ... of the ...

...the ... of the ...
...the ... of the ...
...the ... of the ...
...the ... of the ...

ROZDZIAŁ I.

Położenie ekonomiczne ludności rolniczej w Galicji.

Galicja, wązkim a długim pasem okalająca Karpaty, nosi na sobie wybitne piętno kraju podgórskiego. Wprawdzie dolina nadwiślańska, Podole i wogóle cała północno-zachodnia połać kraju zatracają typ podgórski w zupełności, mimo to jednak całokształt warunków naturalnych gospodarstwa rolnego Galicji wykazuje bardzo wyraźnie wpływ gór. Przeważają więc role o położeniu górzystym, trudne do uprawy, często niedostępne. Lasy i pastwiska w stosunku do ogromnego popytu na grunta uprawne zajmują przestrzeń bardzo znaczną, bo pierwsze aż 26 blisko procent, drugie 9%. Ogólna przestrzeń kraju wynosi 7.849.200 hektarów¹⁾, z tego przpada na:

role	3.799.575 ha t. j.	48.4%
łąki	874.956 » »	11.2%
ogrody	109.249 » »	1.4%
pastwiska hale i połoniny	750.337 » »	9.5%

¹⁾ Większość cyfr statystyki Galicji podaję za Bujakiem (Fr. Bujak: »Galicja« T. I.). Chcąc uniknąć zbyt wielkiej ilości odnośników, nie przytaczam za każdym razem tego źródła, natomiast przy danych skąd inąd branych, źródło już tamto podaję.

lasy	2.020.212	»	»	25.8%
stawy i moczary	20.924	»	»	0.3%
nieużytki	273.930	»	»	3.5%

Przestrzeń więc rolnicza, t. j. role, łąki, pastwiska i ogrody wynosi razem 5.534.117 ha czyli 70.5% ogólnej przestrzeni. Te więc pięć i pół miliona hektarów ziemi są właściwymi karmicielami ludności rolniczej, ponieważ las z natury swej jest kulturą najbardziej ekstenywną, najbardziej zbliżoną do tego stanu, że dochód netto niemal się nie różni od dochodu brutto. To zaś pociąga za sobą skupianie się całego niemal dochodu społecznego z tych przestrzeni w rękach nielicznych jednostek — właścicieli lasów, właściwa zaś ludność rolnicza uzyskuje z kultury leśnej tylko nieznaczną część dochodu ogólnego.

Gęstość zaludnienia Galicji jest bardzo wysoka. Podług spisu z r. 1900 liczyła ona 7.316.000 mieszkańców. Na kilometr kwadratowy wypadło wtedy 93 osoby przeciętnie; cyfra ta podnosiła się w niektórych okolicach o wiele wyżej, że wspomnę tylko o czysto rolniczych powiatach, jak Przeworsk liczący 124 osoby na klm², Rzeszów — 136, Tarnów — 139 i t. d. Obecnie ilość zaludnienia znacznie się podniosła. Obliczając podług naturalnego przyrostu lat ostatnich, dochodzi się do przekonania, iż obecnie, w roku 1909, ogólna liczba ludności wzrosła do 8 milionów albo i 8.100.000. Na kilometr kwadratowy wypadłoby w takim razie już 104 osoby. Dla porównania można przypomnieć, że cała Austria posiada 87 osób na klm² (r. 1900), Niemcy 112 (1905), Królestwo Polskie 91 (1909), Francja 73 (1906), Danja 66 (1906), Irlandja 53 (1901) i t. d.

Przeważna część ludności Galicji żyje z rolnictwa, t. j. z uprawy własnych i wydzierżawionych gruntów, z zarobków w rolnictwie i z emigracji zarobkowej,

przy oparciu się jednak i w ostatnim wypadku o gospodarstwo rolne w kraju.

Naogół w Galicji z rolnictwa żyje 76.82% ludności*);

w Austrii całej	52.43 ⁰ / ₀ ¹⁾
w Księstwie Poznańskim	58.17 ⁰ / ₀ ²⁾
na Śląsku Pruskim	35.90 ⁰ / ₀ ²⁾
w Niemczech	34.41 ⁰ / ₀ ²⁾
w Danji	45.2 ⁰ / ₀ ¹⁾

W roku więc 1900 ludność rolnicza Galicji wynosiła 5.570.000 osób. Na kilometr kwadratowy wypadło tej ludności 71 głów. Jeżelibyśmy jednak wzięli pod uwagę tylko przestrzeń rolniczą kraju, to wypadłoby, że na kilometrze kwadratowym tej przestrzeni żyje z rolnictwa 100 osób. Obecnie liczba ta podniosła się oczywiście przynajmniej o 10%. Austrija cała daje cyfrę przeciętną 36 osób ludności rolniczej na 1 km² przestrzeni ogólnej, Niemcy — 37, Francja — 37, Królestwo Polskie — 55. Widzimy więc jak bardzo zagęszczona jest ludność naszego kraju w stosunku nawet do silnie bardzo zaludnionych państw Europy Zachodniej. Wykazują one bardzo zbliżony między sobą stopień zaludnienia rolniczego, wynoszący nieco mniej niż połowę odpowiedniego zaludnienia u nas. Anglja jest tu wyjątkiem dając cyfry jeszcze znacznie niższe, nie dochodzące 20 głów ludności rolniczej na klm².

Cyfry te są bardzo wymowne, świadczą one dosadnie, że Galicja to kraj niezmiernie przeludniony. Już bezwzględna cyfra — 104 głowy ludności na 1 klm² — jest nader wysoka. Blednie jednak ona zupełnie wobec

1) Bujak: Galicya.

2) Statistik des Deutschen Reiches B. 112, Die Landwirtschaft r. 1898.

cyfr zaludnienia rolniczego kraju. Ta sama przestrzeń kraju, ta sama powierzchnia musi u nas żywić akurat dwa razy tyle ludności, co w Europie Zachodniej. Gdybyśmy więc chcieli dojść do stanu dobrobytu, jaki tam panuje, musielibyśmy produkować z jednostki przestrzeni rolniczej dwa razy tyle, co gospodarz z Zachodu.

Za przeludnieniem idzie oczywiście bardzo silne rozdrobnienie gospodarstw. Spis przedsiębiorstw z r. 1902 daje cyfry następujące:

Wielkość gospodarstw	% ogólnej ilości	% powierzchni przez nie zajętej (?)
<2 ha	40.6 %	5.97%
2—5 ha	37.5 »	17.— »
5—10 ha	15.0 »	14.5 »
10—20 ha	3.85 »	7.5 »
20—100 ha	1.05 »	6.3 »
>100 ha	0.52 »	37.0 »

Dla porównania pozwolę sobie przytoczyć odpowiednie dane dla niektórych innych krajów, np.:

Księstwo Poznańskie¹⁾:

Wielkość gosp.	% og. ilości	% przestrzeni
<2 ha	61.9%	2.8%
2—5 »	12.2 »	3.7 »
5—20 »	17.3 »	20.8 »
20—100 »	7.1 »	20.5 »
>100 »	1.5 »	52.2 »

¹⁾ St. des Deut. Reiches B. 112 r. 1898

Królestwo Polskie¹⁾

Wielkość gosp.	% og. ilości
<3 morgów	17.0%
3—9 »	37.5 »
9—15 »	23.5 »
15—30 »	16.2 »
>30 »	5.8 »

Niemcy²⁾:

Wielkość gosp.	% og. ilości	% przestrzeni
<2 ha	58.2 %	5.6%
2—5 »	18.3 »	9.6 »
5—20 »	18.0 »	29.0 »
20—100 »	5.1 »	30.4 »
>100 »	0.45 »	25.5 »

Francja (cyfry z r. 1882)³⁾:

Wielkość gosp.	% og. ilości	% pow.
<1 ha	38.2 %	2.2%
1—5 »	32.9 »	11.3 »
5—20 »	21.2 »	24.7 »
>20 »	7.7 »	61.8 »

Wreszcie Anglja (r. 1895)⁴⁾:

Wielkość gosp.	% og. ilości	% przestrzeni
1—5 akrów ⁵⁾	22.68%	1.13%
5—20 »	28.80 »	5.12 »
20—50 »	16.47 »	8.79 »

1) Grabski: Materiały w sprawie włościańskiej, T. I.

2) Stat. des Deut. Reiches B. 112 r. 1898.

3) Podług Buchenbergera: Agrarwesen u. Agrarpolitik.

4) Gościcki: Rolnictwo, polityka agrarna i samorząd w Anglji
»Ekonomista« r. 1908 T. I.

5) Akr = 0.4047 ha.

Wielkość gosp.	% og. ilości	% przestrzeni
50—300 akrów	28.43%	57.59%
>300 »	3.62 »	27.37 »

Oczywiście dla Anglii jest mowa o gospodarstwach w znaczeniu ferm wydzierżawianych lub prywatnych, a nie o wielkości kompleksów ziemi, należących do tych samych właścicieli.

Przytoczyłem umyślnie daty dla kilku krajów, aby lepiej można było porównać cyfrowe dane o wielkości naszych gospodarstw z Europą Zachodnią.

Przypatrzmy się nieco tym cyfrom.

Widzimy, że ilość gospodarstw najmniejszych nie jest w Galicji, przynajmniej pozornie, większą, niż w innych krajach. Królestwo tylko ma ich wyjątkowo mało, znacznie mniej, niż Galicya, co pochodzi z przyczyn historycznych i prawnie ekonomicznych, o których niżej. O ile jednak w Niemczech lub Francji, gospodarstwa takie są celowe, gdyż są to przeważnie kawałki ziemi, należące do ludności miejskiej — do robotników fabrycznych lub rzemieślników, albo też samodzielne podmiejskie gospodarstwa — ogrody, o tyle u nas, wobec braku przemysłu, właściciele tych kawałków, tych skrawków ziemi, zdawałoby się, zmuszeni są żyć wyłącznie tylko z tych gospodarstw minjaturowych. W dodatku rzeczywiście ich ilość jest znacznie większa, niż we wziętych do porównania krajach. Pochodzi to stąd, że wogóle gospodarstw rolnych Galicja liczy o wiele więcej stosunkowo, niż tamte kraje, a więc za tym samym procentem kryje się u nas ilość większa, niż tam. W drugiej kategorii gospodarstw, wielkości od 2 do 5 ha, dotrzymuje placu Galicji tylko Królestwo — znowu tylko rzekomo wskutek mniejszej tam ilości wogóle wszystkich gospodarstw. Kraje Europy zachodniej dają tutaj cyfry o wiele niższe. Tylko Fran-

cja ze swemi winnicami do pewnego stopnia dorównywa nam. Słowem gospodarstw małych, poniżej 5 ha, Galicja posiada o wiele więcej, niż kraje Europy Zachodniej — stanowią one w niej 78.1% ogólnej ilości i zajmują mniej więcej 23% przestrzeni. Dla Poznańskiego te same cyfry będą — 74.1% ilości i tylko 6.5% przestrzeni, dla Niemiec 76.5% i 15.2%, dla Francji 71.2% i 13.5%. Wszędzie tam gospodarstw tych jest mniej i zajmują one mniejszy procent powierzchni kraju. Gospodarstwa te nie są już w stanie wyżywić rodziny swego właściciela. 5 ha dla Galicji jest to, podług obliczeń wielu autorów, minimalna ilość ziemi, potrzebna do utworzenia gospodarstwa samodzielnego. W Europie Zachodniej oczywiście można byłoby cyfrę tę nawet silnie zredukować wobec znacznie wyższej intensywności kultury rolnej, np. do 4, 3 a niekiedy nawet 2 ha. Obniżyłoby to jednocześnie i ogólną ilość gospodarstw, zaliczanych do kategorii niesamodzielnych t. j. takich, których właściciele muszą mieć jakieś dochody uboczne. Tym niekorzystniej więc wypadnie dla Galicji porównanie jej ilości gospodarstw takich z krajami temi.

Weźmy teraz następną kategorię — gospodarstwa od 5 do 20 hektarów. Widzimy, że tutaj panuje wielka zgodność cyfr — Galicja posiada takich gospodarstw już jednak nieco mniej, niż Europa Zachodnia. Są to gospodarstwa włościańskie najbardziej w naszych warunkach żywotne, mogące doskonale utrzymać się samodzielnie bez jakichkolwiek zarobków lub innych dochodów ubocznych właściciela.

Dalsza kategoria — gospodarstwa 20 do 100-hektarowe, to zagrody tak zwanych w Niemczech Grossbauer'ów, w wielu zaś okolicach Galicji do dzisiaj zachowujące nazwę zagród kmiecych. Zajmują one

w wymienionych krajach Europy Zachodniej bardzo znaczną przestrzeń. I tutaj właśnie występuje uderzająca różnica pomiędzy nami a temi krajami — oto Galicja nie posiada takich gospodarstw niemal wcale. Stanowią one wprawdzie 1.05% ogólnej ilości, jednak wysoki w stosunku do tej liczby procent zajmowanej przez nie przestrzeni wskazuje, że mieszczą się tutaj także gospodarstwa folwarczne mało mniejsze od 100 hektarów, tak, że procent właściwych gospodarstw wielko-chłopskich jest jeszcze niższy, np. gospodarstw od 20 do 50 ha jest tylko 0.8%. Europa Zachodnia zaś posiada takich zagród bardzo wiele.

Oto, co pisze Prof. St. Grabski w tej kwestji («Referat w sprawie parcelacji dla Sejmu krajowego»):

»Na ogół w całej niemal Europie kontynentalnej średnie gospodarstwa, których właściciel nie jest wyłącznie kierownikiem i administratorem, organizującym pracę najemnych robotników, lecz nie jest też wyłącznie robotnikiem tylko na własnym zagonie — zajmują mniej więcej trzecią część ziemi. W Polsce natomiast tych właśnie gospodarstw niema prawie wcale. Kilkudziesięciomorgowe osady włościańskie spotykają się u nas częściej w niewielu tylko okolicach, a 60 lub 90 morgowy folwarczek jest zgoła wyjątkowym zjawiskiem. Zresztą drobny taki folwarczek to zazwyczaj tylko reszta większego, już przeważnie rozparcelowanego majątku i niezadługo doszczętnie zostanie rozsprzedany kawałkami pomiędzy włościan«.

Ciekawe to zjawisko znajduje wytłumaczenie w rozwoju historycznym stosunków rolnych w Europie Zachodniej a u nas: tam niemal aż do chwili uwłaszczenia przetrwały feudalne stosunki władania ziemią, gdy właściciel, sam gospodarstwa nie prowadząc, biorąc zaś tylko czynsz, dbał o to, by kmiecie, na jego ziemi

siedzący, mieli gospodarstwa dostatecznie wielkie; chodziło mu o to, aby kmieć mógł produkować dostateczną ilość płodów na sprzedaż i aby tym łatwiej opłacił czynsz; należny dziedzicowi. U nas przeciwnie w wiekach XVI, XVII i XVIII rozwija się stopniowo gospodarstwo folwarczne, potrzebujące robotnika; ziemie kmiece zostają częściowo zabierane pod pola folwarczne, na reszcie osadza dziedzic jak najwięcej rodzin, aby mieć tym więcej robotnika.

Ujemne strony braku tych gospodarstw u nas podnoszone już były wiele razy zarówno w prasie, jak i w innych poza wspomnianym referatem pracach specjalnych, a także dotarły i do Sejmu. Rozwodzić się nad tym nie mam też potrzeby, wspomnę tylko, że zdaniem niemal wszystkich autorów odnośnych, ten typ gospodarstw byłby najbardziej żywotny, byłby rozsądnikiem kultury rolnej, właściciele takich zagród dostarczyliby licznego kontyngientu konsumentów dla przemysłu krajowego, prócz tego zaś tylko za pośrednictwem ich mogłaby postępować prawdziwa, na zdrowych podstawach oparta demokratyzacja społeczeństwa, istnienie której np. prof. St. Grabski w obecnych warunkach wręcz kwestjonuje. Dodam w nawiasie tylko, że w razie wytworzenia przez akcję celową tego typu gospodarstw trzeba byłoby pomyśleć u nas o stworzenie niejako i warstwy ludności, zdolnej prowadzić takie przedsiębiorstwa. W obecnych warunkach człowiek inteligentny za wielkie ma już wymagania w stosunku do produkcji tej wielkości gospodarstw, zaś chłop nasz, po za potrzebą podtrzymania siły fizycznej, niema innych potrzeb niemal wcale. Wskutek zaś tych nieprawdopodobnie niskich potrzeb naszego ludu te nieliczne gospodarstwa kmiece, jakie dotychczas po wsiach naszych istnieją, znajdują się zwykle w stanie jak naj-

gorszej kultury rolnej, ponieważ przy najgorszym nawet prowadzeniu gospodarstwa ma właściciel więcej dochodu, niż przeżyć potrafi. Nie ma więc on potrzeby dbać o swoje dobro.

Z kolei następują gospodarstwa powyżej 100 ha, a więc większa posiadłość. Zajmuje ona w Galicji procent stosunkowo nie wielki. Do tych gospodarstw będę miał jeszcze sposobność wrócić nieco później.

Rozpatrzmy teraz, jakie są skutki zbytniego rozdrobienia posiadłości rolnej w Galicji, względnie jakie towarzyszą mu zjawiska współzależne.

Śmiało można twierdzić, iż wymienione dla porównania kraje Europy Zachodniej gospodarstw nie racjonalnych właściwie nie posiadają wcale. Oczywiście można uważać posiadłości landlordów angielskich za nieracjonalne z punktu widzenia podziału ziemi i podziału dóbr, jednak z punktu widzenia produktywności przedstawionego przez nie kapitału oraz zatrudnionych na ich terenie rąk roboczych, są one prawie zupełnie racjonalne. Otóż twierdę, że z tego punktu widzenia czy to Niemcy, czy Francja, czy też Anglja, posiadają gospodarstwa niemal wyłącznie produktywne, racjonalne. U nas zaś w Galicji, przy obecnym stanie kultury rolnej, zapewne conajmniej trzy czwarte gospodarstw mniejszych od 5 ha, wypadłoby zaliczyć do nieracjonalnych, niemal do społecznie szkodliwych. Chodzi o to, że w Europie Zachodniej małe skrawki ziemi, należące do poszczególnych właścicieli, nie są bynajmniej ich wyłącznymi warsztatami pracy zarazem. Są to posiadłości ludzi, żyjących z dochodów z ich własnością rolną nie związanych*). Jeżeli zaś który gospo-

*) Np. w Niemczech właściciele gospodarstw poniżej 2 ha pow. samodzielnymi rolnikami byli w roku 1895 tylko w ilości 17·43% (St. des D. R. B. 112).

darz tameczny poświęca swemu gospodarstwu, mimo jego małych rozmiarów, cały swój czas, dowodzi to, że gospodarstwo to znajduje się w warunkach wyjątkowo pomyślnych, tak że taki sposób postępowania wychodzi właścicielowi na korzyść: np. prowadzenie kultury ogrodniczej. Natomiast warunków, zmuszających właścicieli drobnych posiadłości siedzieć na tych posiadłościach i tylko z nich żyć, nie znajdując na nich dostatecznego dla siebie zatrudnienia, w krajach tych niema zupełnie.

Jakżeż inaczej jest u nas! Ogromna większość gospodarzy istotnie małorolnych musiałaby dorabiać na swe życie jakąkolwiek pracą, wychodzącą już po za obręb ich gospodarstwa. Na miejscu posiada tę pracę tylko procent bardzo nieznaczny, reszta musi szukać jej gdzieś hen w szerokim świecie. Bezpośrednim skutkiem tego jest nędza. Wieś galicyjska stopniowo coraz bardziej się proletaryzuje w całej masie swej ludności. Nie wytwarza się proletarjat czysty, nic nie posiadający, lecz większość włościan galicyjskich już obecnie to półproletarjusze, skrupowani nie mogącami ich wyżyć gospodarstwami.

Bardzo często porównywa się stan ten z zupełnie odmiennym stanem Królestwa Polskiego. Niech więc i ja przytoczę dane dla tamtej dzielnicy Polski, aby w ten sposób dojść do należytej oceny położenia jednego i drugiego.

Podług obliczeń Władysława Grabskiego (w dziele »Materjały w sprawie włościańskiej«) Królestwo Polskie liczy 305.610 rodzin włościańskich, posiadających wyżej 12 morgów roli, t. j. w ziemię zdaniem autora, dostatecznie zabezpieczonych, 354.182 rodziny włościan napółmałorolnych, posiadających gospodarstwa rozmiarów od 6 do 12 morgów, oraz 342.431 rodzin małorol-



nych, których gospodarstwa nie przekraczają 6 morgów. Oprócz tego istnieje jeszcze 592.379 rodzin ludności bezrolnej, czyli proletariatu rolnego, który dzieli autor na trzy kategorie:

I. 148.250 rodzin świeżo wyszłych z łona ludności wiejskiej rolnej. Są to więc ci włościanie, którzy przy podziale ojcowizny otrzymują spłatę swej części, i czekają jeszcze na nią albo też są w trakcie upatrywania i kupna dla siebie gospodarstw własnych. Właściwie więc nie jest to już proletarijat prawdziwy.

II. 225.803 rodzin służby wiejskiej, zarówno folwarcznej, jak i zamożniejszych włościan.

III. 218.326 rodzin wyrobników, trudniących się zajęciami dorywczemi i nader rozmaitemi. Wyrobnicy ci posiadają często własną krowę i niektóre inne objekty własności, wynajmują też jakąś chałupę z małym ogródkiem.

Właściwym proletariatem są tylko dwie ostatnie kategorie. Dają one razem ogromną cyfrę około 2.000.000 ludności bezrolnej, żyjącej jednak na wsi.

Stan taki wytworzył się w Królestwie pod wpływem nadania włościanom w r. 1807 swobody osobistej bez jednoczesnego uwłaszczenia ich. W r. 1864 obdzielono wprawdzie większość ($\frac{3}{4}$) współczesnego proletariatu rolnego ziemią, jednak w zbyt małych kawałkach tak, że obecnie wskutek działów spadkowych ilość tegoż znowu wzrosła do normy z przed roku 1864 i stanowi około $\frac{1}{3}$ całej ludności rolniczej Królestwa.

Gdybyśmy chcieli dla porównania podzielić ludność Galicji na kategorie przyjęte przez Wł. Grabskiego, to byśmy doszli do cyfr następujących:

Rodzin zabezpieczonych w ziemię, posiadających co najmniej 5 ha (dla Galicji można przyjąć tę cyfrę

za równoznaczną 12 morgom t. j. 6.7 ha, w Królestwie Polskiem) liczy Galicja około 200.000;

rodzin napół małorolnych (gospodarstwa 2—5 ha) — 376.000;

rodzin małorolnych (gosp. <2 ha) — 426.000;

proletarjatu rolnego — nie wiadomo ile, w każdym razie bardzo mało. Cyfr dla proletarjatu nie znalazłem, jednak każdy, znający wieś galicyjską, wie, iż jest tego proletarjatu ilość niewielka. Wnioskować o tym można także stąd, że podług spisu r. 1902, było gospodarstw włościańskich u nas prawie równo miljon, zaś w tym samym czasie ludność rolnicza wynosiła mniej więcej 5.600.000 głów; przyjąwszy za Bujakiem, że rodzina składa się u nas przeciętnie z 5 osób, wypadłoby, że ludności rolniczej, posiadającej własne gospodarstwa jest 5 milionów, zaś proletarjatu tylko 600.000. Możeby jeszcze nieco światła rzuciła na tę rzecz cyfra służby stałej w rolnictwie — wynosiła ona mianowicie 5.4% osób zawodowo czynnych w gospodarstwie wiejskim. Właściwie jednak cyfra ta nic nam tutaj nie mówi, ponieważ znaczna część służby stałej po dworach rekrutuje się z drobnych właścicieli rolnych.

Tak czy owak musimy dojść do przekonania, że o ile Królestwo zasługuje na nazwę kraju proletarjatu rolnego, o tyle Galicja może być ochrzczona krajem półproletarjatu. Często też bywa podnoszony rzekomo zdrowszy stan rzeczy w Królestwie, godny nawet naśladownictwa, o ile wogóle można mówić o naśladownictwie w tym kierunku.

Zdawałoby się, że przemawia na korzyść tego wiele bardzo faktów. Przypatrzmy się jednak najpierw proletarjatowi rolnemu Królestwa Polskiego. Trzy podane przez Wł. Grabskiego kategorie proletarjuszy są to trzy odmienne typy ludzi:

I kategoria, rzekomych proletariuszy, daje element bardzo ruchliwy, zasilający np. w znacznym stopniu kadry wychodźców.

II kategoria — służba wiejska — przedstawia już element najzupełniej różny od tamtego: są to parjasi naszego społeczeństwa, zahukani, zabiedzeni, bez żadnych widoków na przyszłość, na awans i chociaż dola ich w znacznym stopniu w ostatnich kilku latach się poprawiła, mimo to stanowią oni klasę najbardziej ospałą, najmniej rzutką, klasę najmniej kulturalną. O wiele wyżej stoją od nich fornale w Galicji, posiadający choć kawałek własnej ziemi i mający przez to podniętę do dążenia do wywalczenia sobie bytu niezależnego.

III kategoria — wyrobnicy — są to ludzie może też nizko pod względem kulturalnym stojący, jednak głównie już nie dla swej bierności życiowej, lecz wskutek braku, że tak powiem, solidności: nie mając stałego zajęcia, a często i stałego domu, muszą oni nabierać tych cech społecznie destrukcyjnych, któremi tak wybitnie odznaczają się malowani przez Gorkiję »bosiacy« rosyjscy. Pomimo to klasa ta wskutek swej ruchliwości może odegrać niemałą rolę w ukształtowaniu typu kultury ludu naszego. Emigracja zarobkowa Królestwa rekrutuje się w bardzo znacznym stopniu z tej klasy.

I i III kategorie przedstawiają więc materiał społecznie może nie idealny, lecz w każdym razie dodatni. II kategoria jest wprawdzie w obecnych warunkach niemal niezbędna, lecz raczej należy zaliczyć ją do elementu społecznie szkodliwego, albo tylko biernego, niż do dodatniego. Półproletariusz galicyjski stoi tutaj jakby po środku, nie jest on takim apatycznym, jak fornał z Królestwa, lecz nie jest także i tak rzutkim, tak twórczym, jak wyrobnik tameczny lub przedstawi-

ciel I kategorii proletariatu. Zauważono np., że obywateli z Królestwa są stale znacznie inteligentniejsi i zaradniejsi, niż obywateli z Galicji, chociaż ilość analfabetów jest między nimi znacznie większa. Pochodzi to właśnie z warunków naturalnych, tworzących z nich klasę bardziej ruchliwą. I nie ulega wątpliwości, że dla krajów przemysłowych o wiele korzystniejsze byłoby ukształtowanie stosunków posiadania na wzór Królestwa, niż na wzór Galicji. Galicja jednak przemysłu nie posiada, gospodarstw zaś rolnych, zatrudniających robotnika, coraz mniej; cóżby więc zrobiła ze swym proletariatem?

Czy więc ze względu na to, aby doprowadzić w Galicji znacznie większą ilość gospodarstw do wielkości normalnej, a z drugiej strony, aby zmniejszyć ilość półproletariatu, mamy dążyć do stwarzania proletariatu prawdziwego? Na to pytanie, może tylko nieco inaczej sformułowane, odpowiada, jak wspomniałem, większość ludzi, zajmujących się położeniem ekonomicznym Galicji, twierdząco i to w większości wypadków nawet z bardzo »lekkim sercem« bez głębszej analizy tej sprawy. A jednak, chociaż rzeczywiście stosunki posiadania Królestwa wykazują znaczną wyższość nad stosunkami Galicji, chociaż dążenie do zmniejszenia nieproduktywnych gospodarstw karłowych jest ze wszech miar pod wielu względami wskazane, chociaż zmniejszenie ilości półproletariatu mogłoby dodać wiele sił żywotnych społeczeństwu galicyjskiemu — mimo to wszystko trzeba stale pamiętać, że wytworzony tak czy owak proletariatus nie będzie miał co w kraju naszym robić. Za granicą możeby i znalazł jaką pracę, lecz kraj nasz narażony byłby przez to na utratę wielkiej ilości tych ludzi już na stałe. Półproletariusz zaś, posiadający choćby tylko mógę gruntu, jest już człowie-

I kategoria, rzekomych proletariuszy, daje element bardzo ruchliwy, zasilający np. w znacznym stopniu kadry wychodźców.

II kategoria — służba wiejska — przedstawia już element najzupełniej różny od tamtego: są to parjasi naszego społeczeństwa, zahukani, zabiedzeni, bez żadnych widoków na przyszłość, na awans i chociaż doła ich w znacznym stopniu w ostatnich kilku latach się poprawiła, mimo to stanowią oni klasę najbardziej ospałą, najmniej rzutką, klasę najmniej kulturalną. O wiele wyżej stoją od nich fornale w Galicji, posiadający choć kawałek własnej ziemi i mający przez to podniętę do dążenia do wywalczenia sobie bytu niezależnego.

III kategoria — wyrobnicy — są to ludzie może też nisko pod względem kulturalnym stojący, jednak głównie już nie dla swej bierności życiowej, lecz wskutek braku, że tak powiem, solidności: nie mając stałego zajęcia, a często i stałego domu, muszą oni nabierać tych cech społecznie destrukcyjnych, któremi tak wybitnie odznaczają się malowani przez Gorkija »bosiacy« rosyjscy. Pomimo to klasa ta wskutek swej ruchliwości może odegrać niemałą rolę w ukształtowaniu typu kultury ludu naszego. Emigracja zarobkowa Królestwa rekrutuje się w bardzo znacznym stopniu z tej klasy.

I i III kategorie przedstawiają więc materiał społecznie może nie idealny, lecz w każdym razie dodatni. II kategoria jest wprawdzie w obecnych warunkach niemal niezbędna, lecz raczej należy zaliczyć ją do elementu społecznie szkodliwego, albo tylko biernego, niż do dodatniego. Półproletariusz galicyjski stoi tutaj jakby po środku, nie jest on takim apatycznym, jak fornal z Królestwa, lecz nie jest także i tak rzutkim, tak twórczym, jak wyrobnik tameczny lub przedstawi-

ciel I kategorii proletariatu. Zauważono np., że obywateli z Królestwa są stale znacznie inteligentniejsi i zaradniejsi, niż obywateli z Galicji, chociaż ilość analfabetów jest między nimi znacznie większa. Pochodzi to właśnie z warunków naturalnych, tworzących z nich klasę bardziej ruchliwą. I nie ulega wątpliwości, że dla krajów przemysłowych o wiele korzystniejsze byłoby ukształtowanie stosunków posiadania na wzór Królestwa, niż na wzór Galicji. Galicja jednak przemysłu nie posiada, gospodarstw zaś rolnych, zatrudniających robotnika, coraz mniej; cóżby więc zrobiła ze swym proletariatem?

Czy więc ze względu na to, aby doprowadzić w Galicji znacznie większą ilość gospodarstw do wielkości normalnej, a z drugiej strony, aby zmniejszyć ilość półproletariatu, mamy dążyć do stwarzania proletariatu prawdziwego? Na to pytanie, może tylko nieco inaczej sformułowane, odpowiada, jak wspominałem, większość ludzi, zajmujących się położeniem ekonomicznym Galicji, twierdząco i to w większości wypadków nawet z bardzo »lekkim sercem« bez głębszej analizy tej sprawy. A jednak, chociaż rzeczywiście stosunki posiadania Królestwa wykazują znaczną wyższość nad stosunkami Galicji, chociaż dążenie do zmniejszania nieproduktywnych gospodarstw karłowych jest ze wszelkich miar pod wieloma względami wskazane, chociaż zmniejszanie ilości półproletariatu mogłoby dodać wiele sił żywotnych społeczeństwu galicyjskiemu — mimo to wszystko trzeba stale pamiętać, że wytworzony tak czy owak proletariatus nie będzie miał co w kraju naszym robić. Za granicą możeby i znalazł jaką pracę, lecz kraj nasz narażony byłby przez to na utratę wielkiej ilości tych ludzi już na stałe. Półproletariusz zaś, posiadający choćby tylko móg grunt, jest już człowie-

kiem do pewnego stopnia uspołecznionym, jest on niejako obywatelem kraju przez swoją posiadłość — nie wyniesie się już tak łatwo za morze. Ponieważ zaś ziemia wyżywić go nie jest w stanie, przeto będzie on dążył do odłożenia przez odpowiednie zarobki oszczędności na przykupienie gruntów, tak by uzyskać ilość ziemi, któraby go już mogła dobrze utrzymać. Sądzę, że przy każdej akcji, zmierzającej do podniesienia wielkości gospodarstw te względy powinny być brane pod uwagę. Nie bez racji Danja i Anglja forsują wytwarzanie posiadłości rolnych karłowych. Kto wie, może to galicyjskie rozdrobnienie gospodarstw, będące narażeniem bez żadnej wątpliwości niezmiernie szkodliwym dla całego kraju, da się przy umiejętnej pracy wykorzystać odpowiednio tak, by na nim oprzeć dobrobyt bardzo szerokich mas ludności? Proletariat zaś w kraju nie uprzemysłowionym to zawsze tylko zło konieczne.

Nie omówiliśmy jeszcze ostatniej kategorii gospodarstw, przekraczających swemi rozmiarami 100 ha. Jest to już wyłącznie własność większa, zwana w Galicji dla jej odmiennego charakteru prawnopolitycznego własnością tabularną.

Zajmowała ona w Galicji w r. 1902 procent stosunkowo nie wielki — 37.2%. Inne dzielnice Polski, jak Królestwo i Poznańskie wykazują cyfrę znacznie wyższą — pierwsze 42.8%, drugie 52.2%. Poszczególne rodzaje użytków ustosunkowane były w posiadłości tabularnej w sposób następujący:

role zajmowały	31.9%	przestrzeni
łąki »	6.2%	»
pastwiska »	4.0%	»
lasy »	55.6%	»

Widzimy więc, iż więcej, niż połowa przestrzeni

tej kategorii gospodarstw pokryta jest lasami. Pochodzi to stąd, że lasy niemal wyłącznie koncentrują się w rękach większych właścicieli. Zwłaszcza latyfundja i skarb państwa mają olbrzymie rewiry leśne w kraju. Wogóle zaś na własność tabularną przypadają następujące procenta poszczególnych użytków:

Ogólnej przestrzeni ról	24.5%
» » łąk	21.0%
» » pastwisk nizinnych	15.1%
» » połonin i hal	26.5%
» » lasów	80.2%

Przy szybko obecnie postępującej parcelacji odpadają od własności tabularnej przeważnie role, łąki i pastwiska, a w znacznie mniejszym stopniu lasy tak, że ewolucja stosunków posiadania prowadzi coraz bardziej do wytworzenia z własności większej gospodarstw w znacznie większym stopniu leśnych, niż rolnych.

Poszczególne kategorie większej posiadłości zajmowały następujące procenta obszaru:

Wielk. gospodarstw	% przestrzeni wł. tabularnej	% przestrzeni og. kraju
>5000 ha czyli Latyfundja ¹⁾	39.2%	14.6%
2000—5000 ha » Wielka własność	17.4%	6.5%
500—2000 ha » Średnia własność	28.6%	10.6%
< 500 ha » Mała własność	14.8%	5.5%

Widzimy, jak znaczną przestrzeń zajmują latyfundja i własność wielka, a jak nieznacznym procentem przestrzeni przypada na gospodarstwa, nie sięgające 500 ha. Jeżeli zestawimy stan ten z nadzwyczajnym rozdro-

¹⁾ Podział podług Bujaka.

bnieniem własności chłopskiej, to przekonamy się o niezmiernej przepaści, jaka dzieli pod względem ekonomicznym nasz dwór od wsi. Tutaj kryje się to zło, podnoszone zwłaszcza przez Prof. Grabskiego, braku gospodarstw pośrednich. Wspomniałem już o tym we właściwym miejscu, tutaj podkreślę więc tylko, że taka przepaść wytwarza faktyczny antagonizm pomiędzy temi kategorjami posiadłości wiejskich. Jeżeli ten antagonizm nie wybuchł dotychczas w czynnej polityce ekonomicznej poszczególnych stronnictw (prowadzona do niedawna opozycja młodego, rwącego się do władzy stronnictwa ludowego nie była dotąd jeszcze twórczą polityką ekonomiczną), to tylko dla tego, że np. stronnictwo ludowców dotychczas nie wypłynęło jeszcze na szerszą wodę, a nawet nie stworzyło właściwego programu agrarnego. Rzecz jednak jest zupełnie jasna, że choćby w tak ważnej kwestji, jak podatki od zboża, interesa większej i mniejszej własności są sobie wręcz przeciwne — pierwsi są producentami zboża, drudzy już dzisiaj w głównej swej masie — konsumentami.

Do własności większej zalicza się zwykle również i majątek publiczny. Składa się on z następujących kategorji: 1) dobra kameralne, zajmujące 297.000 ha czyli 3.8% powierzchni kraju, 2) dobra funduszu religijnego — 9.000 ha (w zarządzie państwa), 3) dobra duchowne — 129.000 ha, 4) fundacje blisko 50.000 ha, 5) majątki gminne — blisko 20.000 ha.

Wszystkie te majątki ze względu na ich eksploatację właściwie niczym się nie różnią od prywatnej własności wielkiej: dobra kameralne, znaczniejsza część dóbr duchownych, fundacyjnych i majątków gminnych to jakby szereg wielkich latyfundjów, w których lasy większą mają nawet przewagę nad przestrzenią rolni-

czą, niż w latyfundiach prywatnych. Część tylko majątków gminnych, fundacyjnych jak również i probostwa (stanowiące 11% dóbr duchownych) posiadają już charakter własności średniej, a częściowo nawet i mniejszej — folwarków i folwarczków. Wybitniejszej jakiejś roli w ukształtowaniu się stosunków posiadania własność ta nie odgrywa.

Zupełnie inaczej jest z własnością wspólną, której Galicja ma kategorie następujące: 1) bardzo rozpowszechnione pastwiska gminne, należące do całej gminy, z których też wszyscy jej członkowie korzystać mogą, 2) lasy gminne, służące do wspólnego użytku członków gminy (nie są więc to majątki gminy, z których dochody czerpie sama gmina, jako korporacja), oraz 3) tak zwane »role« czyli »spółki«.

Pastwiska gminne zajmują razem około 262.000 ha powierzchni. Rozmieszczone są one po kraju bardzo nierównomiernie, sięgając np. w powiatach tarnobrzeskim i doliniańskim niemal do 25% powierzchni własności nietabularnej. Naogół pastwiska wspólne posiada mniej niż połowa gmin, zaś z całej ilości gospodarstw drobnych kraju służebność na pastwiskach tych posiada tylko 43.4%.

Gospodarka na pastwisku gminnym jest fatalna: każdy z gospodarzy stara się wyciągnąć z niego korzyść jak największą. Skoro więc tylko zazieleni się na wiosnę młodziutka trawka, już cała wieś wypędza zagłodzone przez zimę swoje bydło; stratuje ono w przeciągu paru pierwszych tygodni doszczętnie świeżą run do tego stopnia, że później nic tam niemal rosnąć nie będzie, ostatecznie więc żaden z gospodarzy korzyści należytej nie odniesie. Wogóle zaś na pastwiskach gminnych pasie się koni, owiec i gęsi zwykle przynajmniej cztery razy więcej, niżby racjonalna gospodarka

na to zezwalała. W dodatku pasie się to wszystko razem bez żadnego planu, bez żadnego podziału na partje, jakby to należało czynić. Zwłaszcza zaś wielkie szkody wyrządzają gęsi, zanieczyszczając do tego stopnia istniejące jeszcze szczątki trawy, że już ich bydło ani konie jeść nie mogą. O poprawie pastwiska przez wyrównywanie kępek, bronowanie, nawożenie i podsiewanie słycać na razie jeszcze bardzo rzadko, droższa zaś jakaś meljoracja niemal wcale tutaj się nie trafia.

Aby przekonać się do jakiego stopnia pastwiska gminne są anomalją u nas, wystarczy pojechać do powiatu tarnobrzeskiego, gdzie zajmują one olbrzymie obszary. Obok wysokiej już kultury rolnej, zwłaszcza na żyznych glebach napływowych, obok bezprzykładowych cen ziemi, o jakich gospodarz z Europy Zachodniej pojęcia wprost niema, widzi się tam olbrzymie pustkowia zupełnie nagie lub porośnięte, jak okiem sięgnął, ostromleczem. Na pustkowiach tych chodzi wynędzniałe biedne bydło, które w niepojęty jakiś sposób przecież coś tam jeszcze pożywienia znajduje. Obok cen ziemi po 6 koron za sążeń (fakt autentyczny) te olbrzymie obszary nieproduktywne, to obraz więcej, niż smutny!

Nieco lepiej przedstawia się gospodarka na obszarach wspólnych lasów gminnych. Obszar ich jest też nie mały, zajmują bowiem około 71.000 ha, chociaż gminy, posiadające takie lasy, są stosunkowo rzadkie, a ilość gospodarstw, korzystających z nich, wynosi 19% całej ilości w kraju. Rząd deleguje swoich inspektorów do czuwania nad eksploatacją tych lasów. W każdym razie o zupełnie racjonalnej gospodarce mowy być nie może. Odmienną kategorię władania ziemią stanowią wspomniane już »role« czyli »spółki«. Prawnie są to posiadłości kilku lub kilkunastu właścicieli, z których

jednak korzystają nieraz i inni gospodarze, jednak na innych warunkach, gdyż zmuszeni są do wyższych opłat na wydatki wspólne (podatki). Grunta tych »spółek« to albo pastwiska, albo też użytki rolne. W tym drugim wypadku właściciele »spółki« są zapisani, jako posiadacze części idealnych, de facto zaś grunt jest podzielony i każdy ma swój kawałek.

Powstanie takich spółek, o ile mogłem dojść, jest dosyć proste: oto członkowie tej samej rodziny posiadali pewne wspólne, odziedziczone po wspólnym przodku obszary pastwisk; skoro zjawiał się nowy przybysz osadnik, dawano mu zezwolenie na korzystanie z tego pastwiska, jednak nakładano za to na niego pewne ciężary. Stąd właśnie i pozostał zwyczaj nierównych poborów za korzystanie ze spółki, stąd i zachowała się prawnie własność jej za następcami owych pierwotnych właścicieli.

Nie mniej ważnym czynnikiem położenia ekonomicznego rolnictwa od ilości i wielkości przedsiębiorstw rolniczych jest ich produktywność, boć z tej samej przestrzeni w różnych warunkach można wyprodukować w jednym wypadku znacznie więcej, w innym znacznie mniej; tylko zaś wielkość produkcji decyduje o sile ekonomicznej narodu. Określenie więc wysokości produkcji rolniczej byłoby nader pożądane ze względu na potrzebę orjentacji w tej sile. Statystykę, tyjącą się tego przedmiotu, prowadzi co roku Ministerjum rolnictwa. Kto jednak wie, w jaki się sposób zbiera daty do niej, ten nie będzie zbyt ufał cyfrom, przez nią podawanym. Dość powiedzieć, że przeważnie opiera się ona na doniesieniach osób prywatnych, oceniających wielkość plonów na oko. Koryguje się wprowadzie cyfry te przez »badania próbne«, mimo to prze-

cież stopień zbliżenia ich do prawdy pozostaje niewielkim. Jeżeliby kto podjął się bezwzględno wyliczenia wielkości produkcji rolniczej kraju, a chciałby oprzeć się na tych danych, doszedłby niewątpliwie do rezultatów wielce od stanu rzeczywistego różnych. Ponieważ jednak mnie chodzi tylko o namalowanie obrazu siły ekonomicznej ludności rolniczej, a nie ujęcie jej w ścisłe cyfry, przeto mogę śmiało posługiwać się temi datami, gdyż bądź co bądź wartość porównawczą one mają, ponieważ we wszystkich krajach Austrii statystyka rolnicza »robi się« w sposób jednakowy.

Przyjrzyjmy się więc najpierw produkcji z jednostki przestrzeni najważniejszych płodów rolniczych. Oto przeciętna wysokość produkcji z 1 ha w okresie od roku 1898 do 1907 w cetnarach metrycznych:

	Galicya ¹⁾		Austria dolna ¹⁾	Czechy ¹⁾	Śląsk ¹⁾	Niemcy ²⁾ , plony r. 1907
	Zach.	Wschod.				
Pszenica	9.6	10.8	15.5	15.1	11.3	18.7
Żyto	8.9	8.6	13.8	12.6	10.3	16.2
Jęczmień	8.1	8.0	14.7	14.6	11.9	20.6
Owies	8.8	6.5	11.6	11.1	10.1	20.9
Kukurydza		10.9	14.3			
Ziemiaki	99.2	108.5	96.7	86.7	93.5	138.1
Buraki cukr.	207.9	204.2	188.2	256.4	210.4	

Każdy, obeznany ze stanem kultury rolnej w wymienionych tutaj krajach, przyzna, że cyfry te, nie przedstawiając wielkiej wartości bezwzględnej, wcale

¹⁾ Stat. Jahrbuch des Ackerbauministerium za r. 1907.

²⁾ Stat. Jahrb. des Deutschen Reichs r. 1909.

dobrze mimo to ilustrują stosunkową produktywność rolnictwa tych krajów.

Galicja więc odznacza się wybitnie niską produkcją zbóż, plony zaś okopowych są dosyć wysokie. Czymżesz więc to wytłumaczyć? Czy może złemi warunkami naturalnymi rozwoju tych płodów? Tak bynajmniej nie jest; — wprawdzie nieco mniej kontynentalny klimat, zwłaszcza Niemiec, daje krajom, bardziej na zachód położonym, przewagę, ponieważ zboża rozwijają się tam przez dłuższy okres wegetacyjny i lepiej »wypełniają« swe nasienie, z drugiej za to strony pod względem jakości gleby stoi Galicja znacznie wyżej. Wiadomo, jak wielkie obszary zajmują u nas czarnoziemy podolskie, a również i gleby glinkowato-próchniczne, na lössie położone, następnie rędziny i ciężkie gleby gliniaste, które też przy umiejętnej uprawie świetne plony wydawać mogą. A chociaż obok nich występują ogromne obszary także gleb ubogich, to przecież idealnie wzięta przeciętna gleba galicyjska wypadnie lepszą, niż takąż gleba np. Niemiec. Wobec tego więc trzeba przyznać, że jeżeli chodzi o całokształt warunków naturalnych rolnictwa, to Galicja upośledzona w porównaniu z krajami tamtymi bynajmniej nie jest. Jeżeli produkcja płodów rolnych jest w niej tak niska, to tylko wskutek nader wadliwej i niskiej kultury rolnej.

W ślad za niską produkcją rolnictwa idzie mała konsumpcja ludności rolniczej, nader liche jej odżywianie się. Już Szczepanowski (»Nędza Galicji w cyfrach«) twierdził, że u nas człowiek każdy pracuje za czwartą część człowieka, a je za pół; obliczał on, że w Anglii w przytułkach dla starców porcje strawy są wyższe, niż u nas wypada na głowę ludności pracującej, zdrowej. Bujak (»Galicja« T. I.) rachuje, że kraj nasz kon-

sumuje około 106.000 wagonów 10 tonnowych żyta, pszenicy i kukurydzy, z tego z własnej produkcji zużywa 81.000 wagonów — wszystko po potrąceniu nasienia na zasiew, zaś około 25.000 wagonów sprowadza z Węgier. Przyjąwszy, że cyfry te są dostatecznie prawdopodobne, wypadłoby, że na głowę ludności przypada u nas 144 kg. konsumowanego zboża. Jest to cyfra niesłychanie niska; podniosłaby się ona nieco, gdybyśmy mogli obliczyć ilość spożywanego przez ludność jęczmienia. W każdym razie nawet po tym dodatku, staliśmy bardzo daleko za konsumcją innych krajów. I tak np. wiecznie głodna Rosja daje na głowę 370 kg. (?) konsumcji zboża, Francja 270 kg., Niemcy 200 kg. (Bujak »Galicja«).¹⁾ Niemcy i Francja dają cyfry znacznie od naszej wyższe pomimo to, że ludność tameczna zjada bardzo znaczne ilości mięsa i ryb, oraz warzyw, zaś Rosja, żyjąca niemal wyłącznie chlebem daje cyfrę bardzo wysoką, prawdopodobnie zresztą błędnie obliczoną. W każdym razie cyfra musi wypaść tam o wiele wyższa, niż u nas, jeżeli weźmie się pod uwagę sposób odżywiania się zarówno Rosjan jak i Ukraińców, Białorusinów i Litwinów i t. p. Wystarczy wspomnieć, że w wojsku rosyjskim żołnierz otrzymuje około 1200 gramów chleba, zaś np. parobcy na stole dworskim na Litwie czy Białej Rusi mają wydzielone nieraz 3½ funta chleba (1400 gramów) dziennie. Czy więc porównamy odżywianie się naszego ludu z konsumcją chleba ludności krajów dobrze się odżywiających, czy też żyją-

¹⁾ Według statystyki Suaborga spożycie chleba wynosiło rocznie na głowę w Danji 287 kg., w Belgji 274 kg., we Francji 254, w Niemczech 230, w Szwajcarji 212, w Holandji 201 kg., w Rosji 173 (zapewne cyfra za niska), w Austrji 155 kg. («Wszeczeński» r. 1909.

cych niemal »o chlebie i wodzie«, zawsze wypadnie, że nasz chłop galicyjski chleba nie dojada.

Za to, jeżeli weźmiemy ilość spożywanych ziemniaków, to wnet się przekonamy, że one stanowią podstawę w kuchni naszego ludu. Wypada tego produktu na głowę około 450 kilogramów rocznie. Dobrze też wszystkim wiadomo, że ludność wsi galicyjskiej żyje ziemniakami i kapustą, a już w znacznie mniejszym stopniu kaszą, chlebem i słoniną na »omastęć. Poza temi pięciu produktami, inne trafiają na stół rolnika albo tylko zrzadka w niewielkiej ilości, np. mleko, ser, nasiona ogrodowe i t. p., albo całkiem sporadycznie przy jakiejś uroczystości lub wielkim święcie — np. mięso.

Że takie odżywianie się jest nader jednostronne — spożywane są produkta przeważnie w białko ubogie, o tym dwóch zdań być nie może. Odbija się ono wybitnie na zwyrodnieniu rasy, które bardzo łatwo skonstatować, jeżdżąc po różnych wsiach galicyjskich i porównując mieszkańców wsi bogatszych i biedniejszych. To też procent niezdatnych do wojska popisowych stale wzrasta. Ciekawe jest porównanie dobrze odżywianej dziatwy naszego ludu, chowanej pod pięknym niebem Parany, a dziatwy tutejszej. Oto co pisze o niej Jan Hempel (»Polski Przegląd Emigracyjny« Nr. 4 r. 1907). »Najładniejszą częścią kolonji polskich w Paranie są niewątpliwie dzieci — wesole, tryskające zdrowiem, doskonale odżywione — tylko mówą i płowemi włoskami przypominają swoich rodaków z Ojczyzny, te nieszczęsne istoty o krzywych nogach, wydętych brzuchach i zaropiałych oczach«. Rasę więc mamy dobrą, tylko lud nasz jest zagłodzony. Może też słusznie obliczał Szczepanowski, że w Galicji 50.000 ludu umiera co roku z głodu.

Produkcja zwierzęca bodaj że trudniej da się

jeszcze ująć w cyfry, niż produkcja roślinna. Dokładne dane mamy tylko co do ilości inwentarza żywego w kraju; cyfry te zebrane zostały w r. 1900. Przedstawiają się one, jak następuje:

	Galicja posiadała	% ogólnej ilości w całym państwie
koni	869.000	50 ‰
bydła	2.718.000	28.6‰
owiec	437.000	16.7‰
trzodochlewnej	1.254.000	26.8‰
drobiu	7 do 8 milionów	?

Na kilometr kwadratowy wypadło:

	W Galicji (r. 1900)	w Austrii (1900)	w Danji (1903)
koni	15.7	6	19
bydła	49.0	34	71
owiec	7.9	9	34
świń	22.7	17	59

Inwentarza więc żywego na ilość posiada Galicja w stosunku do Austrii bardzo wiele. Zwłaszcza koni wykazuje ilość nawet jakby nieprawdopodobną, chociaż z Danją nawet pod tym względem mierzyć się nie może. Zawczasie jednakże byłoby cieszyć się, spojrzawszy jedynie tylko na cyfry te. Trzeba jeszcze pojechać na wieś i zobaczyć, co to są za konie, co to za bydło, aby osądzić, czy w rzeczy samej możemy szczyścić się swoim pod tym względem bogactwem. Przegląd taki daje rezultaty jaknajgorsze. Przejdźmy jednak narazie jeszcze trochę do cyfr, które już tym razem okażą się mniej pomyślne. Porównajmy mianowicie ilość inwentarza żywego na 1000 głów ludności rolni-

czej u nas, a w kraju, będącym niejako wzorem dla Galicji — Danji:

Na 1000 głów ludności rolniczej wypadają:

	w Galicji	w Danji
koni sztuk	155	429
bydła »	483	1639
owiec »	78	787
świń »	223	1272

Uwzględniając jeszcze, że wartość produkcyjna krowy duńskiej w porównaniu do naszej jest co najmniej trzy razy większa, wartość także konia ze cztery nawet razy, to będziemy wprost uderzeni bezprzykładną różnicą na naszą niekorzyść.

Wróćmy teraz znowu do cyfr poprzednich. Okazuje się więc, że koni rzeczywiście Galicja ma ogromnie wiele, wprost za wiele, jak na swoje potrzeby. Rozdrobnienie gospodarstw prowadzi do tego, że gospodarz, mający gruntu kilka lub kilkanaście morgów, trzyma już parę koników. Gdyby miał dwa razy tyle gruntu, i tak jeszcze więcej, jak pary, by nie trzymał. Chociaż więc obecnie wyzyskuje siłę swych koni przez furmankę, to jednak zawsze sporo czasu tych zwierząt idzie na marne. Przy tym koniki naszych rolników, te osławione »koniks'y«, jak je Niemcy nazywają — toż to nie są konie w rzeczywistym słowa tego znaczeniu — wartość ich jako inwentarza roboczego nie przekracza zapewne czwartej części wartości roboczej ciężkiego konia z Zachodu. Stąd właśnie pochodzi ta nadmierna ilość koni u nas. Jeżeliby jednak obliczyć wartość koni państwa, a nie ich ilość, to niewątpliwie okazałoby się, że Galicja stoi daleko w tyle poza innymi krajami Austrii.

To samo mniej więcej trzeba powiedzieć i o by-

dle rogatym. Dr. Stefczyk przypuszcza, że przeciętna mleczność krowy włościańskiej galicyjskiej wynosi około 1000 litrów rocznie. Zdaje się, że dowolna ta cyfra dosyć przecież dobrze ilustruje przeciętną produktywność naszych krów. Po wyeliminowaniu jednak z ogólnej ilości bydła dworskiego i chłopskiego tych okolic, które już chów należycie prowadzą, wypadłoby na średnią krowę chłopską nie więcej nad jakie 600–700 litrów produkcji rocznej. Przyjąwszy zaś z drugiej strony mleczność krów wyżej od nas stojących krajów Austrii na 2000 litrów, a Danji np. na 3000, co w znacznym stopniu odpowiada rzeczywistości, przekonamy się, że produkcja nabiału jest u nas bardzo niska. Zresztą, chcąc mieć pojęcie o stosunkowej ilości inwentarza, trzeba mieć cyfry przeciętnej wagi krowy. Na oko sądząc można przypuścić, że krowy dajmy na to czeskie są mniej więcej o jakie 50% cięższe od naszych. A więc wprawdzie co do ilości bydła stoi Galicja nieco wyżej, niż całe państwo (28.6% bydła na 26.16% przestrzeni), jednak co do produkcji nabiału i co do ogólnej wagi bydła pozostaje daleko w tyle poza cyframi ogólnymi. O ile produkcja nabiału jest obecnie w Europie Zachodniej jedną z głównych gałęzi gospodarstwa rolnego, o tyle u nas jest ona jeszcze pomimo znacznych ilości bydła niemal w powijakach. Pochodzi to stąd, że drobny rolnik galicyjski w większości wypadków trzyma swoje dwie lub trzy krowiny tylko na własny użytek. Otrzymywane od nich w skąpej bardzo ilości mleko idzie dla dzieci i na wychów cieląt, jeżeli zaś coś zbywa poza tym, zbiera się z tego po długim odstawaniu śmietanę i robi liche masło, które po kilka »szóstek« za kilogram zabiera handlarz. Głównym i najcenniejszym produktem, jakie bydło daje, jest potrzebny dla gospodarstwa obornik.

Od produkcji nabiału lepiej może nieco przedstawia się produkcja materiału rzeźnego. Pod tym względem Galicja o tyle stoi niżej od innych krajów Austrii, że produkuje materiał lichszy — mniejsze sztuki o gorszej jakości mięsa. Tyczy się to zarówno bydła jak i trzody chlewnej. W każdym razie produkcja ta daje rolnictwu naszemu o wiele większe wpływy gotówki, niż produkcja nabiału. Biorąc pod uwagę, że przeciętny wiek krów u nas nie przekracza zapewne 6 lat, na rzeź bowiem idzie sporo jałowizny, a krowy trzyma się do lat 10—12, dojdziemy do przekonania, że po uwzględnieniu pewnego procentu na »upadek«, na rzeź idzie rocznie jakich 400 do 450 tysięcy sztuk. Oprócz tego sprzedaje się na mięso także znaczna bardzo ilość cieląt. Zapewne prędzej się omyłę in minus, niż in plus, jeżeli po odliczeniu upadku cieląt, przyjmę, iż 2.700.000 bydła galicyjskiego dają rocznie 1.500.000 cieląt. Blizko trzecia część pozostaje z tego na chów zaś $\frac{2}{3}$ idą na sprzedaż.

Oczywiście rachunek ten jest niezmiernie luźny, w każdym razie z niego można wnioskować, że rolnictwo galicyjskie z tej gałęzi czerpie co roku dochodu w gotówce kilkadziesiąt milionów koron (70, 80 a może i 100 milionów).

To samo da się powiedzieć i o hodowli trzody chlewnej. Jest to też produkt, dający grosz gotowy, przytym gospodarstwo im jest mniejsze, tym więcej stosunkowo trzyma świń. Wprawdzie to samo trzeba powiedzieć i o bydle, jednak przy trzodzie zjawisko to występuje o wiele wybitniej. Obliczyć jednak, ile trzoda chlewna daje rolnictwu gotówki, jest już zupełnym niepodobieństwem. Pochodzi to z dwu przyczyn: po pierwsze wskutek tego, że znaczny bardzo procent świń bije rolnik na własny użytek, po drugie zaś, że,

dle rogatym. Dr. Stefczyk przypuszcza, że przeciętna mleczność krowy włościańskiej galicyjskiej wynosi około 1000 litrów rocznie. Zdaje się, że dowolna ta cyfra dosyć przecież dobrze ilustruje przeciętną produktywność naszych krów. Po wyeliminowaniu jednak z ogólnej ilości bydła dworskiego i chłopskiego tych okolic, które już chów należycie prowadzą, wypadłoby na średnią krowę chłopską nie więcej nad jakie 600–700 litrów produkcji rocznej. Przyjawszy zaś z drugiej strony mleczność krów wyżej od nas stojących krajów Austrii na 2000 litrów, a Danji np. na 3000, co w znacznym stopniu odpowiada rzeczywistości, przekonamy się, że produkcja nabiału jest u nas bardzo niska. Zresztą, chcąc mieć pojęcie o stosunkowej ilości inwentarza, trzeba mieć cyfry przeciętnej wagi krowy. Na oko sądząc można przypuścić, że krowy dajmy na to czeskie są mniej więcej o jakie 50% cięższe od naszych. A więc wprawdzie co do ilości bydła stoi Galicja nieco wyżej, niż całe państwo (28.6% bydła na 26.16% przestrzeni), jednak co do produkcji nabiału i co do ogólnej wagi bydła pozostaje daleko w tyle poza cyframi ogólnymi. O ile produkcja nabiału jest obecnie w Europie Zachodniej jedną z głównych gałęzi gospodarstwa rolnego, o tyle u nas jest ona jeszcze pomimo znacznych ilości bydła niemal w powijakach. Pochodzi to stąd, że drobny rolnik galicyjski w większości wypadków trzyma swoje dwie lub trzy krowiny tylko na własny użytek. Otrzymywane od nich w skąpej bardzo ilości mleko idzie dla dzieci i na wychów cieląt, jeżeli zaś coś zbywa poza tym, zbiera się z tego po długim odstawaniu śmietanę i robi liche masło, które po kilka »szóstek« za kilogram zabiera handlarz. Głównym i najcenniejszym produktem, jakie było daje, jest potrzebny dla gospodarstwa obornik.

Od produkcji nabiału lepiej może nieco przedstawia się produkcja materiału rzeźnego. Pod tym względem Galicja o tyle stoi niżej od innych krajów Austrii, że produkuje materiał lichszy — mniejsze sztuki o gorszej jakości mięsa. Tyczy się to zarówno bydła jak i trzody chlewnej. W każdym razie produkcja ta daje rolnictwu naszemu o wiele większe wpływy gotówki, niż produkcja nabiału. Biorąc pod uwagę, że przeciętny wiek krów u nas nie przekracza zapewne 6 lat, na rzeź bowiem idzie sporo jałowizny, a krowy trzyma się do lat 10—12, dojdziemy do przekonania, że po uwzględnieniu pewnego procentu na »upadek«, na rzeź idzie rocznie jakich 400 do 450 tysięcy sztuk. Oprócz tego sprzedaje się na mięso także znaczna bardzo ilość cieląt. Zapewne prędzej się omyłę in minus, niż in plus, jeżeli po odliczeniu upadku cieląt, przyjmę, iż 2.700.000 bydła galicyjskiego dają rocznie 1.500.000 cieląt. Blizko trzecia część pozostaje z tego na chów zaś $\frac{2}{3}$ idą na sprzedaż.

Oczywiście rachunek ten jest niezmiernie luźny, w każdym razie z niego można wnioskować, że rolnictwo galicyjskie z tej gałęzi czerpie co roku dochodu w gotówce kilkadziesiąt milionów koron (70, 80 a może i 100 milionów).

To samo da się powiedzieć i o hodowli trzody chlewnej. Jest to też produkt, dający grosz gotowy, przytym gospodarstwo im jest mniejsze, tym więcej stosunkowo trzyma świń. Wprawdzie to samo trzeba powiedzieć i o bydło, jednak przy trzodzie zjawisko to występuje o wiele wybitniej. Obliczyć jednak, ile trzoda chlewna daje rolnictwu gotówki, jest już zupełnym niepodobieństwem. Pochodzi to z dwu przyczyn: po pierwsze skutek tego, że znaczny bardzo procent świń bije rolnik na własny użytek, po drugie zaś, że,

o ile bydło przeważnie trzyma się na paszy, wytworzonej w gospodarstwie, o tyle znowu trzodę tuczy się paszami kupionymi; — ile wydaje rolnik na te pasze, obliczyć niesposób. W każdym razie, że dochód ze sprzedaży trzody jest znacznie niższy, niż dochód z bydła, to dla mnie, wbrew dosyć powszechnie przyjętemu mniemaniu odwrotnemu, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Tylko dochód brutto bez odliczania kosztów paszy przykupionej wynosi dla tej gałęzi produkcji, być może, nie mniej, niż dochód ze sprzedaży bydła.

O owcach nie będę tutaj mówił; jest ich nie wiele, chowane zaś są przeważnie na własny użytek gospodarza.

Bardzo ważną jeszcze gałęzią produkcji zwierzęcej jest drób. Podług obliczeń lat ostatnich okazało się, że Galicja wywozi rocznie za granicę jaj, drobiu i pierza okrągło za 40 milionów koron. Widzimy więc, iż drób daje bardzo pokaźną sumę dochodu. Oczywiście, że w tych 40 milionach mieści się może około 20 milionów kosztów pośrednictwa w handlu. Zważywszy jednak, że sama Galicja też konsumuje te produkty — tylko zapewne w małej ilości — musimy dojść do przekonania, że drób to potężny czynnik dla gospodarstwa naszego, zwłaszcza małorolnego.

Z tego wszystkiego widzimy więc, że właściwy dochód gotowego grosza daje drobnym rolnikom galicyjskim bynajmniej nie sprzedaż zboża, ani nabiału lecz produktów zwierzęcych, że tak powiem, surowych. Większa własność przeciwnie więcej czerpie dochodów z produkcji rolniczej i z nabiału, chociaż i sprzedaż wspomnianych produktów zwierzęcych też znaczną ilość gotówki jej niesie.

Pouczające są cyfry porównawcze rozmieszczenia

zwierząt domowych na własność większą i mniejszą. W Galicji przypadało:

	na obszary dworskie	na drobną własność
koni	14 ⁰ / ₀	86 ⁰ / ₀
bydła	12 ⁰ / ₀	88 ⁰ / ₀
trzody	7 ⁰ / ₀	93 ⁰ / ₀

Widzimy, jak mało stosunkowo mają inwentarza żywego dwory. Pomijając więc już to, że włościanin nasz, trzymając za dużo koni, ma ich przez to znacznie więcej, niż dwory, chowa on także o wiele więcej bydła i trzody. Pochodzi to w głównej mierze stąd, że każdy choćby najmniejszy z gospodarzy stara się przeciw choć jedną krowinę i parę świń utrzymać, zdobywając im w rozmaity sposób paszę z zewnątrz gospodarstwa. Pozatym zaś dwory, mając bydło lepsze, mogą trzymać co do ilości mniej; bardzo często także mała ilość bydła w gospodarstwie większym jest bezpośrednim wynikiem braku kapitału na zakupno.

Znacznie gorzej od produkcji rolniczej albo zwierzęcej przedstawia się w Galicji produkcja ogrodnicza, to znaczy produkcja warzyw i owoców. Kraje intensywnej kultury rolnej zwykle czerpią bardzo znaczne dochody z tej produkcji, my jednak stoimy jeszcze na tym stopniu rozwoju, na którym ta gałąź gospodarstwa wiejskiego traktowana jest jako coś zupełnie podrzędnego, ubocznego. Warzywa za wyjątkiem okolic podmiejskich produkują się na własny przeważnie użytek gospodarza, sady zaś powstanie swoje zawdzięczają albo przypadkowi niemal, albo też specjalnemu zamiłowaniu danego gospodarza do drzew. Myśli jednak założenia ogrodu na większą skalę, porządnie utrzymywanego i z racjonalnym doborem odmian, do ostatnich niemal chwil nie można było spotkać po

wsiach naszych wcale. W specjalnych tylko warunkach, gdzie czynniki naturalne rzucają w oczy łatwość i częściowo rentowność uprawy drzew owocowych, tam tylko udało się do pewnego stopnia stworzyć u ludności zamiłowanie do pracy w tym kierunku i tam też rozwija się sadownictwo coraz pomyślniej. Takim położeniem odznaczają się między innymi okolice Zaleszczyk, posiadające klimat nader sprzyjający rozwojowi szlachetnych nawet owoców, jak morele, delikatne gatunki gruszek i t. p., następnie powiaty podgórze Beskidu zachodniego, gdzie śliwki węgierki znajdują świetne warunki rozwoju. Znalazłoby się jeszcze kilka zakątków kraju o wyjątkowo pomyślnych warunkach rozwoju owocarstwa, jednakże dotychczas racjonalny ruch w tym kierunku znać tylko w tych dwu rejonach. (Szerzej kwestja pracy społecznej na polu dźwignięcia kultury ogrodowej poruszona będzie w rozdziale III).

Jeżeli mówię, że znalazłoby się kilka zakątków o specjalnie pomyślnych warunkach rozwoju sadownictwa, nie znaczy to bynajmniej, żeby naogół Galicja przedstawiała pod tym względem teren nieodpowiedni. Wcale tak nie jest. Oczywiście, że nie można kraju naszego porównać n. p. do Węgier, gdzie o wiele cieplejszy klimat i silniejsza insolacja latem dają warunki znacznie lepsze od naszych. W każdym jednak razie i pod względem klimatu i pod względem gleby Galicja to wcale jeszcze dobry teren dla drzew owocowych, zwłaszcza jabłoni. Wschodnia część kraju ma przytym przewagę nad zachodnią. Jeżeli dotychczas sadownictwo stoi u nas tak nisko, to tylko wskutek braku umiejętności chodzenia koło sadów u ludności rolnej, oraz braku odpowiednio zorganizowanego handlu owocami. Jaka dezorganizacja panuje pod tym ostatnim

względem, świadczą chociażby ceny owoców w wyjątkowo urodzajnym na nie roku 1908, kiedy na prowincji można było mieć jabłka po 5—10 koron za 100 kg., podczas gdy za te same owoce we Lwowie trzeba było płacić w handlu detalicznym po 48 hal. do 1 korony za kilogram. Z powodu takich cen miasta nie są przyzwyczajone do znaczniejszej konsumpcji owoców, to zaś wywołuje brak zbytu na i tak niewielką produkcję. Nadmiar więc bez opakowania idzie po ogromnie niskich cenach do Prus na konserwy.

Inaczej nieco przedstawia się produkcja warzyw na sprzedaż. Umieściowała się ona za nielicznymi wyjątkami w sąsiedztwie miast, a częściowo i miasteczek. Tutaj już niema mowy o niskich cenach, gdyż gospodarz przeważnie sam sprzedaje bezpośrednio produkta swoje konsumentowi. I gdyby naprz. ogrodnik niemiecki lub belgijski swoje znacznie lepsze warzywa mógł sprzedawać po tej samej cenie, co nasz chłop, nie życzyłby zapewne sobie nic lepszego. W rzeczy samej ceny warzyw po miastach naszych o wiele przewyższają ceny tych produktów w Europie zachodniej. Znowu pochodzi to z dezorganizacji handlu — gospodarz, sprzedający warzywa, bynajmniej nie uważa tego za osiągnięcie w ten sposób dochodu z ziemi, produkującej te warzywa: dla niego sprzedaż tych produktów to jakby wyjście na zarobek, na dniówkę dajmy na to. Niech np. sprzeda dzisiaj na rynku produktów swoich za dziesięć koron — to bezwiednie uważa on, że dzisiaj »zarobił« te dziesięć koron. Gdyby był on zdolny odnieść ten dochód do ziemi, toby się wnet przekonał, że kultura warzyw daje mu z jednostki przestrzeni bajeczne dochody, coby skłoniło go do znacznego jej rozszerzenia. Jednak kalkulacja chłopca zawsze jest ta sama: będę mógł tyle a tyle razy wyje-

chać na rynek, za każdym razem sprzedam tyle a tyle warzyw, a więc zasadzić trzeba tyle a tyle zagonów; — nie chodzi o produkcję, tylko o przygotowanie sposobności do tego swoistego zarobku.

Z drugiej znowu strony te niezmiernie wysokie ceny warzyw hamują konsumpcję, a przez to i produkcja do należytych rozmiarów dojść nie może.

Rocznik statystyczny ministerjum rolnictwa podaje cyfry produkcji owoców różnych krajów; są one jednak wprost chimeryczne, zwłaszcza dla produkcji Galicji, wartości więc żadnej mieć nie mogą. Przytaczać ich wobec tego nie mam potrzeby, wspomnę chyba tylko, że liczba, odnosząca się do produkcji Galicji, stanowi zwykle zaledwie kilka procent produkcji Czech.

Z kolei należałoby jeszcze omówić produkcję gospodarstwa leśnego kraju. Ponieważ jednak z kwestją rolną właściwie nie ma ona związku, przeto ograniczę się tylko do kilku dat, tyjących się przestrzeni, szerzej zaś pomówię o stosunku kultury leśnej do kwestji przeludnienia.

Naogół lasy zajmują w Galicji 2.020.212 ha¹⁾ czyli 25.8% całej jej powierzchni. Z tego należy do:

Rządu	14.0%
gmin	5.2%
funduszu religijnego	6.2%
prywatnej własności	74.0%

Las z natury swej jest jako typ gospodarstwa bardzo odpowiedni dla największej posiadłości ziemskiej: jest to kultura do najwyższego stopnia ekstensywna, wymagająca mało bardzo kapitału obrotowego, mało rąk roboczych, wogóle mało pracy i dozoru.

¹⁾ Bujak: Galicja. — Patrz odnośnik na str. 5.

A chociaż nowoczesne metody uprawy lasu wymagają więcej, niż dawniej, nakładu pracy przy zalesianiu porąb, następnie przy trzebieeniu lasu i utrzymywaniu go w porządku, to jednak wszystko to nie może być porównane z pracą, potrzebną do kultury rolnej, gdyż zarówno zasadzenie lasu i trzebież wykonywa się na tym samym kawalku raz na lat 50, 60 lub więcej — zależnie od rozkładu cięć drzewostanów. Wskutek tego las, dając bardzo nizki dochód brutto, przynosi mimo to wcale pokaźny dochód netto, o który gospodarstwom większym tylko chodzi. Latyfundja więc czy też rząd, posiadając wielkie rewiry leśne, nigdy nie mają z niemi tyle kłopotu, co ze znacznie nawet mniejszemi obszarami przestrzeni rolnych. Las nie jest tak bardzo narażony ani na szkody od klęsk elementarnych, ani też dochód netto z produkcji jego nie może ulegać tak znacznym zmianom, jak dochód odpowiedni z rolnictwa, gdzie zależy on i od urodzajów i od cen i od wielu jeszcze innych czynników. Z drugiej strony las jest jakby wolno bardzo rentującym się kapitałem, a raczej może szeregiem stopniowo narastających kapitałów, które powoli coroku po jednym przechodzą w warunkach normalnych do rąk właściciela; — każda partja lasu jest właśnie tym powoli narastającym kapitałem. Bardzo więc łatwo może wziąć właściciela pokusa ściągnąć naraz do swej kieszeni znaczniejszą ilość tych »niedojrzałych« jeszcze kapitałów; — lasy młode i stare idą wtedy pod topór, pozostają zaś nagie, długie lata nieproduktywne poręby. W ten sposób bardzo wiele lasów zostało u nas wyniszczonych, a chociaż obecna ustawa chroni już je od tego, mimo to i teraz jeszcze to pustoszenie, wprawdzie w mniejszych ilościach, jednak istnieje. Im właściciel ma mniej lasu, tym bardziej narażony on jest na pokusę wycięcia

go w całości. Z tego to powodu widzimy coraz większe koncentrowanie się lasów w rękach posiadaczy latyfundiów. Trzeba też przyznać, że z prywatnych rąk są to najlepsze jeszcze, które las należyście uszanować potrafią.

Z powodu swej naturalnie ekstensywnej kultury z jednej strony, a skupienia się w ręku nielicznych wielkich posiadaczy z drugiej, las daje dochód przeważnie tylko tym posiadaczom, podczas gdy szersze masy ludności korzystają z niego bardzo mało. Inna zupełnie jest rzecz przy kulturze rolnej, zwłaszcza intensywnej — tam dochód brutto jest bardzo wysoki; dochodem zaś tym właściciel musi dzielić się z licznymi rzeszami pracowników, z producentami zużytkowywanych przez gospodarstwo surogatów i t. p. Dochód brutto po odliczeniu tylko surogatów, sprowadzonych do gospodarstwa z zagranicy, jest stale dochodem ogólnospołecznym, dochód netto jest zaś dochodem osobistym. Im więc dochód brutto, nawet bez względu na dochód netto, będzie wyższy, tym gospodarstwo dane będzie naogół społecznie pożyteczniejsze i produktywniejsze. Z tego wynika, że las przedstawia nam gospodarstwo najmniej społecznie produktywne ze wszystkich gałęzi gospodarstwa wiejskiego.

Z drugiej strony ta zła strona lasu jest w znacznym stopniu kompensowana jego wpływem na stosunki hydrologiczno-klimatyczne. Mimo to przecież nasuwa się pytanie, czy wobec przeludnienia kraju nie należałoby dążyć do pewnego zredukowania powierzchni lasu na korzyść powierzchni ról? Oczywiście, że w znacznym stopniu redukcja taka byłaby i szkodliwa i niemożliwa: szkodliwa, ponieważ zbyt szczupła ilość lasów wywołałaby brak materiału drzewnego, a oprócz tego odbiłaby się na pogorszeniu warunków klimatycznych; — niemożliwa, ponieważ lasy zajmują obecnie

w znacznym stopniu tereny, pod uprawę rolną niezdatne — góry, piaski. W każdym jednak razie są tereny, zajęte przez las, któreby mimo to doskonale nadawały się pod pług. Moim zdaniem, zredukowanie więc ilości lasów Galicji, zależnie od powiatu, o kilka, kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt procent, byłoby teoretycznie z tych względów bardzo wskazane. Inna rzecz, że może to okazać się zupełnie niemożliwe ze względu na koncentrację obszarów leśnych w rękach takich posiadaczy, dla których bynajmniej redukcja taka korzystna nie będzie.

Ze wszystkiego wyżej powiedzianego widzimy, iż Galicja w stosunku do przestrzeni swej produkuje ogromnie mało. Daleko jednak gorzej wypada produkcja obliczona w stosunku do stopnia zaludnienia. Szczepanowski twierdził, że nie masz drugiego kraju na całej kuli ziemskiej, gdzieby produkcja była tak niską na głowę ludności, jak w Galicji¹⁾. Wynikałoby więc z tego, że Galicja to najbiedniejszy kraj na całym świecie. Oczywiście zdanie to jest nieco przesadzone; w owe czasy jednak, gdy Szczepanowski występował z projektem odrodzenia kraju, być może miał nawet absolutną rację. W każdym razie, jeżeli chodzi o produkcję rolniczą, to do jej wytworzenia wcale tak gęstej ludności, jak w Galicji nie potrzeba. Jeżelibyśmy obliczyli ilość osób zawodowo czynnych w rolnictwie, żyjących na 1 klm² powierzchni rolniczej, tobyśmy otrzymali u nas cyfrę 70, a w Niemczech np. przy znacznie intensywniejszej kulturze tylko 25²⁾.

Bujak, omawiając w swoim dziele (»Galicja«) sto-

¹⁾ Szczepanowski: Nędza Galicji w cyfrach.

²⁾ Cyfra dla r. 1895 — Stat. Jahrb. des Deut. Reiches B. 112 r. 1898.

sunki te, podaje następujące obliczenie potrzebnej przy odpowiednim stanie kultury rolnej robocizny (podług Tomalskiego).

Na 1 ha roli potrzeba rocznie dni roboczych:

w Galicji Wschodniej	41.4
w Galicji Zachodniej	45.0
na Śląsku austriackim	67.2
na Morawach	82.8

Zaś na 100 ha przestrzeni potrzeba robotnika:

	latem	w zimie	1 robotnik przypada latem na
Galicja wschodnia	16.2	12.9	} ± 6 ha
» zachodnia	18.6	13.7	
Śląsk austriacki	29.1	20.1	3.4 ha
Morawy	36.4	24.5	2.7 ha

Cyfry te nie mogą mieć pretensji do wielkiej ścisłości, komicznie więc nieco wyglądają przyczepione do nich ułamki. W każdym razie, że w znacznym stopniu zbliżają się one przecież do prawdy, o tym poświadczyć może każdy agronom praktyk.

Kierując się do pewnego stopnia temi cyframi, Bujak oblicza, że zbywa Galicji 1.200.000 rąk roboczych w rolnictwie. Cyfra olbrzymia rzeczywiście, czy jednak prawdziwa?

Że mamy w kraju za wiele rąk roboczych o tym oczywiście dwóch zdań być nie może; w każdym jednak razie trzeba wziąć pod uwagę fakt, że u nas pracują na roli obok ludzi dorosłych i młodzieży także dzieci, wskutek czego ilość np. ludności zawodowoczynnej, nie dochodząca w innych krajach do 50%, ogółu ludności rolniczej, u nas wzrasta aż do 70%. To

jest więc jedną dosyć nawet ważną przyczyną, wpływającą na małą produktywność pracy ludności rolniczej. O innych przyczynach powiem później. W każdym razie przy umiejętnym wyzyskaniu pracujących na roli sił roboczych, bez podniesienia intensywności kultury, zbywałoby ich i tak nawet znacznie więcej, niż Bujak oblicza — może dwa miliony a może i $2\frac{1}{2}$ t. j. 60—70% obecnie zatrudnionych pracowników.

Już w obecnej chwili znaczna część tej ludności nie znajduje dla siebie na roli ani dostatecznego zajęcia, ani chleba, musi więc szukać zarobków postronnych. Podług spisu r. 1902 rzeczywiście 120,000 gospodarstw posługuje się zarobkiem w przemyśle, w rzemiosłach lub też prowadzi na większą lub mniejszą skalę przemysł domowy, zaś 430.000 gospodarstw czerpie dochody uboczne z zarobków w rolnictwie i w emigracji. Razem więc 550.000 gospodarstw, a więc 65% ogólnej ilości posługuje się już obecnie jakimiś pracami ubocznymi. Zarobki te są zazwyczaj tylko sezonowe t. j. nie dają zatrudnienia całorocznego tak, że kwestja nadmiaru rąk roboczych na wsi nie jest przez to bynajmniej rozwiązana.

Spostrzegamy więc ciekawe zjawisko: ziemi Galicja posiada za mało, rąk roboczych — za wiele, inwentarza roboczego — również za wiele, wogóle zaś inwentarza żywego, produkującego nawóz, od którego w znacznym stopniu zależy produkcja pól — ilość dostateczną. Zdawałoby się, iż wobec tego powinna byłaby przynajmniej uprawa polowa być wzorowa, pola powinnyby wydawać plony ogromne. Tymczasem jest wręcz coś odwrotnego — pola i inne użytki rolne dają zbiory bardzo a bardzo niskie. Gdzież więc szukać przyczyny tego? Przecież nie w warunkach naturalnych rolnictwa, gdyż te, jakem mówił, są wcale nie

gorsze, niż np. w Niemczech. Bez przyczyny nic istnieć nie może, więc i to powinno mieć swoje przyczyny, trzeba je tylko umieć znaleźć.

Nim przystąpię do wyszukiwania tych przyczyn, zaznaczę jeszcze, że każdy objaw życia gospodarczego, jak i wogóle każdy objaw życia zbiorowego, posiada przyczyny nader różnorodne i skomplikowane. Poznać je wszystkie jest niepodobieństwem; poznać ich większą część — jest możliwe, ale na to trzeba całych lat studjów i ekonomicznych i rolniczych i historycznych, ba nawet antropologiczno-etnograficznych i psychologicznych. Jeżeli więc mówię, iż przystępuję do opisu przyczyn, wywołujących ten stan patologiczny, to mam na myśli tylko w obecnej chwili działające przyczyny natury ekonomiczno-rolniczej, a częściowo psychicznej — przyczyny, które dałoby się usunąć, a przez to dźwignąć w znacznym stopniu rolnictwo nasze. Jeżeli zjawisko jakie jest sumą pochodnych, sumą funkcji wielu bardzo czynników sobie nierównych, to zdarzyć się może, iż jeden czynnik jest tak silny, iż usunięcie jego obniża odrazu intensywność zjawiska o całą połowę np.; usunięcie dwu lub trzech czynników najsilniejszych może już obniżyć tę intensywność o $\frac{3}{4}$ i więcej. Usunie się więc na ilość czynników tych nieznaczny tylko procent, skutek zaś zmieni się bardzo znacznie. Wykazanie więc kilku najpotężniejszych czynników, hamujących rozwój naszego rolnictwa, będzie zadaniem drugiej połowy rozdziału niniejszego.

Żyjąc stale w pewnym otoczeniu, każdy niemal z nas przyzwyczaja się w tym stopniu do otaczającego go środowiska, iż mimowoli zatracą względem niego wszelki krytycyzm. Społeczeństwo nasze, stykające się stale z wiecznie ciemnym i wynędzniałym ludem gali-

cyjskim, przyzwyczało się już do nędzy tego ludu, przyzwyczało się do tego stopnia, że wcale mu się anomalją nie wydaje, iż np. chłop niemiecki lub francuski żyje w porównaniu z chłopem galicyjskim, jak król. Jeżeli więc nawet ktoś dokładnie zdaje sobie sprawę z tej olbrzymiej różnicy w stopie życiowej jednego i drugiego, mimo to nie przychodzi mu nawet na myśl zastanowić się, dlaczego tak jest. A gdy podobne pytanie niejako samo się nasunie, zbywa się je bardzo łatwo odpowiedzią: nie doszliśmy jeszcze do tego stanu kultury, co Europa.

Trzeba przyznać, że odpowiedź taka nie pozbawiona jest racji: bez kwestji iż nie doszliśmy jeszcze do tego stanu kultury... ale przecież to nie jest przyczyna naszego upośledzenia, lecz zupełnie z nim równoznaczny skutek tych samych przyczyn. Gdybyśmy mieli dobrobyt Europy Zachodniej, mielibyśmy i jej kulturę: prędzej więc dobrobyt jest przyczyną, a kultura skutkiem, niż naodwrot.

Niekiedy słyszeć można głosy, składające winę tego stanu na »warunki historyczne i geograficzne«. To twierdzenie jest już o wiele słuszniejsze, tylko że, moim zdaniem, warunki te pomimo wszystko nie są tak potężne w chwili obecnej, jak dajmy na to, były lat temu pięćdziesiąt. Przecież już od lat czterdziestu ma Galicja samorząd, ma możliwość rozwoju ekonomicznego, dlaczego więc przez czas ten dźwignęła się tak mało ze swego upadku? Dlaczego Litwa etnograficzna — kraj obecnie nawet więcej skrzepowany przez rząd zaborczy, niż Galicja z pierwszej połowy wieku ubiegłego — dlaczego kraj ten posiada rolnictwo może nie kwitnące, jednak będące podstawą dobrobytu szerokich mas? Dlaczego chłop litewski zdobył się na wydanie ze swych szeregów bardzo licznej obecnie inteligencji?

Dlaczego każdy, znający Litwę, przyzna mi rację, jeżeli powiem, że zapoczątkowana obecnie praca oświatowo rolnicza wyda tam w ciągu lat dziesięciu znacznie większe owoce, niż w Galicji ta sama praca w ciągu lat dwudziestu pięciu? Zapewne, że położenie geograficzne Litwy jest pod tym względem lepsze — posiada ona wzory dobrego gospodarstwa z dwu stron: z południa — Prusy, z północy — Kurlandję; również Litwini, jako szczerp etnograficzny, wykazują więcej rzutkości, więcej inteligencji wrodzonej, niż Polacy — mimo to przecież różnica, przy pozostałych tych samych warunkach, powinnaby była wypaść na korzyść naszą, a nie odwrotnie. My mamy za sobą 40 lat pracy samorządnej, oni tego wcale nie posiadają. Jeżeli więc kultura rolna tak opornie się rozwija w kraju naszym, toć muszą być przyczyny, które w sposób bardzo silny ją hamują. Przyczyny te są dobrze znane tylko należycie niedoceniane.

Najbardziej rzucająca się w oczy i powszechnie znana bolączka drobnych gospodarstw wsi galicyjskiej jest *s zachownica* czyli rozrzucenie gruntu tego samego właściciela w wielu kawałkach. Do jakiego stopnia doszło to rozkawałkowanie u nas, można sądzić z ilości zapisanych w katastrze parcel: mianowicie Galicja liczy obecnie 18 milionów parcel, należących do mniej więcej miliona gospodarstw, na jedno gospodarstwo wypada więc przeciętnie 18 parcel.

Cyfra ta nie jest zresztą dokładna, ponieważ pewne większe kompleksy gruntów rozbiła mapa katastralna na szereg przylegających do siebie parcel, zaś na wielu łąkach, oznaczonych jedną parcelą, siedzi po dwu i więcej współwłaścicieli, podzieliwszy tę parcelę na kilka części. Sądząc z obserwacji własnej, dochodzę do przekonania, że te dwa czynniki są niemal równozna-

czne, tak, że można przyjąć, iż cyfra 18 dosyć dobrze odpowiada ilości parcel, przypadających na jedno gospodarstwo.

Tak znaczne rozkawałkowanie idzie w dodatku często w parze z nader wadliwym kształtem poszczególnych parcel, w wielu wsiach bowiem grunta podzielone są na wąziutkie a bardzo długie pasy, tak zwane sznury. Skrawek taki gruntu szeroki nieraz zaledwie na parę metrów ciągnie się na dwa, trzy i więcej kilometrów.

Widzimy więc do jak potwornych rozmiarów doszła szachownica u nas. Zdarzało mi się nieraz oglądać gospodarstwa, gdzie rozkawałkowanie było wprost humorystyczne: n. p. w Niedźwiadzie w pow. Ropczyckim skarżył się jeden z gospodarzy, iż ma swoje dwanaście morgów w 61 kawałku, w dodatku teren tej wsi jest górzysty, zaś powierzchni zajmuje ona chyba conajmniej 25 kilometrów kw. Na tak znacznej przestrzeni rozrzucone ma on swe grunta pomiędzy dolami i górami, pomiędzy polami, łąkami i lasami. Słyszałem również o drugim wypadku, gdzie gospodarz 40 morgów miał w 160 kawałkach (pod Jasłem). Są to obrazki, które dosadnie malują stan rzeczy doprowadzony już do absurdu. Zresztą cyfra przeciętna — 18 parcel na jedno gospodarstwo — jest sama nader wymowna. Dodajmy do tego, że wielka część wsi naszych posiada teren górzysty, co w znacznym jeszcze stopniu podnosi złe skutki szachownicy. Apriori już musimy więc dojść do przekonania, że jest to zło wagi pierwszorzędnej.

Pierwszym skutkiem szachownicy jest niepomierne podniesienie się pracy, potrzebnej do wykonywania tych samych czynności. Wziąć choćby tylko wywożenie gnoju. Widziałem n. p. jak góral, mając grunt przy domu, sam własnoręcznie na takach, nawet bez po-

mocy dzieci lub żony, zawoził obornikiem czwartą albo i trzecią część morga; widziałem z drugiej strony, jak cztery wynajęte za 15 koron konie (licząc z utrzymaniem konia i fernala) zawoziły za ledwie $\frac{1}{4}$ — $\frac{1}{5}$ morgi, gnój bowiem trzeba było wozić parę kilometrów w górę. Jak więc ogromna różnica jest w nakładzie pracy tu i tam, a przecież skutek jej jest ten sam! W pierwszym wypadku koszt wynawożenia morga wynosi czterokrotną cenę dnia roboczego, a więc 4 do 6 koron, w drugim — 60 koron, a może i więcej jeszcze. Oczywiście są to przykłady skrajne, jednak w normalnych naszych warunkach zwiększenie kosztów wywozu obornika w porównaniu do takich kosztów gospodarstwa fermowego jest kilkakrotne conajmniej.

Podobnie rzecz się ma i przy zwózce zbóż i innych płodów z pól: ile czasu zmarnuje się wskutek odległości, ile zboża się wysypie na dalszej drodze, tego i przeliczyć niepodobna. Zresztą, gdy przyjdą na czas żniw słoty, to gospodarz, mając swe pola przy domu pod okiem, łatwiej ustrzeże się strat, łatwiej porwie zboże w czas z pola. Nie tylko więc pracy sobie zaoszczędzi, ale i uniknie znacznej nieraz klęski, co można było dobrze obserwować w r. 1908.

Wogóle zaś każda niemal praca na większym łanie idzie lepiej i sporzej, niż na małym skrawku. Uprawa mechaniczna np. jest na małej parceli utrudniona przez ciągłe nawracanie, rzadko zaś która praca zajmuje dzień cały lub pół dnia — zwykle wykonaną zostaje w ciągu paru godzin np., a następnie trzeba przechodzić na inną parcelę. Kto nie zna gospodarstwa rolnego, ten może i nie zdaje sobie sprawy, jak to ciągłe przerywanie roboty, przechodzenie z jednej parceli na drugą, jak wogóle ta dorywczność utrudnia pracę rolnika: przede wszystkim marnuje się czas na samo przechodzenie.

Ale nie koniec na tym: usilna praca mechaniczna wtedy tylko idzie dobrze, gdy człowiek w niej się automatyzuje. Doskonale to uchwycił Tolstoj w powieści Anna Karienina, gdzie każe bohaterowi swemu Lewinowi kosić kilka dni z rzędu: pierwotnie trudna praca, wymagająca skupienia uwagi, powoli przechodzi w automatyczne zupełnie odruchy; czas mija niepostrzegalnie, mięśnie nie czują zmęczenia, praca zaś idzie i dobrze i szybko. To automatyzowanie się pracownika na parcelach małych jest ciągle przerywane, a więc i neutralizowane niejako.

Niemalą też wadą gospodarstw rozrzuconych, zwłaszcza większych, jest znaczne utrudnienie dozoru robotników, co również należy uznać za czynnik, zmniejszający wydajność pracy.

Następnie wielkie utrudnienia płyną bezpośrednio z nieracjonalnego rozmieszczenia terytorjalnego gruntów. Większość parcel wsi naszych nie ma n. p. bezpośredniego dojazdu ani dostępu. Krępuje to w znacznym stopniu gospodarza przy przeznaczaniu parceli pod tę lub inną roślinę. Nie może np. on zasiać żyta na takiej parceli, do której można dojechać tylko przez pole sąsiada, na którym ma być owies, nie zwiózłby bowiem tego żyta. Musi więc liczyć się z tym, co sąsiedzi sieją i sadzą, aby mieć możliwość dostępu w odpowiednim czasie do swego pola. Z drugiej strony wskutek tej ostatniej przyczyny, a także i wogóle wskutek wielkiej pstrokaczny gruntów, rozrzuconych na znacznej przestrzeni, nie może być mowy o jakimś odpowiadającym wymogom nauki rolniczej zmianowaniu. To też nasze gospodarstwa chłopskie z reguły nie posiadają ustalonych zmianowań, prowadząc gospodarkę dowolną, często dla braku wiedzy rolniczej bardzo nieracjonalną.

Zresztą nawet gałęzie gospodarstwa, na pozór niezależne od tego lub innego rozmieszczenia gruntów, cierpią bezpośrednio od rozkawałkowania pól. Np. hodowla bydła lub trzody znaczne mogłaby zrobić postępy, gdyby gospodarz miał swe grunta przy domu — z łatwością dalby się wtedy wprowadzić w życie sposób duński pasania krów na żyznych pastwiskach sztucznych na linkach, a trzody w odpowiednich przenośnych zagrodach. Sposób ten, pomijając inne korzyści, zaoszczędziłby pracę niezliczonej ilości dzieci i podrostków, którzy obecnie pasą po dwie trzy lub najwyżej kilka sztuk bydła zosobna. Przy szachownicy jednak wprowadzenie go w życie jest niemożliwe, ponieważ pola są za daleko, w zbyt małych kawałkach, a często i niedostępne, aby można było tam pędzić i pozostawiać bez dozoru bydło lub trzodę.

We współżyciu mieszkańców wsi szachownica gruntów daje nieskończony szereg swarów, zatargów i procesów, rozwija niszczące całe zagrody pieniactwo. Worywanie się w cudze grunta, szkody umyślne lub nieumyślne przy pasaniu bydła, przy wykonywaniu prac rozmaitych — wszystko to jest wynikiem szachownicy, a powodem do bezustannych kłótni pomiędzy sąsiadami. Jak demoralizująco wpływa to na ludność, jak utrudnia pracę na polu zrzeszeń rolniczych, o tym mówić nawet nie trzeba.

Przy omawianiu wad szachownicy podnoszona także bywa stale nadmierna ilość miedzi; oblicza się zwykle jaki procent pola odchodzi na miedze przy rozmaitych wielkościach parcel. Czynniki ten w rzeczy samej pewną rolę odgrywa, w każdym jednak razie w porównaniu z innymi wadami szachownicy jest to może najmniejsza, boć u nas i miedze nieproduktywnymi już nie są — wyrzyna się z nich trawę bardzo

skrzętnie, aby zbierać coś dla bydła »do doju«. Wobec tego nie ma też tak wielkiej szkody z zachwaszczania pól przez miedze, gdyż znaczna część zielska nie zdąży wydać tam nasienia przed zżęciem.

Wogóle zaś szachownica zagwałdza postęp poszczególnych gospodarstw. Bo proszę sobie wyobrazić, w jaki sposób gospodarzowi, mającemu pola porozrzucane w małych skrawkach na przestrzeni kilkunastu kilometrów kwadratowych, może przyjść do głowy myśl poprawy gruntów przez zdrenowanie? w jaki sposób może wpaść on na pomysł założenia pastwiska sztucznego? czy opłaci mu się rozszerzać uprawę warzyw, kiedy cały plon rozkradną chłopaki wiejskie? — W którymby się kierunku nie ruszył, zawsze trafi na mur szachownicy; — użycie ulepszonych narzędzi, przejście do lepszych metod uprawy — wszystko to utrudniane jest raz wskutek niewygodnych kształtów parcel, to znowu z powodu obawy, że sąsiedzi wyśmieją za inowację. Mając zaś grunt przy domu w większym kawałku, mógłby sobie rolnik na nikogo nie zwracać uwagi, boć na podwórzu nikt mu nie wlezie i nie zacznie wydrwiwać z jego »nowinek«. Usunięcie zaś choć w części tylko sposobności do drwin już samo w stopniu znacznym popchnie sprawę wprowadzania inowacji i prób wszelkiego rodzaju, niczego bowiem chłop nasz tak się nie boi, jak drwin sąsiadów.

Obok szachownicy, może nawet nie mniej ważny od niej, występuje drugi czynnik, hamujący postęp rolnictwa u nas. Jest nim omawiane już szerzej nazbyt daleko posunięte rozdrobnienie gospodarstw. Mówiłem, iż bezpośrednim skutkiem tego jest stworzenie całego szeregu gospodarstw, nie mogących wyżywić rodziny rolnika, gospodarstw więc społecznie szkodliwych. Nie koniec jednak na tym, że takie zbyt małe

warsztaty rolnicze są wadliwe z punktu widzenia społecznego: są one też wadliwe i z punktu widzenia czysto rolniczo-gospodarczego.

Gospodarstwo rolne, jak i wogóle każde gospodarstwo, opiera się na trzech czynnikach produkcji: ziemi, kapitale i pracy. Jeżeli te trzy czynniki będą racjonalnie między sobą ustosunkowane, to i gospodarstwo pod tym względem będzie racjonalne. Gospodarstwa zaś, w których jeden czynnik będzie w silnym stopniu w porównaniu z innymi zredukowany, racjonalnym już być nie może. W większości naszych gospodarstw włościańskich jest zredukowany czynnik pierwszy t. j. ziemia: są one zbyt drobne, ziemi więc mają za mało. Przypatrzmy się jakie są skutki tego.

Siedzi więc gospodarz z liczną zwykle rodziną na paru lub kilku morgach gruntów, niekiedy zaś i tego niema, bo cała jego posiadłość to móg lub pół morga. Odrazu już rzuca się w oczy to, że przecież na tych kilkunastu zagonach rodzina wieśniaka nie znajdzie dla siebie zatrudnienia dostatecznego, będzie tu stale zachodziło ogromnie nieekonomiczne wyzyskanie pracy samego gospodarza i jego rodziny. Gdyby jeszcze grunta były w jednym kawałku, no to przy jednym lub dwóch morgach możnaby było obrobić je ręcznie — łopatą skopać, broną ręczną zbronować — poszłoby na to sporo pracy ludzkiej, zapłaciłby grunt za tę pracę mało, ale bądź co bądź choć nie marnowałyby się ta praca bezużytecznie. Utrzymać inwentarza pociągowego gospodarstwo takie nie jest w stanie — para koni »zjadłaby całego gospodarza«. Nie mogąc więc ani obrobić gruntu ręcznie, ani też trzymać inwentarza pociągowego, muszą gospodarstwa drobne posługiwać się sprzężajem najętym. Złe strony tego są aż nadto widoczne: przede wszystkim za dzień roboczy płaci się nieraz ceny

bardzo wysokie, począwszy od 6 koron dziennie za parę koni, a skończywszy na 15 i wyżej nieraz. Prócz tej opłaty trzeba te konie nakarmić, dać wikt fernalowi, »poczęstować« go jeszcze, aby lepiej i szybciej robił, tak że wogóle para wynajętych koni kosztuje w najlepszym razie 8 albo i 9 koron. Jeżeli zaś trzeba wynająć 4 konie, naprz. do wożenia obornika pod górę, to koszt ten podskakuje już do 15 koron i wyżej¹⁾.

Mimo wszystko ceny te byłyby jeszcze możliwe, gdyby praca wynajętych koni była odpowiednia i wczas wykonana. W praktyce jednak jest zupełnie inaczej: wykonywa się pracę nie wtedy, gdy trzeba, lecz gdy konie się uda wynająć, a gdy już je się wynajmie do orki i włóczki np., to samemu gospodarzowi zależy na tym, aby przez dzień wykonać roboty jaknajwięcej. Orze się więc pola płytko byle jak, byle więcej tylko zaorać. Zresztą konie wynajęte i narzędzia nie nadają się zwykle do ciężkiej głębokiej uprawy mechanicznej. Wskutek tego często miałem możność w zachodniej części kraju obserwować gospodarstwa, gdzie ich właściciele doszli już do »nadmiaru« gnoju. Dla każdego rolnika jasnym jest, że prawdziwy nadmiar gnoju w gospodarstwie to rzecz fenomenalna niemal. Jeżeli więc gospodarze nasi skarżą się na ten nadmiar, to jest on tylko rzekomy: przewraca się stale n. p. 12 centymetrową warstewkę roli, pakując w nią co drugi rok pełną dawkę obornika, zebranego od krów, utrzymywanych na paszy, w ten lub inny sposób z zewnątrz gospodarstwa zdobytej. Cóż więc dziwnego, że w tej wierzchniej warstwie ziemi nagromadzi się w końcu tyle ruchomych pokarmów azotowych, że wszelkie

¹⁾ W pewnych okolicach za parę koni płaci się nieraz 20 kor. i więcej np. w powiecie białskim.

zboża będą bujały i wylegały? Ileż przez to marnuje się obornika, który racjonalnie użyty przyniosłby zawsze korzyść ogromną?

Prócz tej strony ujemnej najętej robocizny sprzężanej trzeba dodać jeszcze i to, że do orki wynajmuje nasz chłop konie z reguły tylko na wiosnę i latem, ponieważ w jesieni dzień jest krótki, a więc nie wieleby się zrobiło; prócz tego zaś jest obawa, że pole zorane w jesieni, trzeba będzie znowu na wiosnę przeorywać. Pociąga to za sobą skutki znowu bardzo opłakane, gdyż znika dla tak postępujących gospodarstw ten zbawienny wpływ mrozu na ostrą skibę, jaki przy orkach jesiennych stale występuje.

Z drugiej strony gospodarstwa kilkunastomorgowe utrzymują już parę koników, które obrabiają grunta swoje, a częściowo za opłatą i pola gospodarstw mniejszych. Prócz tego z końmi temi jedzie gospodarz i na inne zarobki. W każdym razie takiego wyzyskania pracy sprzężaju, jak na folwarkach, tutaj pomimo tych zarobków spotkać nie można.

Mamy więc z jednej strony gospodarstwa nie posiadające sprzężaju, a przez to wykonywające wszelkie prace nie w porę i wadliwie, z drugiej strony gospodarstwa, trzymające konie, lecz nie mogące dać odpowiedniej ilości pracy, aby utrzymanie sprzężaju jaknajlepiej się opłaciło.

(W ostatnich czasach zaczęto dość szeroko prowadzić agitację za używaniem do zaprzęgu krów. Oczywiście to byłoby najlepsze rozwiązanie kwestji sprzężaju dla gospodarstw małych.)

Mamy więc dwa zjawiska na pozór, zdawałoby się, sprzeczne ze sobą, a jednak de facto nawzajem od siebie zależne: nadmiar rąk roboczych i sprzężaju na wsi i połączone z tym wykonywanie prac w gospodar-

stwie nie w porę i wadliwie. Jedyłą zaś przyczyną tego jest zbytńie rozdrobńienie gospodarstw.

Tak samo, jak źle jest wskutek tego wyzyskiwana praca, tak teź niepotrzebńie więzi się przez rozdrabńiania gospodarstw masę kapitału w budynkach. Zabudowania gospodarskie chociażby najńędźniejsze, jeżeli tylko mają obsługiwać zbyt małą ilość morgów, stają się już przez to ciężarem stosunkowo bardzo wielkim dla gospodarstw. Z punktu widzenia więc ekonomiki gospodarstwa wieś nasza jest zbytńio przeciążona nieprocentującym się kapitałem, uwięzionym w budynkach. To jednak jest jeszcze zło znacznie mniejsze, niż nieodpowiedńie wyzyskanie pracy.

Postawione w takie warunki gospodarstwo drobne, nie dosięgające pewnego minimum, nie jest już w stanie samo wyżywić całej rodziny gospodarza. Minimum to jest dla różnych okolic różne, przeciętnie jednak rzucona nie wiem nawet przez kogo na chybił trafił cyfra 5 ha dosyć dobrze odpowiada rzeczywistości. Właściciel nie sięgającej tego minimum posiadłości musi już szukać jakiegoś zarobku ubocznego. Jeżeli znajdzie na miejscu, a nie jest to zajęcie stałe, to gospodarstwo traci na tym nie wiele. Gdy jednak musi pójść gdzieś w świat albo i na miejscu wziąć jakieś zatrudńienie, zupełnie go absorbujące, to gospodarstwo zaczyna przez to bardzo szybko chylić się do upadku — nie ma głowy rodziny, nie ma mężczyzny silnego, któź, więc dopatrzy pracy, kto ją wczas wykona? Co raz gorzej prosperujące przez to gospodarstwo schodzi na plan dalszy, a głównym środkiem do utrzymania rodziny staje się dla jego właściciela zarobek uboczny. Jeżeli więc odczuwa on nawet pewną potrzebę poprawy stopy życiowej, to zwykle już nie szuka zwiększonego dochodu z gospodarstwa, a raczej na odwrot z uszczerb-

kiem tego gospodarstwa, wynajduje coraz bardziej absorbujące zajęcia dla siebie i dla podrastających dzieci, gospodarstwo zaś służy do produkcji małej ilości zboża, ziemniaków i częściowo daje utrzymanie dla jednej lub dwu krów. Ustaje więc tu często wszelka podnieta do postępu w rolnictwie.

Podałem więc dwie wady kardynalne naszych gospodarstw drobnych, teraz zaś zastanówmy się nieco nad tu i ówdzie podnoszoną rzekomą niezdarnością i lenistwem ludu naszego.

Szczepanowski¹⁾ twierdził, że wygłodzony wieśniak galicyjski w stosunku do robotnika europejskiego potrafi pracować tylko za ćwierć człowieka. Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że może i ma on rację, gdyż, jakem mówił, u nas przypada aż 70 osób zawodowo czynnych w rolnictwie na 1 klm² przestrzeni rolniczej, podczas gdy np. w Niemczech ta cyfra wynosi 25 tylko osób, praca zaś u nas jest wykonywana gorzej, niż tam. Że jednak lud nasz nie jest ani niezdolny do pracy, ani też leniwy, że przeciwnie pod tym względem pobija niemal wszystkie narodowości środkowej i południowej Europy, tego dowodem jest praca akordowa naszych obieżysasów. Wiadomo, jak obieżysasi cenią te gospodarstwa, gdzie dużo można robić na akord. Wykonywają oni wtedy nieprawdopodobne ilości tej pracy, zarabiając bardzo wiele. N. p. kosiarze nasi z podnóża Tatr, gdy trafią na dobrą łąkę, potrafią dziennie wykosić cztery morgi magdeburskie, czyli 1 hektar. Opowiadał mi jeden z kosiarzy takich, iż gdy oni we czterech wykosili w jednym z dworów niemieckich w ciągu trzech dni z górą 40 morgów (mgd.) to »pan inspektor i panicz (praktykant?) po kilka razy

¹⁾ »Nędza Galicji«.

mierzili tę łąkę, gdyż nie mogli uwierzyć, abyśmy potrafili tak dużo wykosić». Innym razem opowiadano mi, iż dwóch chłopaków 17-letnich, postawionych do przykrywania kopców, zarobiło w ciągu czterech dni 41 marek, »bo kazano nam się śpieszyć«. Sam w praktyce rolniczej miałem wypadki, że 17—18 letni chłopacy zarabiali u mnie przy pracy ziemnej na akord po 3 korony na dzień. Wogóle ile razy dawałem ciężką pracę ziemną na akord, podziwiać musiałem pracowitość i wytrzymałość naszego chłopca. Znam bardzo dobrze żelazną wytrzymałość w pracy Litwinów i Łotyszów, tych narodów, które bez tej wytrzymałości zginąćby musiały w walce z surową naturą, a jednak nie mogę powiedzieć, aby nasz robotnik polski bardzo im ustępował w pracy akordowej. Na twierdzenie więc, jakoby chłop polski nie zdolny był do pracy intensywnej, zgodzić się nie mogę. Co się tyczy Rusinów, to jest to szczerp o wiele już mniej pracowity; jednak Rusin jest nie tyle nie zdolny do pracy, co leniwy. Dla niego największą zdaje się rozkoszą jest dolce far niente.

Tak czy owak, trzeba przyznać, że o ile u Rusinów upadek gospodarstw rolnych można częściowo złożyć na karb ich lenistwa, o tyle u Polaków jest to zupełnie wykluczone. Mimo to przecież przyznać muszę, iż narzekania właścicieli ziemskich na lenistwo robotnika zarówno we wschodniej, jak i zachodniej części kraju są zupełnie uzasadnione. W rzeczy samej, gdy robotnik idzie u nas »na pańskie«, na dniówkę, pracuje nieraz niżej wszelkiej krytyki. Ten sam zaś robotnik »na Saksach« pracuje już i na dniówkę zupełnie inaczej. Przypuszczam, że wytłumaczenia tego zjawiska w żaden sposób nie można szukać w lenistwie ludu. Moim zdaniem, sam wyraz »na pańskie« kryje w sobie tę zagadkę. Dawniej chodzono na odrobki pańszczy-

zniane — »na pańskie«. Każdy gospodarz miał odrobić pewną ilość dni, a nie roboty. Po co więc miał się związać przy pracy? Ludzi było poddostatkiem, dozoru mało, pracowało się więc, byle dzień przeszedł. Pomimo zniesienia pańszczyzny stan ten przetrwał aż do dzisiaj. Ci sami przecież ludzie, idąc już nie na Saksy, lecz do roboty do gospodarzy drobnych swojej wsi, pracują tam bardzo intensywnie, żądają też za tę pracę wynagrodzenia zwykle o jakie 50⁰/₀ a nawet nieraz 100⁰/₀ wyższego, niż we dworze (licząc »poczęstunek« i wikt). Gdy taki robotnik wybiera się na zarobek za granicę, z góry już sobie powiada »a dyć, gdy się jedzie na Saksy, to trza pracować dobrze«. Ilekroć mówiłem naszym obieżysasom, że tu robota jest lżejsza, tam cięższa, zawsze tę samą odpowiedź odbierałem, że pracować trzeba. Jest to wprost sugiestja i miejsca obcego i samego wyjazdu na zarobek. Na miejscu zaś panują stare jeszcze obyczaje pańszczyźniane. Gdy w dodatku w okolicy okaże się robotnika mało, to oczywiście, że czując się panem położenia, najemnik pracować będzie jeszcze gorzej.

Inaczej rzecz się ma już z bandosami, czyli robotnikiem sezonowym, sprowadzonym z dalszych okolic. Bandos taki, przyjechawszy z daleka na zarobek, pracuje zwykle tutaj lepiej, niż u siebie w sąsiednim dworze — znowu ta sama sugiestja wyjazdu na zarobek. Dziwne więc napozór zjawisko sprowadzania robotnika z miejsca A do miejsca B i jednocześnie z B do A ma większą rację bytu, niż niejednemu się zdaje.

Co się tyczy robotnika stałego w gospodarstwie, to zwykle pracuje on nieco lepiej, niż najemnik, ale mimo to jeszcze źle. Oczywiście tutaj przyczyną tego jest przede wszystkim wielkie upośledzenie społeczne

tego robotnika, przygnębienie, brak widoku na jakikolwiek awans i t. d.

Widzimy więc, że chłop polski, jako robotnik, jest typem niejako pośrednim między niezmiernie pracowitym robotnikiem północy (Finem, Łotyszem, Litwinem, Kaszubem, Szwedem, Duńczykiem, Flamańczykiem i t. p.) a próżniakiem zawodowym południa. Jakżeż więc zachowuje się on na własnym zagonie, czy jako pierwszy, czy jako drugi?

Gdy w naturze pewnego człowieka leży dwoistość w pewnym kierunku, więc jak w naszym wypadku raz skłonność do ogromnej pracowitości i zapobiegliwości, to znowu do próżniactwa, oczywiście wszelkie psychiczne wpływy zewnętrzne muszą na takim człowieku odbijać się o wiele silniej, niż na jednostce pozbawionej tej dwoistości. Rzeczywiście po wsiach naszych spotykamy wszędzie doskonale przykłady tego. Gospodarz np., który wypadkowo znajdzie się w pomyślnych warunkach, w warunkach umożliwiających mu przez usilną pracę w gospodarstwie, dorobienia się, rozszerzenia swego gospodarstwa, będzie pracował bardzo usilnie, będzie odbierał sobie od ust, aby tylko dojść czy to do posiadania większej ilości ziemi, czy też do zwiększonej wydajności gospodarstwa. Z drugiej strony jednak wpływ psychiczny na rolnika większości naszych gospodarstw jest nader ujemny, deprymujący jego pracowitość i energję. Przedewszystkiem bezładne rozrzucenie pól wprowadza też i nieład do całego gospodarstwa, a łącznie z tym i brak zamięłowania do porządku u całej rodziny gospodarza. Roboty wykonywane bywają nieporządnie, byle zbyć, a co najgorsza, że nigdy nie można znaleźć żadnej roboty na czas dłuższy na jednym łanie. Powoli przyzwyczajają się przez to człowiek do pracy dorywczej, trwającej go-

dzinę lub parę godzin, przyzwyczajają się do przechodzenia z parceli na parcelę, ciągłego przystawiania i odpoczywania, tak że w końcu dochodzi do tego, że pracuje długo, jednak wynik tej pracy jest nieproporcjonalnie mały. Nasz z natury może i bardzo nawet pracowity rolnik staje się powoli we własnym gospodarstwie zawodowym próżniakiem. Do jakiego stopnia obniżyć to może efekt pracy, zrozumiemy łatwo, gdy porównamy choćby pracę biurową, prowadzoną z systematycznością i zacięciem angielskim, a pracę przeciętnego djurnisty u nas. Śmiało twierdzić można, że praca pierwsza będzie conajmniej z 5 razy wydawniejsza, niż druga, chociaż nakład energii na nią, być może, wypadnie zaledwie dwa razy większy. To samo jest i w gospodarstwie rolnym: gdyby rolnik miał pola w jednym kawałku lub większe kompleksy tych pól, to, pomijając już bezpośrednie oszczędności na pracy wskutek scalenia gruntów, pracowałby bez porównania wydawniej. Szachownica więc, oprócz utrudnienia większości robót w gospodarstwie, wywiera jeszcze wpływ na psychikę pracowników rolnych, deprymując w nich w znacznym stopniu systematyczność i pracowitość. Z drugiej strony grunta scalone bezwątpienia byłyby podniecią wręcz przeciwną, pobudzałyby do systematyczności i pracowitości, wykazywałyby łatwo sposoby poprawy kultury rolnej, niszczyłyby przez to i konserwatyzm chłopa.

Dochodzimy więc do przekonania, że chłopa naszego, jako pracownika na własnym zagonie raczej trzeba uznać za próżniaka południowego niż robotnika północy.

Oprócz jednak tego próżniactwa przy pracy, masę czasu traci on na różne sprawy, nie mające właściwie żadnego z gospodarstwem związku. Ogromna ilość dni

roboczych odpada na święta, mało co mniej, niż drugie tyle, na jarmarki, na które, trzeba czy nie trzeba, każdy czuje się w obowiązku chodzić. Nieraz idzie gospodarz kilkanaście kilometrów na jarmark, aby kupić topkę soli. Również najdrobniejsze interesa odciągają go już od gospodarstwa, tak że dla drobnostki gotów jest poświęcić choćby i cały dzień czasu.

Całe to próżniactwo potęgowane jest, jakem już mówił, przez brak dostatecznego zajęcia w zbyt szczupłym gospodarstwie. Z drugiej strony właściciele większych gospodarstw chłopskich stają się też zawodowcami próżniakami wskutek rozpaczliwie niskiego poziomu ich potrzeb. Taki gospodarz, wyręczając się we wszystkim źle płatnym i mało pracującym robotnikiem, ma przecież jeszcze tyle dochodu, że nie wie co z nim zrobić.

Przedstawiony tutaj obraz rozpróżniaczenia ludu naszego nie jest pomimo wszystko bardzo smutny. Stwórzmy tylko warunki, w którychby rolnik nasz musiał nabrać pracowitości, a wnet otrząśnie się on ze swego obecnego próżniactwa. Materiał więc w ludzie mamy de facto dobry.

Obok stopnia pracowitości równorzędnym czynnikiem dla produkcji rolnej będzie zawsze także oświata i inteligencja wrodzona ludności. Oczywiście, że po wsiach naszych panuje ogromna ciemnota. Starsze pokolenia ludu, to przeważnie analfabeci jeszcze. Mimo to przecież poprawa gospodarstw nie byłaby przez to bynajmniej zagwoźdzoną, gdyby same te gospodarstwa były warsztatami, umożliwiającymi postęp i naocześnie okazującymi korzyści tego. Gdyby wieś nasza miała gospodarstwa fermowe, z pewnością oświata zawodowo-rolnicza, wobec szerokiej akcji w tym kierunku czynników do tego powołanych, rozlewałaby się bardzo

szybko: korzystaliby z niej najpierw gospodarze inteligentniejsi, pozostali braliby z nich przykład, tak że w ciągu lat kilkunastu zmieniłyby się stosunki u nas nie do poznania. Obecnie jednak praca ta jest niezmiernie utrudniona tym fatalnym rozbiciem pól na szachownicę, związaniem rąk poszczególnym gospodarzom.

Zwróćmy się teraz do wad gospodarczych większej własności rolnej, wpływających na obniżenie ich produktywności lub rentowności.

Ciągle obecnie się słyszy narzekania na złe czasy, na nieopłacalność gospodarstwa folwarcznego i t. p. Trudno jest nawet wyobrazić typowego gospodarza, któryby przynajmniej na cośkolwiek nie narzekał.

Zdawałoby się, zamknięcie granicy dla bydła rosyjskiego i rumuńskiego, cła na zboża, wysoka w ostatnich czasach cena okowity, wszystko to powinnyby wpływać na rozkwit, na dobrobyt gospodarstw. Skąd więc te narzekania?

Z natury swej ziemia nie może dawać wysokiego procentu od przedstawianej przez się wartości pieniężnej, a ściślej mówiąc, od swej ceny. Ziemia to najpewniejsza lokata kapitału, to też przy stopie procentowej w kraju n. p. cztery od sta, ziemia normalnie powinna dawać czystego dochodu nie więcej, niż ta stopa wynosi. Tylko wyjątkowo zdarzają się wypadki, jak to jest we Francji, że ziemia niesie znacznie wyższy dochód, niżby podług tego wypadało. Tam pochodzi to bezpośrednio stąd, że w ostatnich kilkudziesięciu latach wskutek konkurencji amerykańskiej, rentowność gospodarstw stale zmniejszała się, ziemia przestała więc już być pewną lokatą kapitału. U nas stosunki są wręcz odwrotne — ceny ziemi są wyśrubowane niepomiarne,

tak że o wygospodarowaniu normalnego procentu mowy już w większości gospodarstw być nie może. Jest to jednak złudzenie, aby ziemia nie dawała należytego dochodu — daje ona procent od swej rzeczywistej wartości użytkowej, a nie wartości fikcyjnej — wyśrubowanej ceny.

Z drugiej strony mała rentowność gospodarstw folwarcznych powodowana jest także wadliwą ich organizacją i wadliwym prowadzeniem. Galicja to kraj wysokich cen na produkta rolne, a więc i typem gospodarstwa rolnego racjonalnego jest tutaj gospodarstwo intensywne. Do prowadzenia zaś takiego gospodarstwa potrzebny jest oprócz wiedzy fachowej wielki kapitał zakładowy i obrotowy. Kapitału zaś tego zwykle u nas brakuje. Dowodem tego choćby mała stosunkowo ilość bydła, jaką posiadają dwory w porównaniu ze wsią — 12% ogólnej ilości bydła, wobec z górą 20% wszelkich użytków rolnych, na nie przypadających.

W obecnych warunkach jedną z największych bolączek gospodarstw folwarcznych u nas jest brak robotnika. Dziwne to zjawisko w kraju, gdzie jest tak wielki nadmiar rąk roboczych. Jest jednak ono zrozumiałe wobec rozwoju emigracji zarobkowej, w której większa część robotnika danej okolicy szuka dla siebie zatrudnienia. Emigracja więc ta z siłą żywiołową porywa wszystkie niemal jednostki, które zajęcia potrzebują (o czym niżej).

Następnie widzimy po wszystkich niemal gospodarstwach folwarcznych złe wyzyskanie pracy. Nizko płatny robotnik pracuje źle, tak że w końcu praca jego wypada drożej, niż w Europie zachodniej praca drogiego robotnika miejscowego. Z drugiej strony tą drogą pracą nie oduczły się jeszcze gospodarstwa nasze szafować zupełnie nieekomicznie na prawo i na lewo. Typ gospodarstw właściwie jest u nas w większości wy-

padków z gruntu nieracjonalny. Chodzi o to, że najlepiej popłacają w obecnych warunkach ziemniaki i rośliny pastewne, sprzedawane jako takie, albo też zużywane w gospodarstwie przez inwentarz dochodowy. Moim zdaniem dla większości okręgów Galicji najodpowiedniejszym systemem gospodarstwa byłby typ intensywny płodozmiennie-pastewny. Rośliny pastewne oprócz okopowych wymagają stosunkowo niewielkiego nakładu pracy, ziemniaki zaś właściwie zużywają dużo robocizny ręcznej przy sadzeniu i przy zbiorze, pielęgnacja ich już i u nas, wobec ulepszonych narzędzi coraz mniej rąk ludzkich zabiera. Przypuszczam, że wobec coraz większego braku robocizny i podnoszenia się kosztów pracy ludzkiej należy dążyć do wprowadzenia amerykańskiego systemu uprawy ziemniaków w szerokie rzędy, w szczególności którego zresztą wchodzić tutaj nie mogę. Taki więc system gospodarstwa, oparty na znacznej produkcji koniczyn, traw i mieszanek pastewnych z jednej strony, a ziemniaków z drugiej, wymagałby mniej robocizny ręcznej, zaś dawałby produkta o wiele lepiej popłatne, niż dajmy na to zboża. Do tego też typu coraz więcej gospodarstw u nas już zmierza, mimo to znaczna większość pozostała jeszcze dotychczas przy uprawie nie odpowiednio wielkiej ilości zbóż.

Nie koniec jednak na tym. Wiadomo, że w obecnych warunkach gospodarstwo wymaga przedewszystkiem umiejętnego i dzielnego kierownictwa. Jakżesz jednak wygląda ta sprawa w folwarkach mniejszych i średnich? Przeważnie właściciel nie jest ani zamiłowanym gospodarzem, ani też fachowym rolnikiem. Gospodarstwo prowadzi się byle jak, często zaś puszcza się je w dzierżawę ~~żydowi~~, aby tylko mieć jaki taki dochód. Ogromnie demoralizująco wpływa tutaj niepo-

mierne wyśrubowanie cen ziemi — każdy właściciel wie, że może gospodarzyć jaknajgorzej, żyć zaś za pożyczone pieniądze jaknajwystawniej, a zawsze, puściwszy folwark na parcelację, weźmie zań tyle, że po opłaceniu długów, sporo mu jeszcze kapitału zostanie. Po co więc ma zaprzętać sobie głowę kłopotliwą gospodarką racjonalną? Że takie sztuczne położenie finansowo pomyslnie wpływa niemal dewastująco na gospodarstwo rolne, widzimy doskonale na przykładzie wielu bardzo gospodarstw niemieckich w Poznańskim. Wskutek demoralizującej polityki rządu gospodarstwa te są przeciwnieństwem wzorowych gospodarstw polskich.

Inaczej już ta rzecz wygląda w latyfundiach. Tutaj nie brak prawie nigdy kapitału, tak że gospodarstwo może być prowadzone bardzo nawet intensywnie. Latyfundja należą zwykle do ludzi bogatych, którzy mogą często nie oglądać się na dochód z rolnictwa. Wynikiem więc tego jest to, że gospodarka rolna prowadzona jest tutaj na okaz niejako — bardzo wystawnie ale i bardzo kosztownie, tak że w ostatecznym rezultacie dochodów wielkich dać już nie może. Oczywiście są pod tym względem wyjątki, są latyfundja, kierowane przez dzielnych administratorów, które dają bardzo nawet pokaźne dochody z morga.

Naogół więc o własności większej można powiedzieć, że gospodarstwo rolne w latyfundiach i większych dobrach jest bardzo produktywne lecz mało rentowne, zaś w dworach średnich i mniejszych jest i mało rentowne i mało produktywne.

Na zakończenie rozdziału o położeniu ekonomicznym ludności należy jeszcze poruszyć jeden objaw bezpośrednio z tego stanu wypływający, mianowicie

parcelację folwarków, t. j. przechodzenie ziemi z rąk większych właścicieli do rąk drobnych rolników.

Parcelacja jako objaw życia społecznego ma u nas znaczenie pierwszorzędne, ponieważ rozmiary jej są tak znaczne, że zagrażają istnieniu całej średniej folwarcznej własności ziemskiej.

Prof. St. Grabski¹⁾ oblicza, iż do parcelacji z własności tabularnej nadaje się naogół mniej więcej 2.000.000 morgów, zajętych przez dwory i folwarki, ponieważ większe dobra i latyfundja rozpadowi wcale nie ulegają. Zdaniem jego, wnioskując z ilości rozparcelowanej w ostatnich latach ziemi, cała ta przestrzeń może przejść w ręce warstw ludności wiejskiej już w ciągu lat 30 lub 40.

Przyczyny tak silnego ruchu parcelacyjnego są dosyć zrozumiałe, chociaż nie przez wszystkich autorów jasno uświadamiane. Pierwszą motoryczną przyczyną, umożliwiającą wogóle parcelację, jest znaczna różnica w szanowaniu ziemi przez właściciela większego, a chłopą. Właściciel folwarku szacuje swój majątek zwykle podług czystego dochodu, jaki ten mu niesie. Przynajmniej przy nabywaniu ziemi jest to dla niego szacunek jedynie słuszny, jedynie chroniący od ewentualnego bankructwa. Inaczej zupełnie zapatruje się na tę rzecz chłop: dla niego ziemia to nie kapitał, dający większy lub mniejszy procent, lecz siedziba, punkt oparcia i warsztat pracy. Chłop nie pyta, jaki mu ziemia da procent netto, po odtrąceniu kosztów robocizny i t. d.: dla niego ważny jest tylko dochód brutto, ważne jest, czy znajdzie on dla siebie i dla swej rodziny na tym warsztacie zatrudnienie, czy wobec tego będzie mógł wyżyć z wykonanej na tym warszta-

¹⁾ St. Grabski: Referat w sprawie parcelacji.

cie pracy. Dodajmy do tego ogromne przeludnienie Galicji, wytworzony przez to nadmierny popyt na ziemię, każdy bowiem z rolników stara się swe gospodarstwo rozszerzyć, a jasnym się stanie, że różnica w szacowaniu ziemi przez większą własność a drobnych rolników będzie bardzo znaczna.

Z drugiej strony popyt na ziemię jest tym większy, im siła kupcza ludności jest większa, im więcej będzie mogących kupować ziemię, oraz im większym będą oni rozporządzali kapitałem. I rzeczywiście »głód ziemi« istniał już u nas z dawien dawna, jednak ludność, nie mając środków na jej nabycie, nie mogła też odegrać większej roli w tym kierunku. Ruch parcelacyjny silnie się zaczyna rozwijać dopiero wtedy, gdy chłop nasz znalazł szerokie zarobki za granicą. Pieniądze amerykańskie, płynąc wartkim strumieniem do kraju, stwarzały całe szeregi kupców na ziemię. To pobudzało pozostałych w kraju do zdobywania się też na środki do zakupna — coraz większe zastępy jechały za ocean, a myślą ich było zbierać sobie coś na kupno ziemi. Zjawiska więc emigracji zarobkowej (zwłaszcza amerykańskiej) i parcelacji stają się stopniowo nawzajem od siebie zależne, nawzajem się popierające i potęgujące. Nie można twierdzić, jak niektórzy chcą, aby emigracja zarobkowa była przyczyną, a parcelacja skutkiem, albo naodwrot — parcelacja przyczyną, a emigracja skutkiem. Są to tylko zjawiska korelatywne, chociaż pierwszy impuls do ich zapoczątkowania dała emigracja.

W ten sposób ilość kupców na ziemię wzmagą się bardzo silnie. Oczywiście bezpośrednim wynikiem tego jest ogromne podskoczenie cen gruntów, a za nim i coraz szersza parcelacja.

Tutaj jednak wchodzi w grę jeden jeszcze czyn-

nik, którego znaczenie ocenił dostatecznie jeden chyba tylko Prof. Grabski — mianowicie pośrednik. Właściciel majątku, zdecydowawszy się sprzedać ziemię swą, zwykle zmuszony jest skutecznie tę transakcję w czasie możliwie jak najkrótszym i za gotówkę, do sprzedaży bowiem przystępuje wtedy, gdy zaczynają mu się chwiać interesa, a więc naraz musi je poprawić, pospłacać długi i mieć kapitał, z którego odsetków samby żył. Tymczasem, chcąc sprzedać dajmy na to miejscowym włościanom, trafia odrazu na mur ich nieobliczalnej wprost ignoracji handlowej, a co gorsza może, ich bezgranicznej niesamodzielności w tym kierunku. Kto miał do czynienia z chłopem naszym, wie że handel można z nim prowadzić tylko wtedy, jeżeli ceny na produkt handlu są mniej więcej stałe. Jeżeli zaś wchodzi w grę jakiś towar, który można szacować rozmaicie, to kto nie zna się na psychice handlowej tego chłopca, nic z nim nie poradzi, a kto ją zna dobrze, potrafi uzyskać za towar proponowany ceny, o jakich innemu nawet by się nie śniło. Często np. dwory w Galicji zachodniej sprzedają siano lub koniczynę na pniu. Od dworu kupuje dajmy na to żyd po jakich 100 koron móg, a sprzedaje chłopom po 150 np. Laik się dziwi, dlaczego dwór nie sprzeda wprost chłopom tej koniczyny choćby po 120 koron. A jednak jest to niemożliwe, w normalnych warunkach bowiem chłop nie zechce nawet dać i 100 koron, żyd zaś potrafi od niego wyłudzić i półtora raza tyle. To samo jest i przy handlu ziemią — chłopu zdaje się zawsze, że on »jeszcze coś utarguje od pana«, a zresztą nie jest on zdecydowany, czy wogóle ziemię kupować. Choćby już więc z tego względu bardzo są rzadkie wypadki, żeby właściciel majątku sam bezpośrednio włościanom są-

siednim grunta rozsprzedał. Lwia część wypadków obyć się bez pośrednika nie może.

Pozatym chłop pomimo emigracji zarobkowej nigdy przecież tyle gotówki nie posiada, aby zapłacić całą należność za ziemię. Znowu więc potrzebny pośrednik, któryby służył mu kredytem.

Widzimy więc, jak podatne są warunki do wytworzenia całej plejady pośredników większych i mniejszych, względnie uczciwych, nieuczciwych i zdecydowanych szubrawców. Powstały nawet poważne instytucje finansowe, jak Bank parcelacyjny we Lwowie, Bank Ziemski w Łańcucie, specjalnie tylko parcelacji poświęcone. Oprócz tego zajmują się nią przygodnie inne banki, zwłaszcza Bank ziemski w Krakowie, następnie osoby prywatne, adwokaci, rejenci, właściciele ziemscy, a w końcu nieskończony szereg zawodowych spekulantów, przeważnie żydów.

Rzuciło się to wszystko na tłusty żer, boć nie masz lepszego interesu, jak handel ziemią. Powstaje więc między nimi konkurencja, lecz oczywiście nie przy sprzedaży, gdyż, mając dwór w pewnej okolicy, ma się tam przez to i monopol, lecz przy kupnie tych dworów. Kupcy już nie czekają, aż ten lub ów właściciel zgłosi się do nich z ofertą sprzedaży majątku — sami jadą do niego, sami podbijają sobie nawzajem ceny kupna. Kuszony temi cenami właściciel, w końcu ustępuje i sprzedaje cały dwór lub część tegoż.

Teraz następuje akt drugi: na sąsiednie wsi wypuszcza kupiec całą sforę naganiaczy, którzy mają tylko na celu podniesienie żądzy kupna ziemi u włościan i nastraszenia ich, że ziemia ta zostanie sprzedana przybyszom obcym. Nagonka ta prowadzona jest tak umiejętnie zwykle, że cała niemal wieś zgłasza się o kupno gruntów, zwłaszcza że nabywać można je podług za-

powiedzi na kredyt. O to tylko chodzi spekulantowi: teraz »chcąc wszystkich zaspokoić«, wydziela poszczególным gospodarzom parcele małe, za to ceny naznacza na nie jaknajwyższe. Kuszeni i namawiani, a często w sposób podstępny oszukiwani, godzą się w końcu nabywcy na te ceny, składając małe zadatki i odrazu wchodząc w prowizoryczne posiadanie gruntu. Spłata następuje powoli przez zaciąganie na wszystkie strony pożyczek, a gdy to nie wystarcza, przez wyjazd do Ameryki na zarobki. — Oto krótki obrazek naszej parcelacji.

Jeżeliby która z poważniejszych instytucji parcelacyjnych zechciała postępować w sposób z gruntu od tego odmienny, bezwarunkowo musiałaby skwitować wogóle z akcji parcelacyjnej, nie wytrzymałaby bowiem konkurencji z prywatnymi spekulantami. To też nasze banki parcelacyjne de facto postępują tak samo, jak zwykli parcelanci, tylko że może nie są już tak mało wybredne w dobieraniu środków nagonki na nabywców. Różnica jest tu tylko ilościowa, nie jakościowa.

Że w ten sposób prowadzona parcelacja tylko szkody krajowi przynosi, o tym dwu zdań być nie może. W pierwszym rządzie spekulacja parcelacyjna wywołuje niepomierny wzrost cen ziemi. Pomijając już bezpośrednio wyższe szacowanie ziemi przez drobnego rolnika, niż przez właściciela większego majątku, występuje tutaj stale celowe i świadome wyśrubowywanie cen do granic niemożliwych. Jeszcze kilkanaście lat temu ziemię szacowano na kilkaset koron za mórg, obecnie tylko Galicja Wschodnia zna ceny niższe, niż 700—800 koron za mórg roli, w Galicji zachodniej płaci się zależnie od okolicy i jakości gleby od 800 koron aż do 2000, a niekiedy 3000 i 4000 za mórg. Instytucje poważniejsze, jak Bank ziemski w Łańcucie, Bank parcelacyjny, Bank ziemski w Krakowie, sprzedają grunta

po cenach stosunkowo niższych, np. Bank ziemski w Łańcucie brał przeciętnie w roku 1907 około 850 k. za mórg, chociaż i tutaj trafiają się ceny bardzo wygórowane, aż do 2000 k. nawet za grunta liche za mórg. Spekulanccy prywatni podnoszą ceny różnemi sposobami do granic jaknajwyższych, nie mają oni bowiem już żadnych skrupułów, na które bądź co bądź banki zważać muszą. Mimo to jednak ceny przez nich nawet brane nie mogą być porównane z temi cenami, jakie weszły w życie przy sprzedaży gruntów przez właścian sobie nawzajem. Zwłaszcza niektóre okolice kraju, jak powiat tarnobrzescski, wykazują stosunki już wprost niemożliwe. Tam np. normalnie chłop chłopu sprzedaje sążeń ziemi za 2 korony. Gułdena sążeń, jest to już cena stała. W Zaleszanach pod Zbydniowem widziałem grunta kupione po 3400 koron za mórg. W tej samej wsi mniejsze parcele pod ogrody i budynki sprzedawano po 6 koron za sążeń. To już są ceny ziemi, o których nawet we Włoszech lub Francji przy uprawie wina mowy być nie może.

W jaki jednak sposób mogli handlarze ziemią dojść do takiego wygórowania cen gruntów? Podkładem tego stale jest nadmiar nabywców, niemożność zaspokojenia wszystkich żądań, wreszcie kredyt przy sprzedaży. Jak mówiłem, przy parcelacji dworu zwykle wskutek odpowiedniej nagonki zgłasza się cała wieś sąsiednia. Niktby nie chciał opuścić sposobności nabycia ziemi. To, że otrzyma się parcelę nieraz o kilka kilometrów od domu, bynajmniej gospodarza nie odstrasza, już bowiem zżył się on dostatecznie z szachownicą. Gdyby nabywców było mniej, a każdy z nich chciał nabyć większy obszar, to oczywiście musiałby rachować, czy przy nazbyt wysokich cenach na ziemię, będzie on w stanie spłacić należność. Kupując bez go-

tówki np. 10 morgów po 2000 koron, musiałby przecież zastanowić się taki nabywca, w jaki sposób zdobędzie potrzebne na to 20.000 k., musiałby też dojść do przekonania, że jest to dla niego tranzakcja niemożliwa. Inna jest rzecz, gdy kupuje gospodarz morg lub dwa morgi. Przedewszystkim, zaciągawszy na stare swe gospodarstwo dług hipoteczny, a rozporządzając jeszcze pewną gotówką, może on bardzo prędko całą należność wypłacić. Jeżeliby zaś nie dało się tego w ten sposób skutecznie, to składa manatki i jedzie do Ameryki, gdzie przecież parę tysięcy koron uzbierać potrafi. Każdy więc zamożniejszy i biedniejszy śpieszy choć coś sobie kupić, choć skrawek, choć pół morga, płacąc zań ceny jaknajwyższe nawet.

Z drugiej strony stałe a bardzo szybkie wzrastanie cen ziemi w poszczególnych okolicach wzbudziło też w chłopie naszym zmysł spekulacyjny. Każdy niemal nabywca gruntu rachuje obecnie, że przecież za lat parę ziemia jeszcze pójdzie w cenę, a więc nabywszy już obecnie grunt, może na nim tylko zyskać, nigdy — stracić. Płaci więc cenę, jaką parcelant oznacza, aby tylko dorwać się do ziemi. To więc jest przyczyną tak wysokiego podniesienia się cen gruntów parcelowanych.

Grunta włościańskie we wsiach podskakują w cenie, jakem mówił, jednocześnie jeszcze znacznie wyżej. Ten objaw, stojąc bez wątpienia w ścisłym związku z parcelacją, ma jednak i swoje przyczyny wewnętrzne. Dowodzi on właśnie, jak drogo potrafi chłop płacić za ziemię, jak niepomierne wyższy jest jego szacunek ziemi od szacunku kapitalistycznego większych posiadaczy. W tym nadmiernie wysokim szacunku tkwią też właściwe przyczyny tych niebywałych cen. Dowodzą

one, jak wielkim, jak bolesnym jest przeludnienie wsi naszej, kiedy na rozszerzenie warsztatu o jedną tylko morgę, potrafi chłop poświęcić tyle kapitału, że z procentu od niego już niemal połowę całych swoich wydatków opędziłby potrafił.

Wróćmy jednak do skutków parcelacji. Rozwija się więc u nas przeważnie parcelacja adjakcyjna, t. j. sprzedawanie gruntów małymi parcelami sąsiednim właścicielom. Według obliczeń Prof. Grabskiego¹⁾ tylko 15% parcelowanych obszarów przypada na parcelację osadniczą, reszta t. j. 85% idzie na parcelację adjakcyjną. I kiedy w Poznańskim i Królestwie parcelacja prowadzi do tworzenia nowych przeciętnie kilkunastomorgowych osad, to u nas byłe grunta folwarczne rozpadają się na szereg drobniotkich parcel, wynoszących przeciętnie może nie więcej nad jakie 1½ ha. Skutki tego są nader opłakane, bo oto warsztat rolny zupełnie racjonalny, jakim jest każdy folwark, rozproszkowie się, wsiąka w gospodarstwa karłowe, najmniej produkcyjne. I gdyby jeszcze gospodarstwa te, zwiększając się przez przykupno ziemi, wychodziły przez to ze stanu karłowego, t. j. dochodziły do wielkości przynajmniej 5 ha, to oczywiście szkodyby wielkiej z tego punktu widzenia parcelacja nie niosła. Tymczasem dzieje się tak, że gospodarz mający 2 morgi, kupuje sobie drugie dwa, tak że w końcu ma, jak i miał, gospodarstwo za małe. Tylko część stosunkowo nie znaczna rozparcelowanych gruntów podnosi wielkość byłych gospodarstw do stanu racjonalnego. W ogólnym jednak rezultacie ilość gruntów parcelowanych, wsiąkających w gospodarstwa nie-

¹⁾ »Referat w sprawie parcelacji«.

racjonalne, jest znacznie większa od tej ilości gruntów, jaka wyszła ze stanu nieracjonalnego, wchodząc do gospodarstw obecnie już racjonalnych. Bilans więc będzie zawsze taki, że kilkadziesiąt procent (już po odtrąceniu wspomnianej rekompensaty) powierzchni parcelowanej obniży się w poziomie kultury rolnej.

Prócz tego budynki gospodarstwa folwarcznego, zakłady przemysłowe, jeżeli są, wreszcie ogród, park i t. p. wszystko to pójdzie »na szmelc«, stracone zostanie jako majątek społeczny. Ile przez to krzywdy dzieje się krajowi, ile dorobku pokoleń, dorobku nie tyle może materialnego co estetyczno-kulturalnego obraca się w niwecz! Podobno (u nas przynajmniej), chcąc być demokratą, nie wolno żałować dworów starych; chcąc być ekonomistą, nie wolno szacować majątku społecznego, który bezpośrednio do trawienia nie służy. A mimo to szkoda tego piękna swojskiego wsi naszej, szkoda i tej kultury starej, rozplywającej się tak bardzo w szarzyźnie utylitaryzmu Europy zachodniej.

Idą na parcelację mniejsze dwory i folwarki, rozpadają się na gospodarstwa drobnutkie, a więc parcelacja zamiast łagodzić antagonizm pomiędzy dworem a wsią, kopie coraz większą przepaść między nimi — zostają tylko wielkie dobra, a obok nich niezliczone szeregi gospodarstw karłowych. A przecież parcelacja uregulowana choćby tylko w ten sposób, jak w Królestwie przez rządowy Bank parcelacyjny, mogłaby nie tylko nie pogłębiać tej przepaści, lecz przeciwnie, niwelować ją, zmniejszać przez stwarzanie szeregu gospodarstw wielkocłołpskich, przez zostawianie z parcelowanego dworu choćby kilkudziesięcio hektarowego tylko folwarczku.

Że uregulowanie takie leży w zupełności w mocy reprezentacji kraju, dowiódł tego Prof. Grabski, składając projekt odpowiedni sejmowi. Rozbił się jednak ten projekt o mur uprzedzeń. Wrócimy doń jeszcze w rozdziale trzecim tej książki.

ROZDZIAŁ II.

Emigracja zarobkowa naszej ludności rolniczej.

Gdy w końcu wieku XVIII i na początku XIX, stłoczone na ciasnej przestrzeni, narody Europy zaczynają powoli się demokratyzować, gdy skala potrzeb mas ludowych wybija się ponad tę djetę głodową, w jakiej dotychczas one żyły, rozpoczyna się ruch emigracji ekonomicznej. Do tego czasu na emigrację składały się przeważnie szeregi jednostek prześladowanych za przekonania religijne, a obok nich rzucali kraj już mniej liczni awanturnicy i zbrodniarze. Chłop środkowo Europejski marł z głodu, ale przez myśl mu nawet nie przeszło, że można przecież coś zaradzić na tę biedę. Z rozwojem jednak kapitalizmu budzi się masa ludowa z tego uspienia.

Pierwsza ruszyła się Wielka Brytanja. Tutaj większy ruch emigracyjny datuje się od czasu, gdy wskutek wojen napoleońskich następuje silne przesilenie w przemyśle. Emigracja ta, rosnąc i opadając, pochłania pierwotnie po kilkanaście i kilkadziesiąt tysięcy wychodźców, w r. 1832 przekracza już 100 tysięcy, aby znowu opadłszy nieco, napowrót podskoczyć do cyfr jeszcze

wyższych do 200 nawet 250 tysięcy w latach głodu w Irlandji. I znowu na czas pewien opada w latach 60-tych i 70-tych, a w końcu już niejako w naszym okresie podskakuje i trzyma się na wysokości około 200 tysięcy rocznie.

Ciekawe zwłaszcza cyfry daje Irlandja. Czysto rolniczy kraj ten począwszy od roku 1840, kiedy to zaczęła grasować zaraza ziemniaczana, niszcząca kartofle — ten podstawowy produkt pożywienia Irlandczyka, zaczyna wyludniać się. I tak w r. 1840 miała Irlandja około 8.000.000 ludności, w latach 60-tych $5\frac{1}{2}$ miliona, w latach 80-tych 5 mil., a obecnie liczy około $4\frac{1}{2}$ milionów.

Za wielką Brytanią rusza się stopniowo i Europa kontynentalna, w pierwszym szeregu Niemcy, następnie narody skandynawskie, Włosi, Litwini, Polacy, Żydzi, Węgrzy, Słowianie Austrjacy i wreszcie Rusini. Emigracja ta szła stopniowo poprzez narody Europy z północo-zachodu na południo-wschód, aż doszła w końcu stulecia ubiegłego i do nas. Naogół można o niej powiedzieć, że Niemcy dostarczały w połowie wieku ubiegłego ogromnych mas emigrantów, stopniowo jednak wskutek olbrzymiego rozwoju przemysłu tego kraju, ilość ich się zmniejszała tak, że w okresie obecnym emigracja ta jest już znikomo mała. Włochy, rozpoczynając na dobre emigrację dopiero w drugiej połowie wieku ubiegłego, bardzo szybko dochodzą do cyfr olbrzymich. Żydzi również dają bardzo wielką ilość emigrantów. Z innych narodów oprócz Polaków można wspomnieć jeszcze o Węgrach i Słowianach korony węgierskiej. (Zupełnie inny już typ przedstawia emigracja rosyjska).

Emigracja więc jest zjawiskiem wcale nie nowym i niemal wszystkie narody przechodziły ją lub prze-

chodzą w chwili obecnej. Jest to bezpośrednia reakcja na te żelazne prawa życia ekonomicznego, o których uczył Malthus. Gdy ludność się zagęszcza, a skala potrzeb jej się wzmacnia, nie może już kraj ojczysty wyżywić jej, część musi szukać chleba po za granicami ojczyzny.

Emigracja współczesna, a emigracja doby ubiegłej różnią się mimo tych samych przyczyn wewnętrznych bardzo zasadniczo. Pierwotnie emigrant opuszczał kraj albo na cały szereg lat, a jeszcze częściej na stałe, aby tam na nowej ziemi szukać nowej ojczyzny. Jechały więc całe rodziny, tworząc liczne rzesze osadników we wszystkich częściach świata. Zwłaszcza Stany Zjednoczone były takim rezerwuarem, zbierającym większą część emigracji europejskiej. Stopniowo kraje wolne, niezajęte zaludniają się, znajdują swoich panów, swoich właścicieli. Nowy przybysz witany jest tu jeszcze mile, jednak już nie w charakterze równego obywatela-posesiadacza, lecz jako siła robocza, potrzebna dla wcześniejszych przybyszów lub ich potomków. Emigracja osadnicza stopniowo więc przechodzi w emigrację zarobkową.

Nader silnym czynnikiem, działającym w tym kierunku, jest coraz większe udoskonalenie środków komunikacji. Dawniej, gdy rodzina Anglika wybierała się do Kaplandu lub Australji, z góry już przygotowywała się na podróż uciążliwą, pełną przygód i niebezpieczeństw, i, co najważniejsza, w stosunku do ceny ówczesnej pieniądza, bardzo kosztowną. Jeżeli więc nawet kto i jechał z zamiarem szukania zarobku, to stałe mimo to miał na myśli osiedlenie się w kraju nowym po zdobyciu tam na miejscu potrzebnych do tego środków.

Dzisiaj sprawa cała się zmieniła: podróż przez ocean nie jest już ani uciążliwą ani kosztowną. Dzisiaj,

wiedząc, że w Argientynie znajdzie dobre zarobki, jedzie tam Włoch lub Hiszpan na roboty letnie sezonowe. Wytwarza się więc emigracja zarobkowa czasowa. Obok niej, wobec silnego rozwoju przemysłowego i kulturalnego takich krajów, jak Anglja, Niemcy, Francja, częściowo Szwajcarja, Danja i t. p., powstaje już w tych krajach pewne zapotrzebowanie robotnika obcego, zwłaszcza do prac, których wysoce rozwinięty robotnik miejscowy imać się nie chce. Znane jest powszechnie zjawisko wyludniania się wsi krajów Europy zachodniej. Robotnik ucieka do miast, znajdując tam lepsze zaspokojenie nie tylko swych potrzeb materialnych, lecz i duchowych. Prócz tego jest wiele prac i w innych branżach, które są uciążliwsze i mniej płatne od pozostałych. Do rolnictwa więc i do tych prac zaczyna stopniowo brakować robotnika miejscowego. Wiele z prac tych występuje w dodatku czasowo w pewnych określonych porach roku. Otwiera więc się pole dla emigracji typu jeszcze innego — dla emigracji czasowej krótkoterminowej lub sezonowej.

Emigracja ta obok emigracji zamorskiej czasowej jest charakterystyczna dla narodów, które ostatnie w ruchu wychodźczym udział brać zaczęły. Prym co do ilości trzymają na tym polu Włochy. Ich emigracja zarówno sezonowa, jak i zamorska a także częściowo i osadnicza, wypycha co roku z kraju niebawale dotychczas ilości ludu wiejskiego, sięgające w ostatnich latach 600 i 700 tysięcy głów. Cyfra ta, stanowiąca z górą 2% zaludnienia kraju, w rzeczy samej jest imponująca, chociaż z drugiej strony, trzeba pamiętać, że emigracji czasowej nie można porównywać z wychodźstwem z kraju na stałe. Np. wychodźstwo irlandzkie, dające w ostatnich czasach rocznie cyfrę przeciętną 1% całej ludności kraju, co do swej intensywności nie

może być uważane za wiele słabsze od włoskiego, większa część bowiem Irlandczyków wyjeżdża z kraju na stałe. Trzeba więc odróżniać wychodźstwo czasowe od opuszczania kraju na stałe. Wychodźca sezonowy, jak nasz »obieźysa«, może wyjeżdżać na zarobki chociażby co roku. Jeżelibyśmy mogli obliczyć dla dłuższego okresu czasu ilość wychodźców, jaka opuściła kraj na stałe lub szukała zatrudnienia za granicą czasowo, rachując te same osoby, wyjeżdżające kilka razy, tylko za jednego a nie za kilku emigrantów, przekonaliśmy się zapewne, że przecież np. Włochy obecne dają o wiele mniej emigrantów, niż Irlandja w okresie jej najsilniejszego wyludniania się. Pozatym zaś charakter tych dwu kategorii emigracji jest dla kraju ojczystego zasadniczo różny — wychodźstwo zupełne jest upustem krwi, upustem soków żywotnych kraju; wychodźstwo czasowe jest tylko zbytem za granicę pewnej ilości sił roboczych bez pozbawienia się obywateli. Jest to więc tylko czasowy eksport pracy ludzkiej, a nie samych robotników.

Obok Włochów w emigracji sezonowej biorą udział Hiszpanie, Belgowie, Węgrzy i Słowianie korony węgierskiej, a w końcu Polacy, Rusini i częściowo Litwini. Inne narody już znacznie mniejszy kontyngent tego rodzaju wychodźców dają (pomijając Rosję centralną).

Rozdział poprzedni daje nam dowody dostateczne, jak podatnym gruntem dla emigracji musi być Galicja. Przeludnienie jest tu tak silne, jak w żadnym z krajów Europy. Nawet Włochy pod tym względem nam ustępują. Prócz tego przeludnienie to z powodu znacznej siły rozrodczej ludności z jednej strony, a słabego rozwoju przemysłu z drugiej, wzmagą się coraz

bardziej. Wystarczy powiedzieć, że nadwyżka urodzin nad zgonami wynosi u nas rocznie 17‰. Innemi słowy naturalny przyrost ludności wyraża się u nas cyfrą około 136 tysięcy głów rocznie. Obok tego jednocześnie, zresztą już jako zjawisko z emigracją współzależne, podnosi się skala potrzeb ludu rolnego. — Warunki więc wewnętrzne dla emigracji są jaknajpodatniejsze.

Warunki zewnętrzne, jakem już pisał, były i są tego rodzaju, że emigracja osadnicza z góry już nie mogła liczyć na powodzenie; natomiast emigracja zarobkowa ma pole bardzo szerokie. Z jednej strony wobec olbrzymiego rozwoju Stanów Zjednoczonych wciąż jeszcze przedstawiają one teren bardzo podatny do immigracji robotnika europejskiego, z drugiej Niemcy, nasz najbliższy sąsiad, odczuwają gwałtowny brak robotnika rolnego.

Przemysł niemiecki rozwija się w ostatnich kilkunastu latach z nieznaną dotychczas w Europie szybkością. Powstaje masa fabryk i zakładów, odciągających całe rzesze robotnika ze wsi. Z drugiej strony rolnictwo przechodzi do uprawy roślin przemysłowych, jak burak cukrowy, wymagających znacznej ilości robocizny ręcznej. Wogóle kultura rolna staje się coraz intensywniejsza, wymagająca coraz większego nakładu pracy. Coraz bardziej więc odczuwa rolnik niemiecki brak robotnika, zaczyna więc w końcu oglądać się za przybyszem obcym. Wytwarza się więc w Niemczech pierwotnie wędrowka wewnętrzna obywateli z jednej prowincji do drugiej, zwłaszcza Poznańskie daje ich kontyngient bardzo znaczny.

Podług Trzczińskiego¹⁾ ilość obywateli z Poznań-

¹⁾ v. Trzcziński: »Russisch-polnische u. Galizische Wanderarbeiter im Grhthm. Posen«.

skiego wynosi okrągło (r. 1900) 40.000 głów, co stanowi 13,5% całej zawodowo-czynnej ludności rolniczej tego kraju. Gdy więc i tutaj postęp rolnictwa zaczął dochodzić, gdy i tutaj wybudowano cały szereg cukrowni, zaczęli ziemianie poznańscy oglądać się za robotnikiem z sąsiednich prowincji Królestwa. A kiedy i ten robotnik, zwabiony większymi cenami, powędrował z czasem dalej na zachód, zwrócono się w końcu lat 90-tych wieku ubiegłego i do Galicji. W ten sposób Galicja zdobywa rynki na swoją pracę zarówno w Ameryce północnej, jak i Europie zachodniej, przeważnie w Niemczech. Obok tego w znacznie mniejszym stopniu rozwija się wychodźstwo na Węgry, Śląsk austriacki, Morawy i t. p. Wreszcie bardzo nieznaczna część wychodźców opuszcza kraj na stałe, tworząc emigrację osadniczą, zaludniając ziemie rolne Kanady i Ameryki południowej.

Przyjrzyjmy się najpierw emigracji sezonowej, czyli t. zw. obieżysastwu.

Dziwne to na pozór, że pomimo olbrzymiego rozwoju emigracji, dotychczas nie posiadamy dat ścisłych, dotyczących się jej rozmiarów. Zwłaszcza ilość robotnika, opuszczającego co roku siedziby rodzinne, aby w prowincjach cesarstwa Niemieckiego szukać zarobku, właściwie nie jest nam wcale znana. Władze niemieckie prowadzą ścisłą statystykę tego, jednak ze względów politycznych cyfry tej statystyki chowane są w wielkiej tajemnicy. Ze strony zaś władz austriackich żadnych zapisków się nie prowadzi. Musimy więc, mówiąc o ruchu obieżysaskim, posługiwać się mniej lub więcej pewnymi przypuszczeniami co do jego rozmiarów. Rozmaici też autorowie, rozmaicie je szacują. Jedni obliczają, że w latach ostatnich wyjeżdżało na Saksy po 80.000 głów, inni szacują tę cyfrę na 100.000, 120.000 i 150.000, a Dr.

Caro¹⁾ oblicza ilość samych Polaków z Austrii na 200.000—250.000. Gdzie leży prawda trudno orzec, w każdym razie, raczej cyfra ostatnia więcej jest zbliżona do prawdy, niż pierwsze. Zresztą, nie ignorując wogóle znaczenia cyfr ścisłych, muszę przyznać, że w tym wypadku nie byłyby one wystarczające do wytworzenia sądu należytego o tym zjawisku życia społecznego. Chodzi o to, że ruch obieżysaski u nas dopiero się rozwija, dopiero teraz szuka sobie dróg i terenów. Jeżeli więc chodzi o zrozumienie znaczenia tego zjawiska dla życia ekonomicznego kraju, toć nie wystarczy wiedzieć, jakie ono rozmiary w chwili obecnej posiada, lecz trzeba zapuścić wzrok naprzód i ocenić, do jakich rozmiarów dojść może.

Już obecnie niektóre okolice kraju wysyłają coroku niemal zastraszające ilości emigrantów. N. p. w ankiecie Polskiego Przeglądu Emigracyjnego autor jednej z odpowiedzi — Jan Kaczak z Dąbrowicy (pow. tarnobrzeski) podaje, że z ich gminy emigruje co roku do Prus, Danji i Francji około 700 osób, co stanowi 20% całej ludności. Z innej strony mam wszelkie dane po temu, aby przypuszczać, że korespondent ten zasługuje w zupełności na zaufanie. Przytaczam ten fakt oderwany, gdyż jest on godny uwagi, jako model niejako ruchu emigracyjnego. Początki emigracji w Dąbrowicy datują się od r. 1897, kiedy wyjechało kilkunastu włościan do Prus. Ruch ten rozwijał się coraz bardziej, zabierając już nie tylko bezrolnych i małorolnych, ale i dzieci gospodarzy zamożniejszych. Obecnie, pisze p. Kaczak, »około 70% wychodźstwa stanowią ludzie młodzi, bezżenni i to nieomal w równej mierze chłopaki i dziewczęta

¹⁾ Dr. Caro: »Auswanderung u. Auswanderungspolitik in Oesterreich« str. 40.

(począwszy od lat 15), 17% przypada na mężczyzn żonatyh i dietnych, 10% na kobiety zamężne i dietne i około 3%, co oddawszy na lafowisko krowę blizkiej krewnej lub kumoszce, zabiwszy okna i drzwi deskami, idą w świat z całą rodziną.

Cyfry, tyżące się wieku obieżysasów z Dąbrowicy, można bez wielkiego błędu stosować i do całej Galicji zachodniej, z tą chyba poprawką, jak mnie obserwacja nauczyła, że z powiatu tarnobrzeskiego wyjeżdża stosunkowo większy procent dzieci, niż z innych okolic kraju. Często wyjeżdżają stąd dziewczynki nawet 13 letnie, i, co ciekawe, że te »potwory« Niemcy, stawiają takie dzieci do robót lżejszych, nie zmniejszając im mimo to płacy dziennej. Z drugiej strony z podgórze Beskidu zachodniego wyjeżdża sporo gospodarzy starszych — kosiarzy, tak że tam znaczniejszy nieco będzie procent ludzi żonatyh.

Wszelkie dane każą przypuszczać, że większość polskich wsi galicyjskich, zmuszonych brać udział w wychodźtwie, zmierza co do rozmiarów tego ruchu i jego typu, do wymienionej tutaj gminy. Wyludnienia zupełnego wsi, jak to ma miejsce w niektórych okolicach górskich Włoch, gdzie zostają tylko starcy i dzieci, u nas obawiać się nie ma potrzeby. Chłop nasz nie tylko jest przywiązany do swego gospodarstwa, ale i ogromnie ambitny. Tylko surowe warunki życia zmuszają go do »wysługiwania się« do »wycierania cudzych kątów«. Gdy gospodarz ma możność w ten czy w inny sposób obyć się bez zarobków osobistych, już tylko bardzo niechętnie odpowiada na propozycje w tym kierunku. Dobrze można to obserwować w Paranie, gdzie koloniści nasi, często byli wyrobnicy, najbardziej cenią zdobytą tam zupełną niezależność gospodarczą. Aby więc ruch wychodźczy zabierał więcej, jak 20% ludno-

ści wsi, obawiać się nie ma potrzeby. Położenie zaś większości wsi naszych jest takie, że pozostała w domu nawet przy tak silnej emigracji ludność, przeważnie więc gospodarze żonaci, ich żony i dzieci do lat 15, z łatwością jeszcze grunta obrobić potrafią nawet przy znacznie wyższej niż obecnie kulturze rolnej. Wytwarza się więc stopniowo stan tego rodzaju, że młodzież staje się jakby sprzedażną siłą roboczą wsi, która dostarcza brakującej do życia na miejscu gotówki. Wziąwszy pod uwagę to, że na kilometrze kwadratowym przestrzeni rolniczej posiadamy 70 pracowników rolnych (patrz rozdział I) wobec 25 w Niemczech, musimy dojść do przekonania, że cała niemal Galicja przedstawia teren zupełnie odpowiedni do tak wielkiej wędrówki ludności. Tylko niektóre okolice podmiejskie lub przemysłowe, albo też słabo zaludnione powiaty górskie na wschodzie kraju stanowią pod tym względem wyjątek. Warunki więc wewnętrzne kraju są tego rodzaju, że emigracja sezonowa mogłaby ogarniać co roku olbrzymie rzesze młodzieży wiejskiej, sięgające być może, blisko miliona głów. Ze cyfra taka nie jest niemożliwa, o tym świadczy Poznańskie, które wypychało na »Saksy« w r. 1900 przy o wiele słabszym zaludnieniu aż 13.5% całej ludności zawodowo czynnej w rolnictwie. Ten sam procent dla Galicji dałby cyfrę 570.000 głów. Czy ewentualnie tak wielka armja robotnicza znalazłaby sobie w Europie zatrudnienie, czy nie dałoby się położyć zdrowej tamy temu ruchowi, o tym pomówimy nieco niżej. Tutaj tylko podkreślić wypada, jak chimerycznymi i szkodliwymi byłyby wszelkie przeszkody sztuczne, stawiane temu ruchowi. Zatrzymać go nie byłyby one w stanie, w najlepszym razie spaczyłyby go tylko. Jeżelibyśmy np. w myśl nie wiem już czyjego projektu zakazali wyjazdu młodzieży do lat 18,

toby jechało znacznie więcej gospodarzy starszych, młodzież zaś bez opieki i dozoru pozostawałaby we wsiach, rozpróżniaczałaby się tutaj i demoralizowała, a gospodarstwa bez głowy, bez kierownika coraz bardziejby podupadały. Jak wielka przez to powstałaby szkoda dla kraju całego, o tym przekona się każdy, kto przyjrzy się, jaką rolę odgrywa głowa rodziny nawet w najmniejszym byle intensywnie prowadzonym gospodarstwie chłopskim.

Co do udziału dwu naszych narodowości podstawowych (Polaków i Rusinów) w ruchu obieżysaskim, to trzeba zauważyć, że u Rusinów rzecz ta jest jeszcze bardzo nowa. Dopiero w ostatnich kilku latach częściowo ze względów politycznych zaczęto sprowadzać do Prus robotnika ruskiego. Do tego czasu emigracja ruska ograniczała się do wychodźstwa osadniczego i zarobkowego do Ameryki. W każdym razie już obecnie znaczny odsetek, być może, przewyższający 15 i 20% wszystkich obieżysasów galicyjskich, są to Rusini. Z biegiem czasu stosunek ten bezwarunkowo ulegnie zmianie na ich korzyść.

Główną atrakcją, głównym rezerwuarem naszego ruchu obieżysaskiego były i są Niemcy, przeważnie zaś wschodnia część tego państwa, a więc Śląsk, Poznańskie, Brandenburgja, Prusy zachodnie i wschodnie, następnie Saksonja, Württembergja, Baden, Prowincja nadreńska i t. p. Kraje te pochłaniają lwią część wychodźstwa sezonowego Galicji i Królestwa Polskiego, pozostawiając tylko mały odsetek Danji, Szwecji, częściowo Szwajcarji a w ostatnich latach i Francji, specjalnie zaś na wychodźstwo Galicji jeszcze trochę na Węgry, Morawy i Czechy. Obieżysasi nasi, postępując od wschodu, coraz bardziej zalewają całą Rzeszę niemiecką. Pierwotnie ograniczali się oni do Śląska i Księstwa Poznań-

skiego. Stopniowo jednak, gdy się przekonali, że dalej na zachodzie i południu można mieć większe zarobki, powędrowali tam, opierając się z jednej strony o kraje skandynawskie z drugiej o Szwajcarię. Na zachodzie spotkali oni groźnego swą liczbą i niezmierną pracowitością konkurenta w robotniku flamandzkim, na południu zaś trafili na liczniejsze jeszcze od nich a lepiej zorganizowane szeregi wychodźców włoskich.

Obieźsasi polscy, w odróżnieniu od włoskich, to niemal bez wyjątku robotnicy rolni. Mówiłem już, jak wielkie jest zapotrzebowanie robotnika rolnego w Niemczech, nic przeto dziwnego, że chłopci nasi, oderwani od roli, najłatwiej też na roli zatrudnienie znajdują. Zresztą rząd niemiecki zwłaszcza pruski właściwie toleruje ich tylko jako robotników rolnych, a tylko, zdaje się, jedno W. Ks. Badeńskie, otwarcie pozwala im pracować i w przemyśle. Wobec tego tylko bardzo nieznaczny procent z nich znajduje zatrudnienie w przemyśle i górnictwie, podejmując się uciążliwszych i mniej płatnych robót.

Do innych krajów obieźsasi nasz idzie już niemal wyłącznie jako robotnik rolny.

Werbowanie naszego robotnika sezonowego odbywa się w pierwszym rzędzie (α) przy współudziale koncesjonowanych galicyjskich biur pośrednictwa pracy. Zdaniem Dra Benisa¹⁾ trzy czwarte wychodźców sezonowych angażuje się za pomocą tych biur. Manipulacja cała odbywa się przeważnie w ten sposób, że pruskie Izby rolnicze, zebrawszy zamówienia na robotnika sezonowego od ziemian miejscowych, zwracają się do zgodzonych poprzednio biur z żądaniem dostarczenia

¹⁾ Dr. Benis: »Emigracja«.

im potrzebnej ilości robotnika. Ziemianie niemieccy sami bezpośrednio do wspomnianych biur koncesjonowanych nie udają się. Biura te ze swej strony rozporządzają całą armją agentów i naganiaczy. Zgłaszający się do agenta takiego lub do biura bezpośrednio robotnik podpisuje specjalne zobowiązanie, które nieraz daje możność temu biuru rozporządzania osobą zgłaszającego się, jak się żywnie podoba: posyłania go do tego lub innego kraju, do takiej lub innej roboty.

Stosunkowo już znacznie mniejsza część wychodźców, w ostatnich zresztą czasach stale wzrastająca, jedzie na zarobki bez żadnego pośrednictwa albo też pod przewodnictwem jednego z byłych obieźysasów-robotników (β). Jeżeli w którym dworze byli już robotnicy nasi, a dobrze im tam się działo, to bardzo często wracają oni na rok przyszły znowu tam z powrotem. Zwycię w takich razach kierownik gospodarstwa tego wybiera z pomiędzy swoich obieźysasów sprytniejszego i poleca mu przyprowadzenie na rok przyszły potrzebnej ilości robotnika. Taki przewodnik («przodownik») już w zimie upatruje we wsi swojej odpowiednich ludzi, kompletuje w ten sposób całą kompanję i wiezie ją aż na miejsce przeznaczenia. Jest to w wielu wypadkach najlepszy dla obieźysasów sposób rozwiązania kwestji pośrednictwa, a w każdym razie o wiele tańszy i dla nich i dla pracodawcy od innych sposobów.

Prócz tego pewna ilość emigrantów jedzie do granicy, t. j. Mysłowic lub Oświęcima, bez żadnego kontraktu w celu godzenia się do roboty już na gruncie państwa niemieckiego (γ). Tutaj przeważnie rozwija się też największy wyzysk ze strony agentów, którzy łapią tego robotnika na stacji granicznej i wszelkiemi sposobami starają się go ogołocić z całej gotówki,

a następnie wziąć wysoką prowizję od chlebobawcy za dostarczenie robotnika na warunkach wyjątkowo dla niego dogodnych. Ten sam mniej więcej los spotyka i robotników, jadących pod opieką tajnych agencji, co również jest często praktykowane. Nie mogę wchodzić tutaj dla braku miejsca w szczególności tego wyzysku, ciekawych odsyłam więc do pracy Trzcinińskiego »Rus.-pol. u. Gal. Wanderarbeiter im Grhthm. Posen« i Dra Benisa »Emigracja«, prócz tego wiele danych dostarcza pismo »Polski Przegląd Emigracyjny« (Kraków).

Całe to pośrednictwo ma bardzo wiele cech ujemnych. Przedewszystkiem emigrant, zwłaszcza trzeciej kategorii (γ), narażony jest na wyzysk; następnie wogóle pośrednictwo to kosztuje bardzo wiele. Dr. Benis oblicza, iż naszych 100.000 wychodźców opłaca pośrednikom haracz, przewyższający milion koron. Wogóle pracodawca niemiecki płaci za dostarczonego robotnika po 2—5 marek od osoby, a w sezonie robót pilniejszych lub też wczesną wiosną jeszcze więcej nieraz — 10, a nawet 15 marek. Robotnicy sami rzekomo nic nie płacą, jednak już subagent pobiera zwykle 1 lub 2 korony, następnie biuro komisowe każe sobie płacić tytułem np. »wpisowego(?)« 3—5 koron. Uwzględniając to wszystko, łatwo przekonamy się, że całkowity koszt pośrednictwa zwyczajnego przez biura wynosi co najmniej 10 koron na głowę. Koszt pośrednictwa agencji tajnych jest już zupełnie nieobliczalny, w każdym razie musi sięgać cyfr znacznie wyższych. Najtaniej wypada wyjeżdżanie na zarobki za pośrednictwem »przodownika« (β). Taki pośrednik zadawalnia się zwykle 1—2 markami komisowego od pracodawcy i tyleż każe płacić sobie robotnikom.

Z tak czy owak zwerbowanym robotnikiem zawiera pracodawca niemiecki ścisły kontrakt, który podpisują albo wszyscy robotnicy chociażby krzyżykami albo też tylko kierownik partji. Oprócz wynagrodzenia w gotówce, otrzymują obieżysasi mieszkanie i wikt albo mniejszą lub większą ordynarję. Ciekawe jest, że im która partja robotników dawniej przychodzi już na zarobki do Niemiec, tym więcej żąda zapłaty w gotówce, a mniej w naturaljach. Uderzająca jest różnica pomiędzy kontraktami obieżysasów z Królestwa, a z Galicji; tamci już dawniej chodzą na zarobki i dlatego deputat ich wynosi tygodniowo na osobę np.: (a) 25 funtów ($12\frac{1}{2}$ kg.) ziemniaków, $3\frac{1}{2}$ l. mleka chudego i 1 litr mąki; albo też — (b) 20 funtów ziemniaków i 2 funty mąki; a już nieco więcej — (c) 25 f. ziemniaków, $1\frac{1}{2}$ f. mąki żytniej, $1\frac{1}{2}$ f. kaszy jęczmiennej i 1 l. mleka chudego dziennie. Zupełnie inaczej wygląda dodatek w naturaljach u robotników galicyjskich: otrzymują oni albo wikt całkowity (d), albo też ordynarję typu mniej więcej takiego (e) — na osobę tygodniowo: 10 f. chleba (kobiety i chłopcy 8 f.), 25 f. ziemniaków, 1 f. mąki, $3\frac{1}{2}$ l. mleka chudego, $3\frac{1}{2}$ f. kaszy lub ryżu, 1 f. mięsa, 1 f. słoniny i $\frac{1}{2}$ f. soli¹⁾.

Zdaniem Trzcńskiego, to stopniowe żądanie coraz mniejszego deputatu pochodzi stąd, że zagłodzony w domu robotnik pierwotnie chce się odkarmić, a dopiero na rok przyszły wołałby już mieć gorszy wikt, byle więcej zaoszczędzić. Zapewne jest w tym nieco słuszności, przypuszczam jednak, że nie jest to przyczyna jedyna tego zjawiska. Moim zdaniem, silniej tu działa stopniowy wzrost pożądania większych zarobków: obieżysasowi-nowicjuszowi wydaje się już dosyć

¹⁾ »Trzcński: Rus.-Pol. u. Gal. Wanderarbeiter«.

wielką płaca 1 marki lub 80 fenigów przy utrzymaniu całkowitym. Po paru latach uważa już on, że »zdałoby się zarobić i więcej«, a więc spekuluje, czyby nie dało się zaoszczędzić czego na wikcie.

Ceny robocizny podług Trzcńskiego, dla przykładów naszych większej i mniejszej ordynarji wynoszą w markach (Ks. Poznańskie).

	(a)	(b)	(d)	(e)
Mężczyźni dziennie	1.50	1.85—1.50	1.00	1.10
Kobiety i chłopcy dziennie	1.20	1.00—1.25	0.80	0.90
podczas żniw:				
Mężczyźni	1.75—2.00	2.00		1.20—1.50
Kobiety i chłopcy	1.50	1.50		0.90—1.00
płaca akordowa:				
Koszenie ozim. $\frac{1}{4}$ ha ¹⁾	1.20	} 1.25—1.50	mniej więcej to samo ponie- waż odlicza się wartość de- putatu	
Koszenie zbóż jarych $\frac{1}{4}$ ha	1.10			
Obróbka burak. $\frac{1}{4}$ ha	11.00	10.00		
kopanie » »	12.00	12.00		
i t. p.				

Warunki podane pod (e) są właściwie równoznaczne z całkowitym utrzymaniem, ponieważ dwór nie tylko daje ordynarję lecz, co stale jest praktykowane, przydziela jedną z robotnic do gotowania wszystkim emigrantom strawy. Przy umowie na całym wikcie zwykle bywa również wydzielana pewna ilość produktów mało co różna od schematu (e). Bardzo często godzą się także robotnicy nasi na całkowite utrzymanie

¹⁾ Móg magdeburski.

i płacę miesięczną, wynoszącą dla mężczyzn np. M. 20, dla chłopców i kobiet M. 17. Przy godzeniu robotnika dopiero w maju płaca ta podskakuje aż do 25 marek.

Kontrakt oznacza ściśle, jak długo trwa praca, zapewniając robotnikom od godzin nadetatowych płacę 10 do 15 fenigów. Prócz tego robotnik otrzymuje zwrot kosztów podróży od stacji granicznej.

Cyfry te tyczą się stosunków w Księstwie Poznańskim. Całe jednak Niemcy mają już płace »obieżysasów« dosyć wyrównane — na Śląsku, w Prusach zachodnich i Brandenburgji nie różnią się one niemal wcale od poznańskich, na Pomorzu, w Saksonji i Westfalji są o jakąś 5—10% wyższe i to zarówno płace dzienne, jak i akordowe. Jeżeli jednak robotnicy nasi twierdzą, że im dalej na zachód, tym więcej zarobić można, to pochodzi to tylko stąd, że tam znajdują więcej pracy akordowej. Wiadomo zaś, jak chłop nasz potrafi pracować gdy mu płacić od ilości wykonanej roboty!

Wszędzie, jak wspomniałem, pracodawca obowiązany jest dawać mieszkanie robotnikom. Jest to można powiedzieć punkt, na którym najłatwiej zaspokoić naszego chłopca, znaną bowiem jest rzeczą, jak niskie są jego pod tym względem wymagania. Porządniejsze dwory budują dla obieżysasów specjalne baraki, czyli koszary, składające się stosownie do przepisów policyjnych z dwu sal — jednej dla mężczyzn, drugiej dla kobiet. Każdy z robotników otrzymuje tam siennik i kołdrę, często i łóżko. W majątkach mniejszych lub nie przystosowanych jeszcze do przyjmowania robotników sezonowych, umieszczają ich byle gdzie — w starych śpichrzach, na strychach i t. p., nie natrafiając najczęściej na niezadowolenie ze strony interesowanych. Wobec takiego koszarowego rozmieszczenia robotników wielką niewygodę mają rodziny, chociaż po go-

spodarstwach najlepszych otrzymują już one osobne pomieszczenia.

Że sprawa mieszkań przedstawia wiele do życzenia, to oczywiście już bezpośrednio ze stosunku do tej kwestji robotnika naszego wynika. Przepisy policyjne nie wszędzie i nie zawsze są tu przestrzegane, tak że zdarza się nawet, iż mężczyźni i kobiety lokują się razem.

Sezon robót obieżysasów naszych jest naogół bardzo długi. Począwszy już od lutego zaczynają oni jechać masowo, zaś największa ilość wyjeżdża na początku marca. Do domu zaś wracają dopiero w końcu listopada, a nawet w połowie grudnia. Właściwie więc stali obieżysasi przyjeżdżają do domu tylko na 2—3 miesiące, a znacznie większą część roku spędzają na obczyźnie.

Zupełnie niemal identyczne stosunki mają ci robotnicy, którzy wyjeżdżają do Danji i Szwecji, a także Szwajcarji. Kraje te zresztą pochłaniają znacznie więcej robotnika z Królestwa niż z Galicji, razem zaś emigracja do nich nie przenosi, o ile mogłem zebrać dane, 10—12 tysięcy, z czego na Danję przypada 7.000. Płaca w Danji i Szwecji była dotychczas nieco wyższa niż w Niemczech, zaś w Szwajcarji zbliżona do typu (e), ponieważ otrzymują tam robotnicy duży deputat.

W r. 1908 wyjechało z Galicji około 800 robotników do Francji. O nich wspomnę na razie tylko, że zgodzili się tam przeważnie do gospodarstw fermowych w Lotaryngji, biorąc po 400—500 franków rocznie przy bardzo dobrym utrzymaniu całkowitym. O warunkach pracy we Francji powiem nieco szerzej na innym miejscu.

Zwróćmy się teraz do przepisów policyjnych, jakimi rząd niemiecki otacza naszego robotnika. Przewszystkim każdy robotnik, wstępując na terytorjum niemieckie, obowiązany jest zameldować się w osobnym urzędzie, gdzie dostaje specjalną kartę legitymacyjną. Na karcie tej, oprócz imienia i nazwiska robotnika i innych szczegółów, wymienia się dokładnie, jakiej jest on narodowości. Prócz tego Polacy otrzymują karty innego koloru, Rusini innego. Zaopatrzony w taką kartę robotnik może już brać posadę u któregoś z pracodawców; jeżeliby zaś tej karty nie posiadał, to bardzo szybko odstawiany jest szupasem do granicy.

Pracodawca przy przyjmowaniu robotnika sezonowego ma do wypełnienia i przestrzegania cały szereg przepisów rozmaitych. Wogóle z góry już musi postarać się on o zezwolenie na przyjęcie robotników, a po ich sprowadzeniu donieść o tym władzy miejscowej w przeciągu 2 dni, przedkładając dokładny wykaz zajętych przez niego ludzi. Tak samo przed odjazdem obieżysasów w jesieni też obowiązany jest on zawiadomić o tym tę samą władzę. Prócz tego podpisuje pracodawca specjalne zobowiązanie względem władz policyjnych. Warunki tego zobowiązania tyczą się właściwie już więcej samych robotników, tylko pracodawca obowiązany jest do ich wypełnienia. Brzmią one, jak następuje:

»...Zobowiązuję się... 1. Przyjmowanie Polaków obcokrajowych ograniczyć tylko do osób, nie będących w wieku szkolnym, i pojedynczych (o ile nie nastąpiło osobne zezwolenie królewskiego »Regierungs«prezydenta na zatrudnienie rodzin bez dzieci w wieku szkolnym).

2. Przyjętych do robót Polaków odzielić od pozო-

stałych robotników i (o ile nie tyczy się rodzin) ulokować osobno podług płci.

3. Tychże w oznaczonym terminie , zameldować u miejscowych władz policyjnych.

4. Na mój koszt w przeciągu trzech dni poddać ich badaniu lekarskiemu i, jeżeli zajdzie tego potrzeba, szczepić, zaś wynik badania wraz z poświadczeniem lekarza przedstawić miejscowym władzom policyjnym.

5. Władzom policyjnym niezwłocznie donieść na piśmie, skoroby obcokrajowi polscy robotnicy potajemnie i ze złamaniem porządku prawnego miejsce zatrudnienia opuścili.

6.

7.

(Podpis.)«

Widzimy więc, jak ograniczony jest robotnik nasz w Niemczech. Przedewszystkiem wykluczone są dzieci w wieku szkolnym, co oczywiście tylko za stronę dodatnią uważać należy. Jeżeli więc jadą z Galicji i dzieci poniżej lat 15, to omijają one ten przepis, podając się za starsze, niż są w rzeczywistości. Prócz tego widzimy, iż zabroniony jest wstęp również ludziom żonatym, z drugiej strony wiemy, iż tego rodzaju robotnicy stanowią około 30% całej liczby obieżysasów. Znowu jednak jest tu obejście paragrafu bardzo łatwe, bo mąż i żona podają się za rodzeństwo tego samego nazwiska. We własnym interesie pracodawcy przyjmują bardzo chętnie takie stadła małżeńskie, ponieważ są to robotnicy najpracowitsi i najcichsi.

Z innych przepisów wymienić należy jeszcze to, że robotnicy nasi — Polacy nie podlegają przymusowi ubezpieczenia od wypadków i na starość. Wyjątek ten

ustanowiony jest specjalnie tylko dla Polaków, ponieważ Włosi, Belgowie, Luksemburczycy, a również i Rusini, zwolnieni z tego nie są. Oczywiście jest to tylko z krzywdą dla robotników naszych, że nie mogą korzystać z prawa ubezpieczenia powszechnego i na wypadek nieszczęścia zgoła żadnej renty nie otrzymują. Wogóle o ile Polacy są szykanowani do pewnego stopnia przez policję, o tyle Rusini bywają nawet faworyzowani. Na zatrudnienie Polaków otrzymuje pracodawca zezwolenie tylko na czas od 1 lutego do 20 grudnia i może ich przyjmować tylko do robót rolnych. Względem Rusinów przepisy te wcale się nie stosują — można ich zatrudniać bez zezwolenia władz i choćby cały rok. Prócz tego istnieje jeszcze przepis, zresztą zwykle omiany, że Rusini nie mogą być zajęci obok Polaków.

Tak obwarowanego przepisami temi robotnika przyjmuje już pracodawca i ze swej strony stawia mu jeszcze cały szereg warunków w kontrakcie. W pierwszym rzędzie kontrakt ten zabezpiecza pracodawcy dosyć silną broń przeciw ewentualnemu bezprawnemu porzuceniu przez robotnika pracy. A więc obowiązani są robotnicy, co zresztą wynika i z przepisów policyjnych, złożyć swoje karty legitymacyjne u pracodawcy. Następnie każdy robotnik powinien mieć kaucję aż do wysokości 30 marek; kaucję tę tworzy się przez ściąganie w przeciągu pierwszych kilku tygodni odpowiedniego procentu (np. 50%) z zasług robotnika. Gdyby robotnik opuścił miejsce przed upływem oznaczonego w kontrakcie terminu albo wogóle z sposób »nieprawny« odejść musiał, to cała kaucja zostaje mu skonfiskowana. Pod nazwą nieprawnego opuszczenia miejsca podciąga się stale i wypadki, gdy robotnik zostaje za jakieś przekroczenia przez pracodawcę wyda-

lony. Oto mniej więcej są te przekroczenia, za które podług kontraktu może to nastąpić:

a) jeżeli robotnik do rozporządzeń służbowych pracodawcy lub jego zastępcy (Inspektora, rządcy, dozorczy i t. d.) nawet przy dwukrotnym upomnieniu nie stosuje się,

b) jeżeli pracodawcę lub jego zastępcę zelży,

c) albo czynnie tegoż znieważy,

d) jeżeli robotnik kradnie,

e) jeżeli osoba niezamężna zajdzie w ciążę,

f) jeżeli robotnik okaże się niezdolnym do umówionej roboty,

g) jeżeli będzie on winnym podburzania,

h) jeżeli męczy zwierzęta.

Następnie kontrakt wymienia i wypadki, za które robotnik może być karany pieniężnie. Za uszkodzenie zaś narzędzi i innych rzeczy pracodawca jest w prawie ściągać odpowiedni ekwiwalent z wynagrodzenia. Robotnicy, którzy wybędą cały oznaczony w kontrakcie czas, otrzymują przed wyjazdem kaucję wspomnianą i dostają zwrot kosztów podróży.

Z innych ścieśniających robotnika punktów kontraktu pospolitego trzeba wymienić jeszcze, że pracodawcy żądają od robotników zrzeczenia się przy zatargach pośrednictwa sądów zwyczajnych, a zobowiązują ich do szukania sprawiedliwości w specjalnych sądach rozjemczych Izb rolniczych. Jest to zupełnie równoznaczne z odebraniem robotnikowi wszelkiej możliwości dochodzenia swych praw, ponieważ Izba rolnicza jest przecież zwykle bardzo daleko, a zresztą składa się z tych samych ziemian Niemców, którzy, wątpię, czy mogliby się zdobyć na sąd bezstronny. Prócz tego pracodawca przy każdym zatargu z robotnikiem jest w mocy usunąć go zupełnie z granic państwa niemie-

ckiego: melduje tylko w policji, że ten a ten z robotników obcokrajowych został przez niego wydalony, a to już wystarczy, aby żandarmerja, nie pytając zupełnie o powody, odstawiła tegoż szupasem do granicy.

Już z tego krótkiego przeglądu przepisów policyjnych i warunków kontraktu widzimy, że de jure robotnik nasz jest w Niemczech na łasce i niełasce chlebowodawcy. Wszystkie te przepisy zmierzają, zdaje się, do jednego tylko celu, do pozbawienia robotnika wszelkich praw, wszelkiej możności dochodzenia sprawiedliwości, wogóle do zaprzędania go w niewolę chlebowodawcy. Mając kaucję z jednej strony, a nieludzkie warunki kontraktu z drugiej, ma pracodawca olbrzymie pole do wyzysku. W rzeczy samej też, zwłaszcza w Prusach zachodnich i na Pomorzu wyzysk ten dość często się trafia, chociaż z drugiej strony, jak twierdzi Dr. Benis, trzeba przyznać władzom pruskim, że przeciwko nadużyciom bezpośrednim pracodawców występują bardzo energicznie.

Wiadomo jednak, jak bezsilne są przepisy policyjne, nawet niemieckie, wobec warunków samego życia. Chcąc więc wytworzyć pogląd na byt naszych obywateli w Niemczech, nie wystarczy przestudjować tylko wspomniane przepisy. Trzeba wejść w samo życie i zobaczyć, jak też tam się dzieje emigrantom naszym.

Chłop nasz, z Galicji zwłaszcza, odznacza się zwykle ogromną niesłownością. Dla niego zobowiązanie kontraktowe ani trochę nie jest jeszcze zobowiązaniem moralnym. Zwłaszcza w stosunku do pracodawców niemieckich nie ma on najmniejszych skrupułów na łamanie zawartego raz kontraktu. W pierwszych też latach naszej emigracji sezonowej łamanie kontraktów, przechodzenie z jednego dworu do drugiego było na

porządku dziennym. Zwłaszcza agienci tajni, biorąc pro wizję od każdego nowego pracodawcy, byli tutaj stale kusicielami, namawiającymi do tego. To łamanie kontraktów dało rządowi niemieckiemu powód, a może pretekst, do wydania prawa o legitymacjach robotniczych, bez których nie mogą być oni przyjmowani do robót. Pracodawca zaś oprócz zabierania tych legitymacji żąda od robotnika kaucji. Łamanie jednak kontraktów mimo to nie jest i obecnie jeszcze rzadkością. Robotnik często z góry już podstępnie zaopatruje się w podwójną legitymację. Jeżeli więc widzi na początku, kiedy jeszcze odtrącana z zasług kaucja nie urosła znacznie, że mógłby w innym miejscu otrzymać lepsze pod tym lub innym względem warunki, to nie waha się rzucić miejsca pierwszego, aby przenieść się na lepsze.

Z drugiej strony nie trzeba się łudzić, że czując siłę po swojej stronie, pracodawca wcaleby się nie krępował we wprowadzaniu w życie najbardziej nawet surowych warunków kontraktu, a i wogóle z robotnikiem obchodziłby się jaknajgorzej. Że nie stanęłyby temu na przeszkodzie względy natury moralno etycznej, o tym mowy nie ma.

A jednak mimo to naogół obchodzenie się pracodawców niemieckich z naszymi robotnikami jest zupełnie znośne, a czasami nawet nic do życzenia nie pozostawia. Tak samo nadużycia pieniężne z ich strony też są tylko sporadyczne, wcale nieliczne. Wprawdzie prasa utrzymuje coś wręcz przeciwnego, twierdząc, że obieżysasów naszych traktują w Niemczech, jak bydło, wyzyskują ich w sposób o pomstę do nieba wołający, tak że ci nieszczęśliwi parjasi obecnego ustroju społecznego jeżdżą chyba tylko po to, aby i te resztki zabranej z kraju na drogę gotówki tam na obczyźnie w szpo-

nach agentów utracić. Jest to jednak zdanie już nie tylko przesadzone, lecz zgoła fałszywe. Że wielu z obieźsasów naszych wpada w ręce agentów tajnych, że wielu z nich, nie znalazłszy pracy, lub też oszukani przez agentów, wraca nieraz o żebranym chlebie do wsi rodzinnych, to oczywiście jest prawdą, lecz winić za to można tylko własną naszą nieudolność, iż dotychczas nie potrafiliśmy ująć ruchu emigracyjnego w karby sprężystej organizacji. Dopóki nic nie będzie emigrantów chroniło od nadużyć, dopóty pewien procent ich stale ulegać będzie wyzyskowi niesumiennych pośredników. Zresztą procent w ten sposób poszkodowanych jest wcale nie tak wielki. Sprawa zaś wyzysku ze strony pracodawcy niemieckiego jest już całkiem niemal urojona. Oczywiście, gdzie jedzie coroku z górą 400.000 ludzi na zarobki (licząc i Królestwo), tam niechybnie znajdzie się nader dużo poszkodowanych przez złą wolę pracodawcy, tam zawsze prasa znajdzie wypadki »ohydne«, »wstrząsające duszą«, zwłaszcza prasa nasza, odznaczająca się, jak ktoś powiedział, »jęczącym altruizmem«. Faktów tych bynajmniej jednak nie można uogólniać, gdyż naogół, t. j. skąpo licząc w 99 wypadkach na sto, o wyzysku ani o złym obchodzeniu się ze strony pracodawcy mowy nie ma. Jest to nawet zjawisko bardzo ciekawe, że tak bezwzględni ludzie, jakimi są z natury Niemcy, przecież nie wyzyskują zupełnie bezbronnego robotnika. Wytłumaczenie tego jest jednak proste: oto popyt na robotnika naszego jest większy, niż podaż tegoż. Pracodawca niemiecki rozumie bardzo dobrze, że niech zacznie źle się obchodzić z obieźsasem, niech oszuka którego przy wypłacie, niech nadużyje lub tylko skorzysta ze swych praw, w nieludzkim kontrakcie zawarowanych, to już nie tylko na rok przyszły nie będzie miał ludzi, ale i w roku

bieżącym znaczna ich część, pozostawiając legitymacje i kaucje, upatrzawszy chwilę odpowiednią, ucieknie. Właściwie więc panami położenia dotychczas przynajmniej, są robotnicy, a nie pracodawcy i stąd właśnie ten choć względny ład i brak nadużyć przy przelewaniu się coroku tak olbrzymiej fali ludności, jaką wychodźcy nasi stanowią, tej fali, która ze strony naszej nie doznaje nic, prócz pewnej dozy łez, przez prasę płacziwą wylanych.

Obok tego zdania »o doli« naszego emigranta, utarło się też przekonanie, że cały ten ruch jest sztucznie tylko przez agentów wywołany, że wcale potrzeba emigracji nie zachodzi, że jest to tylko rozwydrzenie młodzieży, która jedzie w świat, aby zobaczyć różne dziwy, a wyrwać się z pod opieki rodzicielskiej.— Są to zdania od początku do końca fałszywe: że warunki wewnętrzne prą nieubłaganą siłą konieczności do emigracji, na to dowody dostateczne przytoczyłem w rozdziale pierwszym, mówiąc wogóle o przeludnieniu wsi naszej. Pracy na miejscu robotnik emigrujący nigdyby nie znalazł. Wprawdzie obecnie już często trafiają się okolice, gdzie robotnika nie tylko nie jest za wiele, lecz brak go kompletnie, bynajmniej jednak to nie dowodzi, aby emigracja wobec tego była nie potrzebna. Oznacza to tylko, że, pracę żywiołową siłą naprzód, porywa ona już z niektórych wsi za wiele robotnika. Zresztą sił roboczych mimo to nawet wszędzie pozostaje dosyć, tylko, że są już to gospodarze, którzy wysławszy dzieci »na Saksy«, sami imać się pracy nie chcą, a już za dyshonor by sobie poczytywali, gdyby poszli »na pańskie« po cenach mniejszych, niż ich dzieci pracują w Niemczech. Stąd, zdaje się, w głównej mierze pochodzi to dziwne zjawisko, że w kraju z olbrzymim nadmiarem rąk roboczych w wielu okolicach

robotnika brak. I z pewnością nie występowałoby to niemal wcale, gdyby chłop nasz miał choć jakieś potrzeby kulturalne, gdyby nie był takim organizmem tylko pracującym i trawiącym. Wtedy zarobki dzieci jego i dochody z miniaturowego gospodarstwa nie starczyłyby mu na życie, musiałby więc i sam chwycić się pracy na cudzym zagonie.

Z innych stron ujemnych emigracji wymienić jeszcze należy podnoszoną przez rozmaite pisma demoralizację ludu, jaka z ruchu tego płynie. To twierdzenie nie jest pozbawione słuszności, chociaż samo pojęcie demoralizacji jest dosyć rozciągliwe i rozmaite objawy pod wyraz ten można podciągać. W pierwszym rzędzie podnoszona bywa demoralizacja, polegająca na rozluźnieniu stosunków płciowych. Niektórzy zawodowi pesymiści posuwają się tak daleko, iż nie wahają się twierdzić, że większość jadących do Prus dziewcząt wsiąka tam w rzesze prostytutek, że wogóle, jeżeli dziewczęta przywożą grosz zaoszczędzony, »to pracują nań nie we dnie, lecz w nocy«. Jest to już absolutna fantasmagorja. Że po dworach gorszych, gdzie, co zresztą rzadko dosyć się zdarza, lokują i dziewczęta i chłopców w jednej izbie sypialnej, następuje znaczne dosyć rozluźnienie obyczajów, przeczyć temu nie będę, z drugiej jednak strony trzeba pamiętać, że Niemcy to państwo bojaźni bożej. Chociaż więc samo społeczeństwo nazbyt religijne nie jest, chociaż samo grzeszy często przeciw moralności, to jednak tym silniej może stara się chronić »tych barbarzyńców« Polaków od »zepsucia«. Jest to zjawisko psychiczne zupełnie zrozumiałe. Stąd właśnie owe przepisy o rozdzielaniu mężczyzn i kobiet, stąd surowy warunek kontraktu (zresztą niewypełniany), że dziewczyna, która zajdzie w ciążę, traci miejsce i t. p. Naogół, moim zdaniem, nic by lepiej

pod tym względem nie było, gdyby młodzież jadąca na Saksy, siedziała we wsiach rodzinnych.

Rzadziej już nieco podnoszona bywa demoralizacja w znaczeniu zatracenia poszanowania praw, czyli demoralizacja społeczno-kulturalna. Z tym zgodzić się mogę w zupełności, zrobię jednak tylko jedno zastrzeżenie — wychodźstwo działa tutaj nie bezpośrednio, lecz pośrednio. Wogóle demoralizacja społeczno-kulturalna zatacza we wsiach naszych z każdym rokiem kręgi coraz szersze i bynajmniej przypisać tego tylko emigracji nie można, gdyż występuje ona i w okręgach, zupełnie niemal ruchu emigracyjnego (sezonowego) nie znajdujących, np. pod Jasłem, Krosnem i t. p. Moim zdaniem, zjawisko to jest specjalnym przejawem postępu kultury. W warstwach inteligencji naszej utarło się zdanie, że prawa moralne, lub prawdy etyczne są jedne dla wszystkich w naszym narodzie, te mianowicie, którym dana osoba hołduje. Pójdźmy jednak do chłopca, a wnet się przekonamy, że ma on pod tym względem swój światopogląd zupełnie odrębny, gdzie prawem moralnym jest niemal tylko prawo kościelne, stosowanie się zaś do praw publicznych wynika przeważnie z bierności życiowej, a nie np. ze zrozumienia ich wartości. Gdy chłop pod wpływem tych lub innych czynników zaczyna się »cywilizować«, to w pierwszym rzędzie pozbawia się znacznej dozy bierności życiowej, a łącznie z tym zaczyna patrzeć na niektóre rzeczy krytyczniej, niż dotąd. Wynik oczywiście takiej »cywilizacji« jest tylko negatywny narazie. Z biegiem czasu musi jednak przyjść i prawdziwe ucywilizowanie się, czyli uspołecznienie jednostek. Chłop duński albo francuski jest już uspołeczniony — jego krytycyzm doprowadził go do zrozumienia korzyści praw, korzyści urzędzeń społecznych, doprowadził go do zrozumienia indywidualnej nawet

szkodliwości wchodzenia z prawami temi w konflikty i t. p. Do tego uspołecznienia zmierza i wieś nasza, musi jednak w pierw przejść przez ogień demoralizacji. — W ten sposób właśnie demoralizują się i wychodzą nasi na obczyźnie. Rozdzierać więc szat nad tym nie ma jeszcze powodu.

Zarobki robotników naszych w Niemczech w porównaniu z tym, co mogliby oni zarobić przy przypuszczalnym znalezieniu nawet pracy w kraju, są dosyć wysokie. Zarobek brutto, rachując wartość utrzymania, względnie ordynarji, oblicza Frost dla r. 1902¹⁾ zależnie od prowincji od 362 marek do 500 dla mężczyzn i od 174 do 276 dla kobiet, biorąc już pod uwagę i pracę akordową. Za punkt wyjścia przyjmuje on 200 dni roboczych, co odpowiada mniej więcej $8\frac{1}{2}$ miesiącom pracy. Cyfry te, zdaje się, grzeszą nie tylko wielką niedokładnością, ale i są już przestarzałe. Obecnie wcale nie ma tak wielkich różnic co do zarobków kobiet i mężczyzn, jako zaś przeciętną cyfrę można przyjąć dla mężczyzn 350 marek, dla kobiet — 250. Wogóle więc można liczyć że zarobek brutto całej naszej emigracji sezonowej wynosi 45—60 milionów marek.

Ciekawym byłoby obliczenie cyfry oszczędności, jakie cała ta rzesza przywozi do kraju. Jest to jednak zadanie już o wiele od poprzedniego trudniejsze, różni też autorowie różnie tę cyfrę obliczają. Wogóle trzeba powiedzieć, że robotnicy nasi są niezmiernie oszczędni, odżywiają się byle jak, byle tylko mieć dość sił do pracy, składając grosz do grosza i wyprzedzając się nawzajem w ilości uzbieranej gotówki. Mimo to przecież pewne niezbędne minimum ich wydatków istnieje.

¹⁾ Podług Rozziarka: W sprawie wychodźstwa. Poznań 1906.

Rachując, iż wikt kosztuje naszego obieźysasa dziennie 40 fenigów (wliczając w to wartość ordynarji), a najmniej 35, wypadłoby, że na utrzymanie wydaje on w ciągu 9 miesięcy 95 do 110 marek. Prócz tego pewna kwota odchodzi na ubranie, bieliznę, tytoń i t. p., tak że naogół wydatki należy szacować na 120 do 150 marek już z doliczeniem kosztów pośrednictwa, ponoszonych bezpośrednio przez obieźysasa, oraz przejazdu do granicy pruskiej. Oczywiście jest to minimum wydatków, które jednak przekraczane bywa przez nieliczne bardziej lekkomyślne jednostki. Przeciętnie więc trzeba rachować, że obieźysas wiezie do domu 150 do 180 Marek czyli 175 do 200 lub nieco więcej koron. Przy cyfrze 200 k., wyniosłaby wogóle cała zaoszczędzona przez wychodźstwo sezonowe kwota blisko 30—40 milionów koron. Trzeciński i inni autorowie przyjmują zwykle cyfry nieco niższe, obliczając oszczędności na 150 marek na głowę przeciętnie. Warszawski zaś komitet statystyczny podaje tutaj kwotę 50 do 70 rubli (125 do 185 koron).

Z tych chociaż i bardzo niedokładnych cyfr widzimy, jak ważną kwestją dla obieźysasa jest otrzymanie większej czy mniejszej ilości roboty akordowej. Ceny za roboty są wszędzie bardzo zbliżone, mimo to na wschodzie zarabia robotnik przeciętnie niespełna 300 marek, podczas gdy przy plantacjach buraków w Królestwie Saskim może ten zarobek podskoczyć i do 500, a nawet 600 i 700 marek. W pierwszym wypadku oszczędność wyniesie 150 marek, w drugim, licząc nawet na zwiększenie wydatków, podniesie się do 200, 300 i wyżej. Są to już zarobki bardzo pokaźne, chociaż nie dorównywiają one oszczędnościom tych nielicznych emigrantów naszych, którzy pomimo całego szeregu przepisów, dostają się przecież na zachodzie do pracy w fabrykach, gdzie

oszczędzają w tym samym sezonie od 400 do 500 i więcej marek. Mimo to oszczędności tych nawet robotników są o wiele niższe od tej kwoty, jaką przeciętny »obieźysas« włoski wiezie po roku pracy do swej wioski. Ich oszczędności obliczane są na 1000 (?) blisko lirów rocznie na głowę. Pochodzi to, zdaje się, głównie stąd, że biorą się oni do dobrze płatnych robót ziemnych, zaś, pracując na akord, zarabiają bardzo wiele. Zresztą znaczny procent wychodźców włoskich pracuje we Francji, gdzie płace robotnika są wogóle wyższe, niż w Niemczech.

Niektórzy autorowie, między nimi i Trzeciński, wytrwałość i zapobiegliwość naszych obieźysasów tłumaczą tym, że jest to elita robotnika krajowego, podając jako dowód na to, że tak mało jest między nimi analfabetów. Jest to zdanie zupełnie błędne: wychodzi od nas właściwie robotnik najslabszy — przeważnie młodzież, która ani statecznością ani wielką wytrwałością odznaczać się nie może. Procent analfabetów jest między nimi oczywiście bardzo mały wobec obecnie już istniejącego przymusu szkolnego. Gdyby wychodziło więcej ludzi starszych, większy byłby i procent analfabetów. Że ci robotnicy, pracują pomimo to bardzo wytrwale, że oszczędzają grosz, skąpiąc na wszelkie wydatki, to pochodzi przedewszystkim, jakem mówił, z sugiestji samego wyjazdu na robotę, na zarobek, a zresztą młodzież wiejska, nie mając w domu wcale gotówki w ręku, nie umie jeszcze wprost wydawać pieniędzy na własne przyjemności. Dla chłopaka wiejskiego każda własna korona jest tak wielkim już pieniądzem, że na jakieś przyjemności wydać jej nie miałby on serca. Jeżeli wogóle wydaje na coś, to kupuje jakiś przedmiot mniej lub więcej użyteczny — kapelusz, coś

z garderoby, albo zegarek — posługując się logiką zwykłą u chłopca: »nie zginie«.

Wyżej wspomniałem już, że ruch emigracji zarobkowej, jeżeliby chodziło tylko o przyczyny wewnętrzne kraju, mógłby w przyszłości rozwinąć się do olbrzymich rozmiarów, wypychając co roku z Galicji może aż do miliona robotnika. W Królestwie ruch ten rozwija się też z każdym rokiem coraz silniej. Wielka ilość tamecznego proletariatu rolnego pozwala na przypuszczenie, że i tam dojdzie ruch ten z biegiem czasu do rozmiarów o wiele większych, niż w chwili obecnej. Podług danych urzędowych z Królestwa wychodzi co roku 150—200 tysięcy obieżysasów. Jest to jednak cyfra znacznie mniejsza od liczby rzeczywistej, ponieważ obejmuje ona tylko tych wychodźców, którzy wyjechali w sposób legalny. Ile jednak jest takich, którzy dla zaoszczędzenia kosztów paszportowych wolą przejść granicę pokryjomu! Przypuszczać należy, że obecnie już Królestwo daje około 300.000 obieżysasów, albo mało co mniej od tej cyfry. Trzeciński np. oblicza liczbę tę dla r. 1904 na 225.000, zaś Dr. Caro dla roku 1905, który wykazał największy ruch w tym kierunku, przyjmuje cyfrę nawet 380.000. Liczba ta, moim zdaniem, może z czasem znacznie się podnieść, nawet podwoić się, a to z tego względu, że obecnie w ruchu wychodźczym bierze udział tylko część Królestwa. Jeżeliby wszystkie części tego kraju równomiernie dostarczać miały robotnika za granicę, to oczywiście cyfra ta potroiłaby się nawet. Jednak tak źle, zdaje się, nigdy nie będzie, ponieważ bądź co bądź Królestwo jest krajem przemysłowym, jest krajem, w którym liczne dwory i folwarki coraz bardziej podnoszą intensywność gospodarstw swoich, stanowią więc coraz większy rezer-

wuar na siły robocze na miejscu. W każdym razie na jedno zgodzić się niewątpliwie każdy musi, że wogóle nasza emigracja sezonowa nie tyłkoby się mogła podwoić ale nawet w czwórnasób się powiększyć, a materjału w ludziach na nią nie zabraknie. Nasuwa się więc groźne pytanie, czy podaż naszego robotnika nie stanie się na rynku Europy większa od popytu?

Że położenie takie byłoby dla nas fatalne, nie ulega wątpliwości. Nie tylko obniżyłyby się zarobki obieżysasów, nie tylko obchodzenie się z niemi pracodawców uległoby znacznej zmianie na gorsze, ale wogóle zaczęliby oni być naprawdę szykanowani przez władze krajów, przyjmujących ich, zaczęliby być segregowani na »pożądaných« i »niepożądaných«, ci ostatni bez pardonu odsyłani byłiby do kraju swego z powrotem i t. p. Słowem straciłby robotnik tę jedyną, ale ogromnie ważną prerogatywę, że jest on potrzebny. Stałby się już zupełnym parjasem, wyzutym jako obcokrajowiec ze wszelkich praw, a tolerowanym tylko jako niewolnik kapitału niemieckiego lub francuskiego. Ochroniać go jednak i oszczędzać kapitał ten nie miałby wcale potrzeby, boć na miejsce jednego robotnika czekałoby dziesiątki innych. Ułożyłaby się więc pewna wypadkowa warunków pracy dla obieżysasa, zależna z jednej strony od wielkości popytu na robotnika, z drugiej od podaży tegoż. Biorąc nawet pod uwagę deprymujące działanie złych warunków pracy na podaż robotnika, a więc niemożność doprowadzenia ich pod tym względem do stanu już nazbyt niskiego, i tak przecież cała sytuacja byłaby niezmiernie dla nas groźna. Przyjrzyjmy się więc, jak przedstawia się pojemność Europy względem naszego robotnika, wogóle jakie może on tam mieć widoki na przyszłość.

Zwróćmy się przedewszystkim do Niemiec, do tego kraju, który w obecnej dobie jest niemal jedynym rezerwuarem naszego ruchu obieżysaskiego. Jakem mówił, rozwój przemysłu odciąga w Niemczech coraz więcej rąk roboczych od roli. Z drugiej strony ludność wzrasta w tym kraju bardzo szybko, przyrost naturalny wynosi bowiem 14—15⁰/₀₀ rocznie. Wobec tego należałoby może przypuszczać, że z czasem, gdy przemysł nie będzie już mógł pochłaniać przyrostu ludności, obserwowac będzie można zjawisko wręcz odwrotne: emigrację z miast na wieś. Zdaje się jednak, tego obawiać się niema potrzeby, ponieważ doświadczenie choćby Anglii uczy, że miejska ludność robotnicza, nie mając nawet zatrudnienia przez czas dłuższy, nie wraca przecież na wieś, wybierając w ostateczności zamiast tego emigrację. Wszystko każe przypuszczać, że podobne zjawisko wystąpi i w Niemczech, skoro przemysł nie będzie mógł już zatrudnić wszystkich zgłaszających się doń rąk roboczych. Zapewne znowu wzmoże się wtedy ruch emigracyjny do Ameryki lub Afryki, jednak wzrostu liczby robotnika rolnego w żadnym razie spodziewać się nie można¹⁾.

Rolnictwo niemieckie rozwija się w obecnej dobie coraz bardziej przy współudziale obcokrajowego robotnika sezonowego. Oprócz Polaków i Rusinów dwory niemieckie sprowadzają na zachodzie Flandrów i Luksemburczyków, na południu Włochów, a razem z obieżysasami naszymi także Słowaków. Ile naogół robotnika dostarczają rolnictwu niemieckiemu tamte narodowości,

¹⁾ Może nie bez znaczenia jest fakt, że okres 1½ roczny od końca r. 1905 do połowy 1907 — dał w Niemczech przyrost w stosunku rocznym już tylko 11.51⁰/₀₀, zamiast 14.46⁰/₀₀ i 15⁰/₀₀ — poprzednich pięcioleci (patrz Stat. Jahrb.).

trudno określić. W każdym razie, sądząc z tego, jakie rejony obejmują one, oraz z cyfr ogólnej emigracji tych narodów (zwłaszcza Belgów i Włochów), można przypuścić, że razem stanowią oni nie więcej nad połowę wychodźstwa naszego (Galicji i Królestwa). Mamy więc w nich konkurentów na niemieckim rynku pracy znowu nie tak groźnych, zwłaszcza, że nasze położenie geograficzne jest znacznie korzystniejsze, niż tamtych narodów. Chodzi o to, że robotnika sezonowego zatrudnia przeważnie większa posiadłość ziemska, chłopci zaś korzystają z ich pracy narazie przynajmniej w stopniu nieznacznym; z drugiej strony większa własność rozmieściła się w głównej mierze na wschodzie Niemiec, w siedmiu wschodnich prowincjach Prus, gdzie zajmuje ona 42% powierzchni rolniczej (bez lasów)¹⁾, podczas gdy w innych państwach rzeszy niemieckiej, a także w prowincjach zachodnich Prus stanowi zaledwie kilka do kilkunastu procent, np. w Królestwie Saskim 14.07%, w Alzacji i Lotaryngji 7.3%, w Bawarii — 2.57%, a w całych Niemczech 24.08%²⁾. Przy bardzo nawet ogólnym rachunku, można przecież przyjąć, iż we wspomnianych 7 prowincjach Prus, mianowicie na Śląsku, w Poznańskim, Prusach wschodnich i zachodnich, w Brandenburgji, w prowincji Saskiej i na Pomorzu, konkurencja robotnika ani włoskiego ani flamandzkiego dla obieżysasów naszych groźną nigdy nie będzie. Być może, iż robotnik flamandzki mógłby wypierać naszych chłopów, gdyby chodziło o pracę wymagającą znacznej siły fizycznej,

¹⁾ Buchenberger: Agrarvesen u. Agrarpolitik B. I — cyfra dla r. 1882.

²⁾ Statistik des Deutschen Reichs. Die Landwirtschaft. B. 112 — cyfry dla r. 1895.

jednak naogół praca obieżysasów, więcej może potrzebuje zręczności i wytrwałości, niż siły, a pod tym względem nasi robotnicy nawet flamandzkim nie ustępują. Z drugiej strony Flandrzy są o wiele więcej krnąbrni i wogóle skorzy do wszelkiego rodzaju awantur, niż nasi chłopci. Zresztą prowincje wspomniane przyzwyczały się już do chłopca naszego, a więc i ogładać się za innym robotnikiem nie będą.

Ilu więc obieżysasów mogłyby prowincje owe zatrudnić? Własność większa (powyżej 100 ha) obejmuje w nich 6.120.000 ha¹⁾ przestrzeni rolniczej (w całych Niemczech 7.800.000). Są to gospodarstwa intensywne, zużywające w miarę wzrastającej podaży coraz więcej rąk roboczych. Jaką ilość robotnika należy tam rachować na 100 ha, powiedzieć nie mogę, nie posiadam bowiem danych odpowiednich. Bez wielkiego jednak błędu można przypuścić, że latem muszą one mieć około 36 robotników na 100 ha (szablonowa cyfra robocizny zużywanej przez gospodarstwa intensywne płodozmienne). Gospodarstwo, posługujące się robotnikiem sezonowym, odrazu zwykle już stara się mieć tego robotnika w ilości równej mniej więcej połowie robotnika miejscowego, tak że obieżysasi stanowią $\frac{1}{3}$ część zatrudnionych przez gospodarstwo rąk roboczych. Liczba ich stopniowo może się podnosić i wyżej dochodząc z łatwością do $\frac{1}{2}$ nawet. Wynikałoby z tego, że obieżysasów naszych mogłoby pracować na 100 ha od 12 do 18, czyli na całej przestrzeni większej własności tych prowincji (6 milionów ha) od 720.000 do 1.080.000. Czyli, że same te prowincje mogłyby zatrudnić dwa razy więcej obieżysasów, niż ich obecnie wogóle od nas wychodzi. Reszta prowincji i państw

1) Buchenberger: »A. u. A.«

rzeszy niemieckiej całkiem odpowiednim terenem dla naszego robotnika już nie jest. Pomijając nawet konkurencję Belgów i Włochów, trzeba przecież powiedzieć, że właściwym miejscem zatrudnienia dla obywatela są tylko dwory, których w tamtych prowincjach niemal brak zupełnie. Robotnicy nasi trzymają się zwykle partjami. Jeżeli wyjedzie z której wsi grupa choćby nawet z kilkudziesięciu ludzi złożona, już trudno przydzielić ją do dwóch np. miejscowości, ponieważ tylko bardzo niechętnie rozłączają się oni. Przy pracy jednak w mniejszych gospodarstwach, gdzie trzeba byłoby ich porozbijać na grupki po kilka osób, albo i zgoła pojedynczo kazać im pracować, nie można byłoby już temu żądaniu w żaden sposób zadość uczynić. Mimo to oczywiście pewien procent wychodźstwa naszego znajdzie zatrudnienie poza wymienionymi prowincjami, a więc w Królestwie Saskim, Saksen-Weimarze, w Meklenburgu i t. p., gdzie dwory istnieją przecież. Także część tegoż skieruje się do gospodarstw wielko-chłopskich. Pojemność przeto Niemiec na naszego robotnika trzeba byłoby zwiększyć może o 20 a nawet więcej procent. Z drugiej jednak strony nie można liczyć, aby cała własność większa wschodnich prowincji Prus mogła się niemi posługiwać; pewna ilość gospodarstw odpaść musi dla nich, czy to wskutek specjalnych warunków robocizny na miejscu, czy też z powodu np. systemu gospodarczego, nie wymagającego robocizny sezonowej i t. p. Można więc bez wielkiego grzechu przyjąć, że te dwa czynniki są sobie równe, a więc nawzajem się znoszą. W ten sposób musielibyśmy dojść do przekonania, iż Niemcy, jako rezerwar na robotnika rolnego, mogłyby zatrudnić od 700.000 do miliona robotnika ze wschodu.

Co się tyczy zatrudnienia w innych branżach, jak

w przemyśle, górnictwie i t. p. to, jak doświadczenie uczy, nie ma co liczyć, aby pewna znaczniejsza ilość naszego ludu znalazła pracę na tym polu w Niemczech. Wogóle Niemcy potrzebują robotnika rolnego i jako takiego tylko obieżyśasa tolerują. Gdy chce on pracować w innych zawodach, wnet zjawia się cały szereg przepisów lub szykan, albo nawet bezpośredni zakaz pracy.

Emigracja nasza kieruje się od pewnego czasu i do niektórych innych krajów Europy poza Niemcami. Powiaty, graniczące z Węgrami, wysyłają co roku tam pewną ilość robotnika, prócz tego, jak mówiłem, rozwija się stopniowo emigracja na Śląsk austr., Morawy i do Czech, a w końcu od dłuższego czasu dość znaczne zastępy ludu naszego podążają do krajów skandynawskich i częściowo do Szwajcarji. Trudno jest przewidzieć, do jak wielkich rozmiarów dojdzie w nich immigracja nasza. W każdym razie bardzo łatwo skonstatować, że nigdy kraje te tak wielkim rezerwoarem na robotnika naszego, jak Niemcy, nie będą. Węgry dużo robotnika pochłonąć nie mogą, same bowiem cierpią na przeludnienie. Stosunkowo więcej może umieścić by się dało w krajach czeskich, a także w Austrii dolnej, w każdym razie o ścisłym obrachunku mowy być nie może¹⁾. Należy jednak przypuścić, że z powodu tej samej przynależności państwowej, kraje te skutecznie od inwazji nawet nadmiaru robotnika naszego bronić się nie potrafią, wszystkie też gałęzie produkcji są tu dla naszego emigranta otwarte. Jedyłą tarczą tych krajów, to niższe ceny robocizny, niż w innych państwach

¹⁾ Dr. Caro podaje dla Czech 60—70 tysięcy, jako cyfrę mogącego tam znaleźć umieszczenie robotnika obcokrajowego. (Ausw. u. Auswanderungspol. str. 166).

Europy zachodniej. Kraje skandynawskie, zatrudniające już kilkanaście tysięcy Polaków, mogą oczywiście z czasem zrobić miejsce i dla ilości znacznie większej, czy jednak społeczeństwo tameczne, a zwłaszcza klasa robotnicza, nie uzna naszej migracji za szkodliwą i czy nie zechce ograniczyć jej, trudno coś o tym powiedzieć. W każdym razie kraje te dotychczas same sobie wystarczały, wzmożona więc migracja nasza niechybnie wywoła tam zwiększoną emigrację zamorską ludności rdzennej. Być może więc, że chcąc uchronić się od tego, narody te albo zamkną przed nami granice swoje, albo ograniczą ilość naszych migrantów. W Szwajcarii miejsca dużoby było, gdyby nie formalny zalew tego kraju przez Włochów. Wytrzymać z nimi konkurencję trudno nam będzie, niema więc też potrzeby brać kraiku tego pod uwagę przy obrachunku naszym.

W r. 1908 udała się pierwsza partja robotników naszych także do Francji. Było ich razem około 800. Myśl więc zdobycia Francji dla naszego ruchu emigracyjnego stała się rzeczywistością. Ta pierwsza jednak próba powiodła się niezbyt szczęśliwie, gdyż zrobioną została zbyt pośpiesznie, bez zbadania terenu i należytego przygotowania. Robotnicy nasi zostali rozdzieleni małemi grupkami w fermach w Lotaryngji przeważnie w okolicach Nancy. Kontrakty zawarto z nimi, jak w Prusach, bardzo ściśle, zapewniając im całe utrzymanie i przeważnie 400 franków pensji rocznej. W kontraktach tych była mowa i o warunkach pracy, o ilości godzin i t. p. Pierwsze jednak rozczarowanie naszych ludzi było, gdy musieli po dwóch lub trzech, albo i po jednym rozjechać się po fermach. Odrazu powstały narzekania, że im się »cni« tak po osobno pracować, że nie mają do kogo słowa przemówić. Jeszcze gorzej jednak było, gdy się przekonano,

że Francuzi, wcale nie zważając na warunki kontraktu, każą wstawać zbyt wcześnie do koni, obsługiwać zwierzęta domowe i w święta i t. p. Fermerzy francuscy tłumaczyli się, iż najęli Polaków na parobków, a więc żądają zwyczajnej pracy parobka, takiej jaka jest tam wszędzie we zwyczaju, a o warunkach kontraktu nie chcą i słyszeć, bo to przecież tylko formalność. Skończyło się na tym, że wielu z obieżysasów porzuciło swych pierwszych pracodawców, przenosząc się do innych, wymawiając już tam sobie owe warunki kontraktu ustnie; niektórzy nawet pouciekali do Niemiec. Ostatecznie wszyscy niemal zdobyli przez to podwyżkę pensji i polepszenie warunków pracy, w każdym jednak razie niezadowolenie z powodu rozgraniczenia ludzi od siebie nie znikło. Mimo to wszystko trzeba przyznać kierownikowi tego pierwszego ruchu, posłowi Skołyshewskiemu, iż wytknął dla emigracji nową drogę, która być może okaże się lepszą od dotychczasowych jej torów, zwłaszcza, gdy kierownictwo jej spocznie w pewniejszych rękach.

Obecnie sprawę zdobycia Francji dla naszego ruchu emigracyjnego wzięło w ręce swoje Towarzystwo Emigracyjne. Nawiązało już ono liczne stosunki z różnemi osobami i instytucjami we Francji, ma też swoje agencje w Nancy i w Paryżu. Wysyła ono w roku bieżącym (1909) robotników naszych do robót polnych, a partja ze 108 górników pojechała także do kopalni w Tuquegnieux. Prace te można uważać na razie tylko za zdobywanie i poznawanie terenu, przekonywanie opinji rolników francuskich do robotnika naszego. Dopiero gdy się to zrobi, można liczyć na rozszerzenie znaczne naszej emigracji do Francji.

O Francji, jako terenie dla naszej emigracji zarobkowej powiedzieć mogę tylko, że rolnictwo tamtejsze

potrzebuje robotnika bardzo wiele. Już obecnie immi-gruje tam co roku około 60.000 Belgów, którzy prze-ważnie tylko do robót polnych się godzą, pracując nie tylko w departamentach północnych, ale przejeżdżając i na tamtą stronę Sekwany do Normandji, Beauce i t. p. W całym tym pasie rozmieściły się gospodarstwa więk-sze Francji, przeważnie kilkudziesięcio i nieliczne kil-kusethektarowe. Mogłyby one dać zatrudnienie i robot-nikowi naszemu, jednak musiałby on wytrzymać kon-kurencję z mało wymagającym, a niezmiernie praco-witym Flandrem. Inne departamenty Francji, mogłyby zatrudnić dużo naszych emigrantów, gdybyśmy zdecy-dowali się na system wypróbowany w Lotaryngji, t. j. posyłanie tych ludzi po paru do ferm poszczególnych na parobków.

Co się tyczy innych robót, to w pierwszym rzę-dzie trzeba zaznaczyć, że robotnik francuski ma już bardzo wysokie wymagania co do wynagrodzenia i ja-kości pracy. Wobec tego bez protestu nawet ze strony miejscowych organizacji robotniczych można byłoby zdobyć dosyć łatwo warsztaty pracy uciążliwszej i go-rzej płatnej. Przemysł we Francji rozwija się dosyć pomyślnie, zabierając stopniowo coraz więcej rąk ro-boczych, przyrostu zaś ludności niema prawie zupełnie. Wytwarza się więc położenie, w którym napływ ro-botnika obcokrajowego może być bodźcem do silniej-szego rozwoju pewnych gałęzi przemysłu, może więc ten robotnik sam sobie wytwarzać zbyt na pracę swoją. Z tego względu już a priori można przypuścić, że myśl skierowania części naszego wychodźstwa do Francji uwieńczy się zapewne powodzeniem zupełnym, trzeba tylko najpierw przekonać do robotnika naszego ferme-rów francuskich, co nie jest znowu rzeczą zbyt łatwą ze

względu na nader niską inteligencję tej warstwy społeczeństwa francuskiego.

Całkiem nowym, niemal nieruszonym jeszcze terenem emigracji naszej jest z krajów europejskich Anglja. Wprawdzie od dłuższego czasu emigrują tam nawet w znacznych ilościach żydzi (przenosząc się stamtąd dalej do Ameryki), ale chłop nasz jeszcze do Anglji nie dotarł wcale. Anglja, jak wiadomo, jest krajem czysto przemysłowym, zatrudniającym olbrzymie rzesze robotnika we wszelkich gałęziach przemysłu. Mimo to wcale pokaźny zastęp ludu roboczego znajduje się tam bez pracy na bruku. Emigracja Anglji jest z tego powodu stale jeszcze dosyć silna i wcale tendencji obniżenia się nie wykazuje. Z drugiej strony rolnictwo cierpi z dawna na wielki brak robotnika. Dosyć powszechne jest mniemanie, że rolnictwo angielskie przeszło obecnie do wzmożonej uprawy roślin pastewnych i wogóle do hodowli tylko pod wpływem konkurencji zboża zamorskiego. Bezwarunkowo, iż był to główny bodziec tej zmiany systemu gospodarczego, a jednak mimo to Anglja, gdyby miała dostateczną ilość rąk roboczych na roli, niewątpliwie rozwinęłaby obok hodowli w znacznym stopniu uprawę owoców i wszelkiego rodzaju warzyw, na które ma zbyt doskonały na miejscu. Już i w obecnych warunkach warzywnictwo robi postępy bardzo znaczne, zwłaszcza u mniejszej własności. Rozwinęłoby się ono i w większych fermach, gdyby nie brakło robotnika.

Anglja, jak cyfry nasze na str. 9 wykazują, posiada bardzo niewiele tylko gospodarstw drobnych. Przeważają fermy od 100 do 300 akrów (40--120 ha), któreby z wielkim powodzeniem mogły się zajmować uprawą warzyw. Zajmują one razem 42.59% powierzchni rolniczej kraju (około 5¹/₂ miliona ha). Fermy

większe od 300 akrów, też znaczny procent ziemi zabrały, ich bowiem powierzchnia wynosi z górą $3\frac{1}{2}$ miliona ha, a dokładnie 27.37% powierzchni. Razem więc fermy powyżej 100 akrów obejmują aż 69.96% powierzchni rolniczej kraju.

Pomimo tak znacznego obszaru większych przedsiębiorstw rolniczych, ilość robotnika nie tylko jest bardzo mała, ale spada z roku na rok. I tak, kiedy w r. 1881 w Anglii liczono robotników rolnych i »owczarzy« razem 1.017.070, to w roku 1891 było już ich 898.000, a w roku 1901 — 724.000. W tym samym czasie ilość samodzielnych fermerów również spadła o blisko 1400 osób¹⁾. Że więc już bezpośrednio zapotrzebowanie robotnika rolnego jest w tym kraju ogromne, że w miarę rozwoju kultury ogrodniczej mogłoby ono jeszcze wzrastać, to, choćby tylko z tych cyfr sądząc, nie ulega żadnej wątpliwości. O ileby więc zupełnie niemożliwym było umieszczenie naszych emigrantów w przemyśle w Anglii, zwłaszcza wobec potężnych trades unionów, o tyle zatrudnienie na roli mogliby oni przy porozumieniu się uprzednim z rządem angielskim bez wszelkich przeszkód uzyskać. Przypuszczam, iż wobec tego Anglja mogłaby być nawet lepszym terenem dla naszej emigracji zarobkowej, niż Francja. Wprawdzie w ostatnich czasach pod wpływem nazbyt wzmożonej imigracji Żydów zajął parlament angielski wobec ruchu tego stanowisko odporne, wydając w r. 1906 specjalną ustawę imigracyjną, mimo to przecież przy odpowiedniej organizacji naszego ruchu wychodźczego, możnaby wyrobić nawet znaczne ulgi dla robotników rolnych przy wstępowaniu ich na terytorjum angielskie.

¹⁾ Gościcki: Rolnictwo, polityka agrarna i samorząd w Anglii. Ekonomista r. 1908 t. I.

Jest jeszcze pewien wzgląd, któryby ułatwił ewentualnie zatrudnienie naszego emigranta na fermach angielskich. Jedną z większych bolączek stosunków robotniczych rolnych wielu okolic Anglii, jest brak odpowiednich mieszkań na fermach dla służby. Fermy te są w większości wypadków dzierżawione od latyfundiów. Ani więc sam fermer ani lord właściciel bynajmniej nie są skłonni do budowania kosztownych budynków na mieszkania dla wielce pod tym względem wymagającego robotnika angielskiego. Kończy się więc sprawa na tym, że robotnik mieszka w sąsiednim miasteczku, a na robotę przychodzi codziennie do fermy. Dla naszego robotnika możnaby było na wzór pruski pobudować koszary specjalne z oddzielnymi izbami dla rodzin, albo też na mniejszych fermach budynki w rodzaju naszych czworaków. W ten sposób tanim kosztem kwestja mieszkań zostałaby tam rozwiązana.

Oczywiście, że bez uprzedniego i to bardzo szczegółowego omówienia tej kwestji z odpowiednią instytucją w Anglii, np. z Królewskim Towarzystwem rolniczym, nie można byłoby nawet zaczynać wysyłania tam emigrantów. O ile do Francji dało się przecież od biedy puścić naszych emigrantów na chybił trafił, o tyle w Anglii sprawa ta musiałaby być poprzednio uplanowana. Trzeba pracodawcom angielskim wytłumaczyć, jakie są wymagania naszego robotnika, czego od niego można żądać i t. p. W Anglii na wsi zwykle płaci się robotnikowi tylko gotówką, nie dając zupełnie żadnych naturaljów. Naszemu zaś robotnikom pracodawcy tameczni musieliby zdecydować się dawać oprócz mieszkania, taką jeszcze ordynarję, aby mógł on wyżywić się z niej, nic nie dokupując.

Akcja porozumienia się z Anglią mogłaby być podjętą w obecnym czasie chyba tylko przez Polskie To-

warzystwo Emigracyjne, jako instytucję z jednej strony społeczno-kulturalną a z drugiej nie pozbawioną pewnej strony kupieckiej, a więc i rzutkości kupieckiej.

Samo się przez się rozumie, że napływ robotnika naszego do ferm angielskich wywołałby jeszcze znaczniejszą depopulację wsi tego kraju, niż dotychczas. Z drugiej strony, jak wiadomo, od pewnego czasu Anglja stara się o powstrzymanie tego ruchu, o skierowanie napowrót ludności na rolę. Czy wobec tego dopuściłby parlament angielski robotnika naszego do ferm tych? — Przypuszczam, że trudności nie robiłby względem tego żadnych: parlament angielski uchwałił bille o kolonizacji wsi na drobne fermy nie tylko w celu uzdrawiania stosunków ludnościowych, lecz także i to w większym jeszcze stopniu w obawie zbytniego obniżenia się produkcji rolnej kraju, co mogłoby nieraz pociągać następstwa nader groźne. O powstrzymaniu zaś robotnika na większych fermach w billach tych nawet mowy nie ma. Jeżeli więc skierujemy robotnika naszego na większe fermy, toć pójdziemy jeszcze przez to na rękę tendencjom parlamentu — przez podniesienie produktywności tych ferm, zaś ruchowi kolonizacji wewnętrznej ani trochę w drogę nie wejdziemy. Słowem, pomimo naszej immigracji, polityka rozdrabniania posiadłości na gospodarstwa małe, bynajmniej w Anglji nie ucierpi. Wobec tego nie ma, zdaje się, obawy, aby władze angielskie zechciały zająć po zrozumieniu rzeczy wrogie wobec robotnika naszego stanowisko.

Oczywiście, że wychodźtwa do Anglji, jak również i do Francji, musiałyby już nosić nieco odmienny charakter, niż wędrownka na sezon robót letnich do Niemiec. Za daleko już te kraje leżą, aby opłacało się jechać tam do roboty na kilka miesięcy. Zresztą już

w Danji zaczyna stopniowo utrwać się zwyczaj gó-dzenia naszych robotników na lat parę. To musiałyby być regułą dla Anglii i Francji, o ileby i tu o pracę na roli chodziło. Wogóle więc robotnicy nasi musieliby zdecydować się na wyjeżdżanie na lat kilka ze wsi rodzinnej. Zmieniłyby to niewątpliwie i skład co do wieku wychodźstwa: nie mogłyby już tak gromadnie jechać tam młodzież, a podrostki do lat 17—18 zupełnie niemal wykluczeni by być musieli. Natomiast znacznie więcej można byłoby wysyłać rodzin całych, zwłaszcza małżeństw młodych. Emigrantom naszym naogół takie postawienie rzeczy byłoby bardzo na rękę, ponieważ narzekają oni nieraz na to, że w Niemczech, pracując sezonowo, nie mogą dojść do większych oszczędności, gdyż to, co latem zarabiają, rozchodzi się w zimie na różne wydatki.

Reasumując to wszystko, com o widokach w różnych krajach Europy dla emigracji naszej mówił, trzeba podkreślić, że główną atrakcją tego ruchu są i pozostaną na przyszłość Niemcy. Dużo robotnika dałoby się pomieścić we Francji, a jeszcze więcej może w Anglii, w każdym jednak razie są to już tereny dla robotnika nieco starszego, a więc nie tak u nas liczne. Państwa skandynawskie, a także kraje korony austriackiej pewną ilość obieżysastwa zająć potrafią.

Widzimy więc, iż z jednej strony warunki wewnętrzne Galicji i Królestwa wypychać będą coraz większe ilości robotnika z kraju, z drugiej — robotnik ten będzie miał olbrzymi teren pracy w państwach Europy Zachodniej. Obawiać się więc, aby podaż rąk roboczych ludu naszego większa była od popytu na nie, zdaje się, nie ma potrzeby, chociaż zupełnie pewnym

tego być nie można, już choćby ze względu na możliwą konkurencję Słowaków, Kroatów, Słoweńców i Węgrów, które to narody w ogólnym ruchu wychodzącym znaczny udział biorą. Tak czy owak z tego punktu widzenia zdobywanie nowych terenów dla emigracji zawsze wskazanym będzie.

Odlóżmy jednak na razie to rozważanie ogólnego znaczenia wychodźstwa, a przejdźmy do drugiej części tego ruchu — do wychodźstwa zarobkowego zamorskiego.

Nasze zarobkowe wychodźstwo zamorskie kieruje się przeważnie do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej. O wiele mniej emigrantów jedzie do Kanady, a już zupełnie nieznaczna ilość z nich szuka pracy w Ameryce południowej i w innych częściach świata. Dane statystyczne, dotyczące się tej emigracji, są nam o wiele dokładniej znane, niż odpowiednie cyfry emigracji sezonowej. Główna zasługa przypada tutaj Dr. Caro, który bardzo sumiennie zestawił je w pracy swej »Statystyka emigracji polskiej i austro-węgierskiej do Stan. Zjedn. Am. pn.« (Kraków 1907) i w większym dziele »Auswanderung und Auswanderungspolitik in Oesterreich«, Lipsk 1909.

Oto niektóre cyfry z prac jego zaczerpnięte:

Emigrowało do St. Zjed.¹⁾

Rok	Polaków z zaboru austrij.	Polaków wogóle	Rusinów austrij.
1900/01	20.288	43.607	5.276
1901/02	34.082	71.274	7.533
1902/03	37.499	82.299	9.819
1903/04	30.243	67.721	9.415

¹⁾ Dr. Caro: »A. u. A.« str. 16.

Rok	Polaków z za- boru austrj.	Polaków wo- góle	Rusinów austrj.
1904/05	50.785	102.437	14.473
1905/06	43.803	94.115	15.689
1906/07	59.719	136.729	23.910
1907/08	26.423	66,690	12.100

Widzimy więc, jak szybko wzrasta liczba emigrantów polskich z roku na rok. Wogóle są to przeważnie rolnicy, którzy jadą do Ameryki na robotę, aby wrócićszy z zaoszczędzonym groszem, kupić sobie kawał gruntu i osiąść na własnym gospodarstwie. Wprawdzie znaczna ich część zostaje tam, za morzem na stałe w każdym jednak razie mało który wyjeżdża już z tym postanowieniem. Część emigracji do St. Zjednoczonych jest jednak osadniczą, a jeszcze więcej tych osadników jedzie do Kanady, przeważnie Rusinów. W tym rozdziale będę mówił tylko o robotniku, wyjeżdżającym na zarobek.

Emigracja nasza wzrastała dosyć równomiernie aż do słynnego przesilenia przemysłowego z lat 1907 i 1908. Przesilenie to, wyrzucając na bruk z górą połowę robotników w Ameryce, wypchnęło też z tego kraju napowrót do Galicji dziesiątki tysięcy ludu naszego. W tym czasie wzmogła się ogromnie emigracja ze Stanów Zjednoczonych, a imigracja opadła do granic dawno nie pamiętanych. I tak w maju r. 1906 przybyło do St. Zj. 150.927 osób, w maju 1907 — 184.866, w maju 1908 — 36.317. Od 1. grudnia r. 1907 do 1 czerwca r. 1908 przyjechało do Stanów Zj. — 227.283 imigrantów; za te same zaś miesiące w latach poprzednich 674.584 i 616.508¹⁾.

¹⁾ Cyfry z »Polskiego Przeglądu Emigracyjnego«.

Emigracja polska wszystkich trzech dzielnic wykazywała podział taki (podług Dr. Cara) dla r. 1906/07 mężczyzn 100.700, kobiet 37.333 (28^o/_o), w tym dzieci poniżej lat 14 — 9.602 (6^o/_o).

Emigrują do Ameryki przeważnie ludzie młodzi i częściowo tylko w sile wieku, nieżonaci lub żonaci, przyczym mężczyźni mają znaczną przewagę nad kobietami. Dzieci i ludzie starsi przyjeżdżają w tym wypadku, gdy emigrant nasz postanawia zostać już na stałe w swej nowej ojczyźnie, sprowadza więc całą rodzinę.

Że Stany Zjednoczone mogą być ogromną atrakcją dla pracowitego a nieprawdopodobnie mało na siebie wydającego chłopca naszego, o tym przekona każdego jeden tylko rzut oka na ceny, płacone robotnikom w Ameryce. Np. podług cennika związków robotniczych amerykańskich¹⁾ zwyczajny wyrobnik w fabryce zarabia od 1 do 3 dolarów dziennie (dolar — 4 k. 96 hal.). Za roboty wymagające pewnej umiejętności płaca już jest wyższa. Za zajęcia wyjątkowo trudne i szkodliwe dla zdrowia — w lejarniach żelaza, w walcowniach i t. p. płaca ta dochodzi nieraz do 20 dolarów dziennie (100 koron), minimalnie zaś wynosi 6 dolarów. Mularze zarabiają po 5 dol. 20 centów, pomocnicy mularscy 2 do 5 dol. Wszelcy rzemieślnicy mają zarobki nieraz jeszcze wyższe. Oczywiście cyfry te zapewne należy rozumieć w ten sposób, że przeciętny zarobek mało odchyła się od liczb minimalnych, podczas gdy pozycje maksymalne trafiają się sporadycznie — np. na zachodzie. To też ankieta specjalna, przez władze rządowe sporządzona, dała, o ile sobie przypominam, cyfrę wogóle przeciętnego zarobku dla mężczyzn 11 dolarów na tydzień.

¹⁾ »Polski Przegląd Emigracyjny«.

Życie w Ameryce jest stosunkowo tanie, wobec czego emigrant nasz z łatwością uzbierałby mógł ogromne pieniądze, gdyby nie ciągłe przerwy w robocie, strejki i t. p. W każdym razie pomimo to, oszczędności są bardzo znaczne, tak że można rachować, iż obrotniejszy i zapobiegliwszy chłop zaoszczędzi rocznie do 2000 koron, a nieraz i znacznie więcej. Znam wypadki, że po sześciu latach pobytu w Ameryce, przywoził emigrant 24.000 koron, albo, że rzemieślnik w ciągu 5 lat uzbierał 7000 dolarów. Są to cyfry już wyjątkowe, w każdym jednak razie mogą one świadczyć, co niektórym ludziom Ameryka dać może, są więc ogromną atrakcją dla całej rzeszy innych.

Ile wynoszą rocznie oszczędności, przysyłane lub przywożone przez tych emigrantów do Galicji, nie podejmuję się wcale obliczać. Przyjęto jest podawać, że rocznie pocztą i przez banki przychodzi do Galicji i Królestwa z górą 100.000.000 koron. Chcąc jednak określić rzeczywistą wysokość wpływających do kraju oszczędności, należałoby także obliczyć, ile emigranci przywożą ze sobą, wracając do kraju, a także ile przesyłają w listach zwyczajnych. Przypuszczam, że suma tych dwóch pozycji wyniosłaby może nawet nie mniej, niż drugie 100.000.000 koron. W każdym razie poza dowolnym przypuszczeniem, nic tutaj konkretnego powiedzieć nie można.

O ile do Prus wyjeżdżają robotnicy nasi przeważnie z poprzednio już zawartemi kontraktami, albo mając na widoku jakieś gospodarstwo im znane, gdzie pracę znajdują, o tyle do Stanów Zjednoczonych bez wyjątku niemal wszyscy jadą na koszt własny bez żadnej upatrzonej z góry roboty. O kontraktach niema tutaj i mowy, ponieważ prawo immigracyjne Stanów Zjednoczonych zabrania wstępu na terytorjum tego

państwa osobom, które takie kontrakty zawarły. Większość emigrantów z Galicji jedzie przez porty niemieckie Bremie i Hamburg na statkach dwu największych firm transportowych — Norddeutscher Lloyd w Bremie i Hamburg-Amerikanische Paketschiffarts-Actiengesellschaft w Hamburgu. Już znacznie mniej jedzie na Rotterdam i Havre, a w ostatnich czasach rozwinął się ruch na Tryest. Ten ostatni port jest oczywiście znacznie mniej dogodny, niż Brema lub Hamburg albo który inny z portów zachodnich: z Tryestu podróż trwa dłużej, jest więc uciążliwsza, a zdaniem wychodźców i niebezpieczniejsza — twierdzą oni: »po co kusić Pana Boga długą jazdą«; wołają więc porty Zachodu Europy.

Zasługę skoncentrowania ruchu tego w Bremie i Hamburgu ponosi w zupełności rząd niemiecki. Emigranta naszego otacza się w Prusach odrazu całym szeregiem przepisów, rzekomo chroniących go od wszelkiego rodzaju przykrych niespodzianek w drodze, iż formalnie nie daje się mu możliwości przejechania przez Niemcy np. do Rotterdamu. Przepisy te żądają od wychodźcy galicyjskiego lub też rosyjskiego, aby wykazał posiadanie karty okrętowej któregośkolwiek z towarzystw niemieckich, aby miał bilet kolejowy do jednego z portów niemieckich i t. p. Jeżeli emigrant tego nie posiada, odstawiają go szupasem do granicy. W ten sposób niezaradny, nie znający języka niemieckiego chłop nasz musi chcąc niechcąc wybrać drogę na port niemiecki.

W kartę okrętową zaopatrują się chłopci nasi zwykle przez nielegalnie działających agentów pokątnych. Agent taki pobiera zazwyczaj zaliczkę, która jest zarazem jego prowizją. Część emigrantów otrzymuje karty od swych krewnych lub znajomych z Ameryki, a przybywszy tam na miejsce spłaca im stonpiowo dług.

Zarobki towarzystw transportowych są bardzo znaczne. Pochodzi to w głównej mierze z tego, iż połączone są one w kartel, t. zw. Pool, do którego też zmuszone było wstąpić i towarzystwo Austro-Amerykana z Tryestu. Dr. Benis¹⁾ podaje, iż zarabiają one 30—35% pobranej opłaty przewozowej. Prócz tego agenci mają także znaczny zarobek, np. pokątni agenci biorą od głowy po 10 do 15 koron prowizji. Zdaniem Dra Benisa towarzystwa te zarabiają na Galicji rocznie 6—7 milionów marek.

Wogóle przewóz emigrantów naszych jest wielką bolączką, którą tym trudniej uregulować, iż nie da się skierować całego ruchu na porty Austrjackie — na Tryest, nie można więc ustawowo unormować tej kwestji, jak to uczyniły naprzykład Włochy, mające porty własne.

Nasuwa się teraz pytanie, ile też emigrantów wraca do kraju, a ile pozostaje w Ameryce. Sądząc z tego, co się słyszy po wsiach naszych — »ten pojechał i wrócił, tamten pojechał, ale napewno wróci, bo przysyła żonie pieniądze na spłacenie gruntu« i t. p., należałoby przypuścić, że znacznie większy procent wraca, niż pozostaje. Dzieje się jednak wręcz przeciwnie — okazuje się, że przy najbardziej nawet optymistycznym rachunku powraca najwyżej 33% wychodźstwa²⁾. Ścisłych cyfr niestety nie ma, w każdym razie, jak to z danych Dra Cara wynika, cyfra ta 33% — jest, być może, znacznie wyższą od rzeczywistej.

Emigracja więc nasza, płynąc już niemal wezbraną falą do Ameryki i pozostawiając tam większość wychodźców na stałe, wytworzyła stopniowo bardzo liczne

¹⁾ Dr. Benis: Emigracja.

²⁾ Dr. Caro: »Statystyka emigracji polskiej i austro-węg. do Stanów Zjednoczonych«.

społeczeństwo polskie na tym nowym terenie. Przed kilku laty ks. Wacław Kruszka w swojej »Historji Polski w Ameryce« obliczał ilość Polaków w Stanach Zjednoczonych na 2.200.000 osób. Obliczenie to oparł on na wykazach parafialnych, nie objął więc Polaków innych wyznań. »Prasa Polska« w Milwaukee podała już dla 1-go lipca r. 1907 cyfrę z górą 3 milionów, a w grudniu r. 1908 obliczają na blisko 4 miliony. Te dwie cyfry są oczywiście bardzo przesadzone, zwłaszcza ostatnia, w jaki bowiem sposób przyrosłoby w ciągu 1½ roku aż milion Polaków? Przypuszczam, iż po dodaniu pewnego procentu do obliczenia ks. Kruszki, możnaby było otrzymać cyfrę obecnego stanu ludności polskiej w Ameryce. Najwięcej Polaków znajduje się w Stanach wschodnich i północnych np. (cyfry ks. Kruszki) w Pensylwanji 422.790, New York — 355,725, Illinois — 388.785, Wisconsin 197.945. Następnie idą Michigan, Massachusetts, New Jersey i t. d. Stany zachodnie mają cyfry już o wiele niższe — po kilkanaście i kilka tysięcy, a wiele z nich nawet wcale do spisu ks. Kruszki nie trafiło.

Rusini również w tym samym mniej więcej stosunku rozmieszczeni są w wymienionych tutaj stanach, tylko że na ogół jest ich oczywiście bez porównania mniej, niż Polaków. Cyfr tyczących się ilości Rusinów amerykańskich nie posiadam, przytoczę więc tylko liczby emigracji ich¹⁾:

Przybyło Rusinów

	w r. 1902/03	1903/04	1904/05
Do Pensylwanji	5.675	5.336	8.510
Do New Yorku	1.854	1.653	2.275

¹⁾ Caro: »Stat. emigr.«

	w r. 1902/03	1903/04	1904/05
Do New Jersey	874	1.094	1.666
Do Ohio	391	405	522
Razem do St. Zjedn.	9.843	9.592	14.473

Emigracja więc nasza do Stanów Zjednoczonych właściwie nie jest już czysto zarobkowa: wprawdzie ludność nasza jeździ tam na zarobki, jednak większa jej część już do kraju nie wraca, znajduje tam nową ojczyznę, staje się w niej w tej lub innej roli obywatelem. Z punktu widzenia narodowego nie można byłoby przeciwko temu nic powiedzieć, gdyby tam na gruncie amerykańskim wyrastało w ten sposób nowe społeczeństwo polskie, gdyby, jak to twierdzą niektórzy, tworzyła się rzeczywiście czwarta dzielnica Polski. Owszem, trzeba byłoby podkreślić, że podnosi się przez to w znacznym stopniu stan posiadania naszego, że rośnie bardzo szybko majątek narodowy, boć Polacy w Ameryce już właściwymi proletarjuszami nie są — każdy robotnik nawet ma tam choć mały kapitalik odłożony. Cóż z tego jednak, kiedy pomimo nawet wielkiego skupienia Polaków w niektórych centrach, jak Chicago lub Milwaukee, przecież nie mogą ostać się oni przeciw bardzo szybkiemu nawet wynaradawianiu się. Trzeba pamiętać, że jadą tam nie zapaleńcy idei narodowej, nie męczennicy sprawy, jak to się działo po naszych powstaniach, lecz ludzie twardej pracy — chłopci. Wprawdzie często się słyszy, że chłop nasz już jest narodowo uświadomiony, ba nawet idei narodowej oddany. Jest to jednak w większości wypadków złudzenie — przywiązany jest on do swej religji, przywiązany i do swej mowy, jednak zrozumienia idei narodowej i przejęcia się nią trudno przecież od niego żądać, a już niemożliwe jest, aby ideę tę zaszczepił on swoim dzieciom, nawet przy uświadomieniu jego. Z drugiej

strony na zastępy naszych emigrantów amerykańskich składa się materiał zupełnie surowy. Dopiero tam na gruncie obcym, częściowo pod wpływem tęsknoty za krajem rodzinnym, a jeszcze więcej pod wpływem agitacji powoli zaczyna rozwijać się w duszy emigranta poczucie przynależności narodowej. Jeżeli więc taki emigrant zostanie w Ameryce nawet na stałe, można przecież rachować, że on sam już się nie wynarodowi. Zupełnie jednak inna będzie sprawa z jego dziećmi — te, choćby nawet chodziły tylko do szkół polskich, co jest zresztą prawie niemożliwe do przeprowadzenia, będą się przecież ciągle stykać z wyższą kulturą anglo-saską, będą widzieć, iż ta kultura jest panującą w kraju, czyż więc ten wpływ zewnętrzny nie będzie silniejszy od wpływu rodziny? Niech jednak to pierwsze pokolenie, na gruncie amerykańskim zrodzone, nie wynarodowi się jeszcze zupełnie, niech mówią ci ludzie w domu po polsku, toć mimo to nie będą już to prawdziwi Polacy, tylko amerykanie po polsku mówiący. Że z pokolenia na pokolenie będą oni bezwarunkowo się wynaradawiać, to już najmniejszej dla mnie kwestji nie ulega. Trzeba więc być chyba skrajnym optymistą, aby przypuszczać, że kultura anglo-saska nie pochłonie tam nas całkowicie. Pamiętajmy przecież, że idea narodowa nie jest czymś konkretnym, »od Boga danym«, jest to tylko poczucie odrębności, wyrobione przez stykanie się z narodowościami obcymi, które na nasze dobra czyhają, a w mniejszym już stopniu przez przywiązanie się do naszej kultury. W Ameryce owego »czyhania« nie ma — tam jest walka zażarta, ale tylko jednostki z jednostką, stronnictwa ze stronnictwem, antagonizmy zaś narodowościowe na plan dalszy już schodzą, zaś o przywiązaniu do pewnej kultury narodowej też mowy zwykle nie ma, gdyż całe społeczeń-

stwo amerykańskie to szeregi bussinesmanów, dla których świat obraca się tylko około bussinesu. Polacy tamedzni też bardzo prędko tą gorączką pracy się przejmują, a więc i dla nich poznanie kultury narodowej schodzi na plan dalszy. — Zresztą są to robotnicy i chłopi, a więc ludzie nie inteligientni, dla których większa część objawów »kultury« jest niedostępna.

Obecnie stan rzeczy jest taki, iż wspomniane wyżej z górą 2 miliony ludności polskiej, w całości za polską uważać można tylko co do pochodzenia, co się zaś tyczy poczucia przynależności narodowej, to zapewne znaczny procent należałoby z tej cyfry odliczyć na młodsze pokolenie, które uważa się za Anglików i między sobą po angielsku mówi.

Stany Zjednoczone więc, dając możność emigrantom naszym zaoszczędzania znacznych sum pieniężnych, a większości z nich dające stały przytułek, nie mogą być mimo to z punktu widzenia społeczno-narodowego uważane za teren dla emigracji naszej wskazany. Mimo to życie nie pyta, co jest wskazane, a co nie — fala emigracji idzie tam bez ustanku niemal, wcale nie oglądając się na nasze względem niej sympatje lub antypatje. Bezpośrednio przeszkodzić jej nie jesteśmy w stanie, jeżeliby więc chodziło o jej zahamowanie, to musimy wyszukać jakiś środek w kraju, któryby był jeszcze większą atrakcją, niż Stany Zjednoczone. Zapytajmy jednak, jaki jest stosunek władz rządzących w Stanach Zjednoczonych do immigracji i wogóle jakie widoki może ona mieć tam na przyszłość.

Już oddawna w Stanach Zjednoczonych z powodu napływu coraz to większych mas imigrantów zaczęły podnosić się głosy, że trzeba coś przedsiębrać, aby ograniczyć ich ilość. Klasa robotnicza widziała się zagrożoną w swych interesach przez konkurencję robotnika

obcokrajowego, który, napływając masowo, obniżał z roku na rok zarobki. Z drugiej jednak strony przemysłowcom owszem na rękę była ta zwiększona podaż rąk roboczych, zwłaszcza rąk nieukwalifikowanych, gorzej płatnych. Wytwarza się więc walka między temi dwoma klasami na punkcie ograniczeń immigracji. Stopniowo też ograniczenia te stają się coraz ostrzejsze. Pierwotnie (ustawa z r. 1903) żądano od immigrantów wykazania się z posiadania pewnej minimalnej ilości gotówki, poddawano ich oględzinom lekarskim, przy czym chorych na niektóre choroby nie wpuszczano, a w końcu nie wolno było wylądowywać także osobom, które zawarły zawczasu kontrakt na robotę, z którymkolwiek z przedsiębiorstw miejscowych. Ten ostatni punkt skierowany był przedewszystkim przeciw kulisom chińskim. Obecnie od 1 lipca r. 1907 obowiązuje ustawa, jeszcze więcej ograniczeń stawiająca. Zmiany, jakie ona wprowadza, są następujące:

W pierwszym rzędzie podnosi się opłatę od immigrantów z 2 dolarów na 4 od osoby;

przy oględzinach lekarskich, oprócz zakazania wstępu osobom chorym na specjalne ustawą przewidziane choroby, może urzędnik immigracyjny nie dozwolić także na wylądowanie takim osobom, które okażą się zbyt słabemi do pracy zarobkowej;

dalej zabrania się wstępu nie tylko tym, którzy mają kontrakta pozawierane zawczasu, lecz i takim osobom, za przejazd których płaci pośrednio lub bezpośrednio państwo, gmina lub towarzystwo jakie. Prócz tego emigrant powinien wykazać posiadanie pewnej minimalnej ilości gotówki (od r. 1909 — 25 dolarów na głowę).

Ograniczenia te nie są jeszcze zbyt uciążliwe, zwłaszcza, że towarzystwa przewozowe, obowiązane

bezpłatnie odwozić nieprzyjętych pasażerów swoich, same dbają o wypełnianie warunków ustawy imigracyjnej i już w Europie nie przyjmują ludzi, nie mających prawa wstępu na terytorjum Stan. Zjedn. Wreszcie przy przejeździe przez granicę pruską władze miejscowe poddają emigrantów naszych oględzinom lekarskim, a również żądają wykazania się z posiadania dostatecznej ilości gotówki.

Do Kongresu Stanów Zjednoczonych docierały już projekta o wiele energiczniejszego ograniczenia imigracji. Zgłaszano np. projekt zakazu imigracji analfabetom, albo wogóle ograniczenia liczbowego ilości imigrantów. Byłyby to już prawa o wiele dotkliwsze od obecnych, na razie przecież zostały one odrzucone. Czy jednak w miarę coraz to wzmagającego się wpływu robotnika obcego, nie wejdzie sprawa ograniczenia tego ruchu znowu do kongresu i czy zwolennicy powyższych projektów nie znajdą wtedy większości, to jest i będzie dla ruchu naszego problematem bardzo groźnym.

Stany Zjednoczone pomimo tych ograniczeń imigracyjnych nie są przecież jeszcze przeludnione. Wprawdzie stany północno-wschodnie z licznie rozsiadanymi miastami olbrzymimi posiadają ludność bardzo zagęszczoną, ale za to ogromna większość stanów południowo-zachodnich i zachodnich przedstawia olbrzymi teren, mogący wiele milionów nowych przybyszów wyżywić. Wogóle zaś wieś amerykańska jest zaludniona bardzo słabo: przeważają duże gospodarstwa fermowe, a na Zachodzie olbrzymie obszary, uprawiane w sposób najbardziej ekstensywny. Racjonalną więc polityką imigracyjną Stanów byłoby nie ograniczanie napływu cudzoziemców, lecz skierowanie ich na Zachód do mało zaludnionych stepów tamecznych. W rzeczy samej

w ostatnich czasach rząd Stanów Zjednoczonych coraz bardziej zaczyna na to zwracać uwagę i, prowadząc wogóle politykę kolonizacji wsi, stara się i falę imigrancką na rolę skierować. Utworzone zostało w Waszyngtonie przy Komisji Immigracyjnej biuro informacyjne, które, mając na celu pośrednictwo pracy, stara się kierować swoich klientów robotników na wieś, do ferm¹⁾. Zapotrzebowanie robotnika wiejskiego jest dosyć znaczne, płatny jednak nie jest on zbyt świetnie — 25 dolarów miesięcznie lub nieco więcej przy całkowitym utrzymaniu. Często jednak robotnik taki bywa dopuszczany do udziału w zyskach, wtedy też zarabia zazwyczaj nieco więcej. W każdym razie w porównaniu z płacami robotników w przemyśle jest to wynagrodzenie dosyć niskie; z drugiej jednak strony trzeba wziąć pod uwagę, że robotnik wiejski ma pracę stałą bez przerw na strejki i inne bezrobocia tak, że stosunkowo więcej zaoszczędzić potrafi. Rzeczywiście chłop nasz, pobierając 300 dol. rocznie pensji, z pewnością odłoży sobie 250, czyli 1200 koron, a przy dopuszczeniu do udziału w zyskach nieraz i znacznie więcej. Praca na roli zaś jest mniej wyczerpująca, mniej niszcząca zdrowie. Wreszcie dla naszego wychodźstwa specjalnie można podnieść jeszcze ten moment, że emigrant nasz, pracując w Ameryce na roli, będzie więcej tęsknił za swoim gospodarstwem w kraju rodzinnym i prędzej wróci do tego kraju, niż robotnik miejski, porwany przez bardziej urozmaicone życie miasta. Dla nas więc skierowanie wychodźstwa do rolnictwa w Ameryce mogłoby mieć znaczenie bardzo wielkie i to przeważnie dodatnie²⁾.

¹⁾ W ostatniej chwili czynności biura tego pod wpływem związków robotniczych zostały zawieszane.

²⁾ W ostatnich miesiącach — lipcu i sierpniu r. 1909 — po-

Wychodźstwo zarobkowe nasze do innych krajów zamorskich, jak Kanada, Brazylja, Argentyna i t. p. jest już o wiele niższe, niż do Stanów Zjednoczonych. Kraje te dają zarobki gorsze, a np. państwa Ameryki południowej od dłuższego już czasu nie przedstawiają nawet widoków łatwego uzyskania pracy — chyba stany środkowej Brazylji z ich zabójczym dla ludu naszego klimatem. Kanada byłaby terenem lepszym, gdyby nie bezustanne nadużycia i ohydny wyzysk, jakiemu robotnik nasz ulega tam ze strony angażujących go do pracy towarzystw kolejowych. Zdaniem świadków naocznych dzieją się tam rzeczy niedouwierzenia — emigrant np. podpisuje kontrakt tak ułożony, iż formalnie zaprzeda się w niewolę pracodawcy: np. po wymieñnieniu wysokiej zazwyczaj płacy zarobkowej i podaniu do jakich czynności robotnik jest godzony, następuje zwykle uwaga, iż w razie uznania robotnika za niezdolnego do tych czynności może go pracodawca postawić do jakiej bądź innej pracy, zmieniając jednocześnie i inne warunki kontraktu. Kończy się na tym, że zapędzają emigranta naszego do dzikich puszczy i tam pod grozą batów i rewolweru zmuszają do najgorszej pracy przy budowie nowych kolei, dając mu zapłatę o wiele niższą od umówionej i jeszcze z tego strącając znaczną część za nędzny wikt. Na uciekających robotników zaś urządza się formalne obławę z psami. Nim więc sprawa tych nadużyć uregulowaną nie zostanie, należy jaknajenergiczniej powstrzymać lu-

czyniono niezmierne utrudnienie dla immigrantów: szykanują ich na Ellis Island w sposób ohydny, odsyłają setkami bez powodu nieraz pod jakim bądź pretekstem do Europy. Wogóle nowy komisarz emigracyjny stara się uniemożliwić niemal zupełnie imigrację.

dność naszą od wychodźstwa zarobkowego do tego kraju.

Z tego pobieżnego szkicu widzimy już, że emigracja zarobkowa ludu rolnego Galicji jest w dobie obecnej zjawiskiem ogromnej wagi, jest jednym z najpotężniejszych środków zdobycia chleba nie mogącego już wyżyć z roli chłopca. Warto obecnie zastanowić się nieco, jakie może mieć ona znaczenie w przyszłości na dalszą metę, jakie może pociągnąć skutki za sobą.

Narody Zachodu, w pierwszym rzędzie zaś najbliżsi nasi sąsiedzi Niemcy od czasu zamierchłej przeszłości, stale mieli jako uświadamianą lub nieuświadamianą dewizę »Drang nach Osten«. Napierali oni na Słowian, tępiąc ich lub germanizując, a w pierwszym rzędzie zabierając ich ziemię. Dla historyka przyszłości czasy obecne będą ogromnie ciekawą, a w skutkach swych może nawet nieoczekiwaną reakcją na to wielowiekowe parcie na wschód. Nasza emigracja jest już właściwie Drang nach Westen. Różnica jest jednak bardzo zasadnicza — germańskie parcie na wschód prowadzone było przez zdobywców i władców w najszerszym słowa tego znaczeniu, nasze parcie na Zachód prowadzone jest przez niewolnika ówczesnego ustroju społecznego — przez robotnika. Że skutki z tego mogą być wręcz przeciwne też, t. j. że zamiast kosztem innych narodów wzbogacić siebie, dojdziemy do rzeczy odwrotnej, tucząc Niemca nie tylko pracą naszą ale, być może, i dając mu materiał na germanizację w robotniku naszym, to oczywiście nie może być zupełnie wykluczone. W każdym razie w obecnych warunkach, wyparty ze swych dawnych ziem naród polski, napowrót zaczyna z nich chleb czerpać, posuwając się w dodatku znacznie dalej na zachód, aż do Renu i za Ren.

Nasza emigracja zarobkowa, mając doskonałe widoki rozwoju, staje się u nas coraz bardziej najłatwiejszym i na razie najskuteczniejszym środkiem przeciw przeludnieniu. Party surowemi warunkami życia z jednej strony, a rosnącemi potrzebami z drugiej, naród nasz bezwarunkowo pójdzie po tej linii najmniejszego oporu, po tej linii najłatwiejszego rozwiązania kwestji zdobycia chleba. Trzeba jednak zdać sobie sprawę, że nie jest to objaw zdrowy, jak również nie jest to objaw siły lub wielkiej ekspanszji narodu. Już pomijając to, że wykazuje on złe bardzo położenie ekonomiczne kraju, przecież trzeba pamiętać, że społeczeństwo jest tym zdrowsze ekonomicznie, tym silniejsze, im liczniejszą w nim jest klasa posiadaczy, im mniej stosunkowo jest proletariatu. Naród złożony z samego tylko proletariatu bezwarunkowo skazany byłby na zagładę. Emigracja zaś nasza prowadzi właśnie do coraz większej proletaryzacji narodu całego. Wprawdzie zdobywamy na terenach obcych środki do życia, wprawdzie gorzej by było, gdybyśmy musieli dusić się w ciasnych swoich siedzibach, mimo to podkreślić trzeba, że przez to podnosimy dobrobyt klas posiadających w innych krajach, podnosimy majątek narodowy tych krajów, tym więc gorzej nasz majątek w porównaniu z nimi przedstawiać się będzie. Wogóle naród, sprowadzający robotnika, staje się panem, naród, dający robotnika, — sługą, gorzej jeszcze, bo sługą wyjętym z pod praw. Emigrant nasz na gruncie innego państwa może być zawsze tylko tolerowany. Żeby, przybywając tam na robotę sezonową, stawał się on odrazu obywatelem kraju, przecież marzyć nawet nie można. I dziwnie altruistyczny musiały to być naród, któryby zechciał przybyszowi obcemu dać możność rządzenia swoim losem, tak jak to pozostawione jest różnym klasom obywateli miejsco-

wych przez przedstawicielstwo w parlamencie. Przybysz może mieć tylko to, co mu dadzą: dadzą mu prawa, ochraniające go od wyzysku, to je mieć będzie, nie dadzą mu tych praw, to w najlepszym razie tylko bojkotem takiego kraju odpowiedzieć potrafi. Oczywiście, że w konjunkturach dla niego pomyślnych, przy większym popycie na robotnika, niż podaży, bojkot może być bronią skuteczną. Co jednak nam przyszłość i to długa przyszłość przyniesie, przewidzieć nie można. Chcąc być ostrożnym, trzeba zawsze przypuszczać, że będą okresy, w których podaż będzie większa, a więc i broń nasza jedyna odpadnie zupełnie. W takich chwilach zaś bylibyśmy zupełnie bezsilni, zupełnie zależni od naszych »chlebodawców«.

Słowem emigracja zarobkowa prowadzi do przekształcenia Galicji w siedzibę wyzutego z pod prawa parobka Europy Zachodniej. Nie to więc jest przekleństwem tego ruchu, że ludek nasz się psuje, że się demoralizuje, i nie to, że dwory nie mają robotnika, i nie to nawet, że pracujemy własnymi rękami na wrogów naszych Prusaków — nie! — przekleństwem emigracji jest to, że wtrąca ona cały nasz naród w potwornie ciężką, bezlitosną zależność ekonomiczną od krajów obcych, zależność o wiele silniejszą od skutków najazdu kapitałów zagranicznych na kraj nasz rodzinny.

Jakżesz mamy więc reagować na coraz to bardziej rosnącą emigrację? Może wobec jej zgubnych na przyszłość wyników starać się powstrzymać ją drogą ustawodawczą, ba — nawet drogą szykan prawnopolitycznych? Już wspomniałem jednak, że w ten sposób do niczego nie dojdziemy. Cóż znaczy przepis martwy wobec życia, wobec tej niepowstrzymanej fali ludności wiejskiej, która wylać się musi co roku z wiosek na-

szych? Jeżeli chcemy emigrację zarobkową powstrzymać lub zahamować, to atrakcji tego ruchu — łatwości znalezienia zarobków za granicą, przeciwstawić należy jakąś atrakcję równorzędną co do swej siły w kraju na miejscu: należy dać w ten lub inny sposób zatrudnienie temu nadmiarowi rąk roboczych, jakie kraj nasz posiada. Szykanować zaś ruchu emigracyjnego nie wolno, boć udział w nim biorą nie jacyś parjasi lub intruzi, których się w kraju tylko toleruje, lecz ci sami obywatele kraju, którzy w ostatnich czasach powołani do rządzenia swym losem zostali. Minęły te czasy, gdy można było używać środków gwałtownych i brutalnych, gdy dla dobra »poddanych« wykonywało się na nich wszelkiego rodzaju eksperymenty. Ruch emigracyjny jako objaw życia społecznego domaga się, by władze społeczne spojrzały nań okiem opiekuńczym i okiem znawcy, by nie traktowały go jako coś wrogiego, coś przestępnego niemal. Tamać więc sztucznie ruchu tego nie można i nie wolno, natomiast trzeba nim się zająć, trzeba go zorganizować, by chronić wychodźcę od wyzysku i wyszukiwać mu coraz lepsze tereny do pracy.

Należyta jednak organizacja ruchu emigracyjnego powinna być w pierwszym rzędzie poparta odpowiednim ustawodawstwem emigracyjnym, któreby ruch ten chroniło od wszelkiego rodzaju niespodzianek i mniej lub więcej niesumiennej działalności jednostek lub instytucji poszczególnych. Bez takiego ustawodawstwa emigranci stale będą narażeni na wyzysk, wpadać będą także nieraz w konflikt z postanowieniami ustawodawstwa ogólnopanstwowego, a wreszcie nie będzie się nad nimi rozciągała w tej czy innej formie przejawiająca się opieka państwa, którego obywatelami są oni, a więc mają prawo żądania tej opieki.

Niektóre państwa Europy mają też już daleko idące ustawodawstwo emigracyjne — w pierwszym rzędzie Szwajcarja, następnie Włochy, Rzesza Niemiecka i w końcu Węgry, gdzie też obowiązuje już specjalna ustawa z r. 1909.

W Austrii było już wiele o takiej ustawie mówione, nawet zgłaszano wnioski do parlamentu, mimo to jednak dotychczas nic w tym kierunku nie zrobiono i, kto wie, czy nie wypadnie czekać jeszcze lat całych, nim zostanie ona opracowana i uchwalona.

Obecnie sprawa o tyle polepszyła się, iż wystąpił z nader sumiennie opracowanym materiałem do takiej ustawy Dr. Caro w cytowanej już książce swej »Auswanderung und Auswanderungspolitik in Oesterreich«. Największy rozdział tej książki (siódmy) poświęcony jest specjalnie polityce emigracyjnej Austrii, z opracowaniem środków tej polityki — t. j. w pierwszym rzędzie ustawy odpowiedniej.

Omówiwszy potrzebę pewnych ograniczeń wolności emigracji, zresztą już częściowo w Austrii istniejących, przechodzi autor cytowanej książki do sprawy ustawowego unormowania **w e r b o w a n i a** emigrantów przez różne, działające w tym kierunku osoby, instytucje i państwa. Zdaniem jego w pierwszym rzędzie, częściowo na wzór ustaw szwajcarskiej, włoskiej, niemieckiej i węgierskiej należałoby zareagować na prowadzone przez pewne kraje popieranie immigracji przez udzielanie ulgowych przejazdów z portów europejskich. Najbardziej celowym byłby tu więc zakaz wyjazdu do krajów o warunkach dla emigrantów naszych nieodpowiednich.

Następnie bardzo ważna jest sprawa pewnych a dosyć wielostronnych ograniczeń, dotyczących się samych biur i subagentur sprzedaży kart okrętowych.

A więc trzeba by rozciągnąć działanie ustawy na ograniczenie reklam, zwłaszcza fałszywych, dotyczących się krajów, dokąd ma być wysyłany emigrant, zawarować władzom odpowiednim wglądanie w działalność instytucji, prowadzących sprawy emigracyjne. Prócz tego możliwe jest ewentualne ograniczenie ilości filji i subagentur, jak w ustawie węgierskiej, a nawet zniesienie biur i pośredników sprzedaży kart okrętowych, powierzenie zaś tej sprzedaży kasom kolejowym. Przy ewentualnym wydawaniu koncesji na prowadzenie subagentur sprzedaży tych kart należałoby ograniczyć w znacznym stopniu prawo otrzymywania tych koncesji — w pierwszym rzędzie nie udzielać ich szynkarzom. Na wzór włoski można byłoby tworzyć specjalne komisje do informowania emigrantów we wszelkich dotyczących się emigracji kwestiach — jako przeciwwagę niesumiennej agitacji. Także bardzo wskazane byłoby żądanie od towarzystw przewozowych ustanawiania nie subagentów, lecz reprezentantów ich, za których więc byłyby one odpowiedzialne, a ręczyłyby odpowiednio wysoką kaucją. Dalej zastrzedz należy rządowi prawo odwoływania udzielonej raz koncesji, zakazać brania przez jedną osobę agentury dwu lub więcej towarzystw przewozowych, a wreszcie ustanowić odpowiedzialność solidarną Towarzystwa przewozowego i agenta tegoż, aby poszkodowany emigrant mógł poszukiwać swej szkody albo na jednym albo na drugim — jak mu wygodniej wypadnie.

W dalszym ciągu jest mowa o ustawowym uregulowaniu podróży statkami i koleją — o odpowiednich zarządzeniach higienicznych, zapewnieniu bezpieczeństwa podróży i t. p., następnie o postanowieniach karnych względem osób, prowadzących sprawy emigracyjne i t. d.

Oprócz tego autor omawia kwestję zorganizowania ustawowego opieki nad wychodźcami sezonowymi — a więc żąda w tym celu zakazu wyjeżdżania na roboty sezonowe bez poprzednio zawartych kontraktów i to w języku dla emigranta zrozumiałym, polecenia pracodawcom korzystania tylko z publicznych biur pośrednictwa pracy, wreszcie unormowania przez te biura składania przez robotników i otrzymywania z powrotem kaucji.

Ze względu na zakres tematu mej książki nie mogę rozwodzić się tutaj nad podawanym przez Dra Cara materiałem. W każdym razie podkreśliłam, że chociaż projektu gotowego ustawy emigracyjnej, ani nawet szkicu takiego projektu autor nie podaje, to jednak po przeczytaniu jego pracy widzi się, jak wiele jest do zrobienia i można zrobić na polu uregulowania ustawodawczego emigracji, a jak mało w tym kierunku w Austrii zrobiono, a więc książka ta rzeczywiście musi sprawę tę pchnąć bardzo silnie naprzód.

Oprócz opracowania tej kwestji podaje Dr. Caro także myśl potrzeby odpowiedniej narodowej polityki emigracyjnej ze stanowiska przeważnie państwowego.

Nie tylko jednak działalność jednego państwa jako takiego, tycząca się spraw jego emigracji potrzebna jest tej emigracji. Wychodźstwo jest zjawiskiem międzynarodowym, a więc domaga się też regulacji międzynarodowej. Ta regulacja jest oczywiście wiele trudniejsza, niż regulacja w obrębie jednego państwa, ponieważ wchodzi tu w grę interesy państw różnych, nieraz wręcz ze sobą sprzeczne. W każdym razie myśl unormowania z tej strony kwestji wychodźstwa jest nader pożądana, jako hasło dojścia do porozumienia między państwami choćby na tych tylko punktach, na których jest to możliwe. I znowu z projektem występuje

Dr. Caro — mianowicie w Berlinie na zjeździe r. 1909 środkowo europejskich Towarzystw gospodarczych kreśli on plan regulacji międzynarodowej wychodźstwa.

Oto główne postulaty, dotyczące się porozumienia międzynarodowego¹⁾:

»1) ustalić wspólne zasady statystyki emigracyjnej, obecne bowiem daty statystyczne, osiągane różnemi metodami, w wielu kierunkach nie podają należytych wyjaśnień;

2) zastrzedz dostarczenie werbowanych robotników zagranicę tam, gdzie ono ze strony państwa imigracyjnego nie jest ustawowo zabronione, jak np. w Stanach Zjednoczonych, wyłącznie publicznym biurom pośrednictwa pracy, a aż do chwili zupełnego przeprowadzenia tej zasady jak najsurowszą wprowadzić kontrolę koncesjonowanych i wysoko kaucjonowanych agentów prywatnych ze strony państwowych urzędów emigracyjnych i imigracyjnych;

3) zdążać do dalszego rozwinięcia międzynarodowego układu z 18-go maja 1904 roku i przyłączenia do niego wszystkich oświeconych państw świata, celem zwalczania handlu dziewczętami, uprawianego dotąd, zwłaszcza z Austro-Węgier i Rosji, ale także i z innych państw głównie do Ameryki południowej, Turcji, Egiptu i Indji wschodnich;

4) ustanowić »minimum« światła, powietrza i zaopatrzenia dla każdego podróżującego w międzypokładzie wszystkich linii okrętowych, zastrzedz możliwie rychłe wprowadzenie kabin trzeciej klasy w miejsce wspólnego dla wszystkich międzypokładu lub przynajmniej odrębnych sal jadalnych w nowo zbudować się mających okrętach wszystkich państw traktatowych;

1) »Polski Przegląd Emigracyjny« r. 1909.

5) zobowiązać je do zakładania hal emigracyjnych i odpowiedniego ich urządzenia zarówno w stacjach kontrolnych przy przekroczeniu granicy, jak też w portach wszystkich krajów, w których następuje wyjazd, niemniej do zakładania urzędowych biur wymiany pieniędzy, celem zapobieżenia tak częstemu wyzyskowi ze strony kantorów prywatnych, wreszcie zapewnić utworzenie publicznych biur pośrednictwa pracy także i w państwach, będących celem wychodźstwa;

6) uprościć warunki mocy obowiązującej dokumentów publicznych, jakoto metryk chrztu, ślubu i śmierci, wystawionych zagranicą w obrębie państw traktatowych;

7) obniżyć opłatę pocztową przesyłek pieniężnych z krajów zamorskich przy równoczesnym wprowadzeniu obrotu czekowego za pośrednictwem godnych zaufania zamorskich banków.....«

Oprócz tego proponuje Dr. Caro utworzenie specjalnego międzynarodowego Instytutu do spraw emigracji, który miałby za zadanie:

»a) zbieranie dokładnych informacji z urzędów emigracyjnych wszystkich państw o położeniu emigrantów w poszczególnych krajach, o istniejącym tamże ustawodawstwie immigracyjnym i kolonizacyjnym, dotyczącym własności i robotniczym, o wysokości płac, kosztach utrzymania, faunie, florze i t. d.;

b) naukowe opracowanie zebranych wiadomości, jako też

c) podjęcie prac przygotowawczych i utworzenie drogi dla ustawodawstw poszczególnych państw i dla układów międzynarodowych między nimi zawrzeć się mających, w kierunkach powyżej naznaczonych, celem doprowadzenia do identycznych lub przynajmniej temi

samemi zasadami ożywionych, choćby różnych, postanowień prawnych.

Instytut taki, utrzymywany wspólnym kosztem państw Europy, a może i Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, przyczyniłby się równocześnie do spełnienia wielkiego zadania zaludnienia ziemi na niezamieszkanymi dotąd olbrzymich obszarach i tym samym do złagodzenia kwestji socjalnej a równocześnie służyłby badaniami swojemi tak porównawczej nauce prawa, jak i etnografji i naukom przyrodniczym.

Projekt ten Dra Cara jest najdalej idącym i bez porównania głębiej obmyślanym od wszystkich nielicznych zresztą projektów regulacji kwestji wychodźstwa. Emigracja ludów jest obecnie problemem międzynarodowym, a więc i uregulowanie jej możliwe tylko na drodze porozumienia międzynarodowego. Wprawdzie motyw przytoczony przez autora, iż narody »wierzące w tryumf sprawiedliwości« powinny zaopiekować się emigrantami, pozostanie wobec zachłanności i wybujałego materjalizmu świata naszego tylko piękną dekoracją, ale przecież obecne życie ekonomiczne Europy czy Ameryki wymaga coraz większej regularności wszystkich jego momentów, więc też nie jest rzeczą niemożliwą, aby choć na pewnych punktach porozumienie międzynarodowe nastąpiło. Z drugiej strony nie trzeba się łudzić, że i w tym wypadku silniejszy będzie starał się wyzyskać słabszego. Jeżeli więc my, jako naród pozbawiony swego rządu, będziemy czekali, aż tam na arenie światowej rozstrzygnie się ta sprawa, to w ostatecznym rezultacie okaże się, że interesa nasze będą w stopniu wcale nie wystarczającym uwzględnione. Musimy więc zdobyć sobie zawczasu oręż, aby z nami się liczone — orężem zaś tym może być tylko organizacja wewnętrzna, oparta w najlepszym razie o władze

autonomiczne, a która w znacznym stopniu ułatwionąby była przez odpowiednią państwową ustawę emigracyjną. Czyli że obok tej ustawy albo i bez niej myśmy powinni zdobyć się na samodzielną politykę emigracyjną.

Potrzeba tej organizacji jest tym pilniejsza, że tak daleko idący projekt, jak postawiony przez Dra Cara, nie wejdzie w życie prędko — upłyną może dziesiątki lat. I z tego więc powodu czekać nam życie nie pozwala, a ustawa emigracyjna w Austrii też nie wiadomo kiedy uchwaloną zostanie i jaką będzie miała postać.

Zaczątki organizacji wewnętrznej, o której mówiłem, już mamy. Stanowią je z jednej strony »Polskie Towarzystwo Emigracyjne«, z drugiej krajowe biuro pośrednictwa pracy.

Polskie Towarzystwo Emigracyjne jest instytucją społecznie-filantropijną, chociaż posiada zakrój handlowy. Finansowe oparcie znajduje ono w udziałach swych członków i prowadzeniu interesów, które dają zysk, a zarazem zmierzają do jego właściwych celów — płatne ze strony pracodawców pośrednictwo w pracy, sprzedaż kart okrętowych i t. p. Obliczone jednak na zysk bynajmniej ono nie jest, gdyż statut określa maximum wypłacanej dywidendy członkom na największy procent, jaki Towarzystwo samo za lokowane u niego depozyta płaci. Stoi ono obecnie w ścisłym porozumieniu z Wydziałem krajowym, podlegając dobrowolnie jego kontroli. Celem towarzystwa jest regulacja czynna wychodźstwa we wszelkich jego objawach, oraz wynajdywanie nowych dłań terenów. Siedzibą jego jest Kraków, gdzie posiada swoje biuro. Funkcjonować de facto zaczęło dopiero w końcu zimy r. b. (1909) kiedy to,

otrzymawszy koncesję na pośrednictwo w pracy, otworzyło swe biuro i wogóle ściśle się ukonstytuowało.

Czy odpowie ono swemu zadaniu, trudno z góry przesądzać. To zadanie jest i trudne i odpowiedzialne, jeżeli bowiem Towarzystwo emigracyjne wyprze swą pracą pośrednictwo prywatne w wyszukiwaniu pracy emigrantom, toć będzie ono de facto reprezentantem naszego wychodźstwa na zewnątrz. Z reprezentacji tej wynikają zobowiązania bardzo poważne — obrona interesów wychodźstwa naszego i to nie tylko przez interpelacje lub interwencje u władz i instytucji naszych i zagranicznych, ale i przez prowadzenie odpowiedniej polityki na własną rękę, przez rzucanie robotnika naszego na ten rynek więcej, na tamten mniej, a nawet w razie czego bojkotowanie pewnych rynków. Z zadania tego wywiązać się nie łatwo, jednak obecne kierownictwo Towarzystwa daje po temu nadzieje jaknajlepsze, gdyż w całym zakroju pracy znać i energię i znajomość rzeczy.

Może z zasadniczego punktu widzenia wyda się niejednemu czytelnikowi dziwnym, iż towarzystwu bądź co bądź prywatnemu chciałbym poruczyć tak ważną misję, jak reprezentacja na zewnątrz naszego wychodźstwa. Toć do tego powołaneby może były albo władze rządowe czy krajowe, albo też jakaś organizacja samych wychodźców. Moim zdaniem jednak byłoby wprost doktrynerstwem stawianie tego rodzaju zarzutów: Towarzystwo Emigracyjne już mamy, skupiło ono około siebie wszystkie jednostki, którym sprawa wychodźstwa na sercu leży. Jeżeli więc te jednostki wzięły w swoje ręce akcję uregulowania emigracji, toć trudno przypuszczać, aby mogła powstać inna jakaś instytucja, któraby, oparłszy się przypuścmy na emigrantach jako członkach, znalazła odpowiednich kierowników, zdol-

nych do lepszego kierowania losami emigracji. Można więc tylko zarzucić obecnemu towarzystwu, że nie wzięło ono emigrantów za członków swoich. Ta myśl jednak była na początku organizowania tego towarzystwa, musiano jej jednak zaniechać ponieważ nie sposób było od chłopów żądać udziałów 100 koronowych, albo choćby i znacznie zmniejszonych. Zresztą, pomijając korzyści prawno-administracyjne, poco wychodźcy mają być członkami Towarzystwa Emigracyjnego? Przecież poziom ich inteligencji jest jeszcze tak niski, że właściwie o kierunku pracy decydowaćby oni nie mogli. Możeby znaczyła coś kontrola, ale tę prowadzi w towarzystwie omawianym Wydział krajowy, a częściowo i Namiestnictwo. Odpada więc tylko oddziaływanie wychowawcze w kierunku wpojenia ludności naszej zrozumienia korzyści assocjacji.

Jeżelibyśmy zaś chcieli powierzyć tę sprawę władzom rządowym albo krajowym, tobyśmy mieli organizację biurokratyczną, a więc mało ruchliwą, pozbawioną rzutkości kupieckiej, jaką obecna przynajmniej dyrekcja Pol. Tow. Em. odznacza się w stopniu znacznym. Prócz tego władze centralne rządowe w Wiedniu możliwe, iż często więcejby się rachowały z żądaniami Berlina, niż z potrzebami naszego ludu. Że tak być mogłoby, niech będzie dowodem fakt, że kiedy Włosi, nie wyłączając ministra Titoniego, wypowiadają walkę Niemcom za wydawane imigrantom do Rzeszy niemieckiej karty legitymacyjne, uważając to za bezprawie, w Wiedniu w sferach rządzących odezwały się głosy, pochwalające ten środek. Zresztą musimy mieć organizację własną, a więc nie można powierzać tego rządowi, Wydział zaś krajowy sam przelał np. swoje agientury pośrednictwa pracy we Francji na Pol. Tow. Emigr.

Wewnątrz kraju funkcjonują krajowe Biura pośrednictwa pracy. We Lwowie przy Wydziale krajowym istnieje centralne biuro, a na prowincji działają biura powiatowe. Organizacja ta powołaną do życia została nie tyle może w celu regulowania wychodźstwa, co w celu zapobiegania skutkom ubytku nadmiernego sił roboczych z pewnych okolic z powodu wychodzenia znacznych ilości ludu rolnego na zarobki za granicę. Pod wpływem tego braku robocizny rozwija się pomiędzy dworami dążność do sprowadzania robotnika z okolic dalszych. Tym właśnie miały w pierwszym rzędzie zająć się wspomniane biura.

Obecnie jednak prowadzą już one akcję szerszą, wchodząc w porozumienie z biurami pokrewnymi niemieckich Izb rolniczych, a także otwierając swe agencje we Francji, gdy otworzyły się tam widoki na znalezienie pracy dla ludności naszej. W ostatnich czasach agencje te zostały przelane na Pol. Tow. Emigr., uzyskało ono także prawo powoływania się na Biuro krajowe, którego jest tam reprezentantem.

Moim zdaniem krajowe biura pośrednictwa pracy powinny ograniczyć działalność swą tylko do pracy wewnętrznej w kraju. Mają one tutaj pole bardzo szerokie: 1-o, pośrednictwo między pracodawcami i robotnikami w samej Galicji, co przy należytej organizacji niewątpliwie usługi naszemu gospodarstwu społecznemu by oddało; 2-o przekazywanie całego nadmiaru podaży rąk roboczych Pol. Tow. Emigracyjnemu, któreby im pracę poza granicami kraju wynajdowało. Zmonopolizowanie w ręku P. T. E. wyszukiwania pracy naszym emigrantom miałoby znaczenie bardzo ważne, pozwoliłoby bowiem towarzystwu temu na zdobycie na rynku światowym pracy tego znaczenia, jakie przez wzgląd na dobro tych samych emigrantów powinno byłoby

ono mieć. To tylko umożliwiłoby nam prowadzenie polityki »handlowej« w dostarczaniu naszego »towaru« — pracy ludzkiej. Dając moralną sankcję na taki monopol, Wydział krajowy mógłby zastrzec sobie znaczną ingerencję na działalność towarzystwa. Konkurencja zaś do niczego doprowadzićby nie mogła.

Gdyby opisana organizacja wychodźstwa doszła do skutku w takim stopniu, aby ogarnęła niemal cały ruch nasz wychodźczy, już byśmy byli na tyle silni, iż wejście w życie projektów Dra Cara o międzynarodowym uregulowaniu tej kwestji, nie zastałoby nas nieprzygotowanymi, nie mogłoby więc być mowy o pokrzywdzeniu naszego narodu przy tej regulacji. Kierowalibyśmy wychodźstwem my sami, a międzynarodowe ustawy i instytucje pomagałyby nam tylko w tej akcji. Zresztą, mając swoją organizację, wywierać moglibyśmy wpływ i na działalność tych ewentualnych instytucji międzynarodowych.

Oprócz uregulowania prawno-ekonomicznego ruchu wychodźczy nasz potrzebuje jakiejś organizacji, któraby czuwała nad jego potrzebami moralnymi i wogóle opiekowała się robotnikiem naszym na obczyźnie. Trzy lata temu wystąpił już A. Rozmiarzek¹⁾ z projektem utworzenia towarzystwa filantropijnego, któreby miało tę opiekę wykonywać. Obecnie jednak wobec zawiązania Pol. Tow. Em. projekt jego stał się bezprzedmiotowym, ponieważ tę opiekę weźmie to towarzystwo w ręce swoje. Projekt Rozmiarcka może być tylko wskazówką, do czego należałoby w tym wypadku dążyć.

Pol. Tow. Em. dobrze rozumie potrzebę takiej opieki. O ile wiem, ma ono zamiar utrzymywać zagra-

¹⁾ W kwestji wychodźstwa polskiego 4 rozprawki. Poznań.

nicą specjalnych urzędników, którzyby objeżdżali naszych wychodźców w ich miejscach zatrudnienia, badali ich potrzeby, wysłuchiwali zażaleń i t. p. Prócz tego delegowani byłiby księża polscy do podróży misyjnych, aby dać możność emigrantom zaspokojenia ich potrzeb religijnych. Już w roku bieżącym wyjeżdża w taką podróż po Francji ks. Dr. J. Górka z Tarnowa. Pozatym towarzystwo organizuje dostarczanie emigrantom książek, a także nosi się z zamiarem wydawania swego pisemka popularnego dla wychodźców.

O ile opieka ta nie będzie napotykała na utrudnienia ze strony rządu francuskiego, duńskiego i szwajcarskiego, o tyle rząd niemiecki przeciwnie wręcz ją będzie starał się uniemożliwić. Aby można ją było rozwinąć należycie i na terytorjum niemieckim, należałoby uciec się do poparcia ministerjum spraw zagranicznych. W każdym razie wobec znacznej niestety zależności Wiednia od Berlina, a nie vice versa, wątpić należy, czy bez oparcia się o silną organizację wewnętrzną wychodźstwa, udałoby się nam coś na tej drodze wykołatać.

Obecnym więc dążeniem społeczeństwa powinno być poparcie Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego, aby jaknajprędzej stworzyć silną organizację wychodźstwa naszego.

ROZDZIAŁ III.

Akcja społeczno-rolnicza w Galicji.

Mówiąc o całokształcie pracy społeczno-rolniczej na terenie galicyjskim, rozważając jej braki, sposoby sanacji i t. p., trzeba też na wstępie powiedzieć o zdolnościach w tym kierunku społeczeństwa, które ją prowadzić musi. Każda praca opiera się na ludziach, na pracownikach; pierwszym zaś warunkiem należytego jej prosperowania zawsze będzie dobry materiał w ludziach: gdzie pracownik jest lichy, tam i pracy dzielnej nigdy nie będzie.

Szczepanowski już podnosił jako cechę charakterystyczną społeczeństwa galicyjskiego ogólny jego bezwład biurokratyczny. Jego zdaniem, społeczeństwo czynnym i ruchliwym może być tylko wtedy, gdy w sferach inteligencji przeważają liczebnie jednostki niezależne materialnie, oraz pracujące w zawodach wolnych, a nie urzędnicy. I rzeczywiście urzędnik z natury rzeczy jest mało przedsiębiorczym, mało ruchliwym i mało najczęściej pracowitym; cechuje go wielka bierność życiowa: ma on byt zupełnie zabezpieczony, wprawdzie byt dosyć lichy, mimo to pozwalający wcale nie my-

śleć o jutrze. Życie jego to nieprzerwane »urzędowanie« w biurze, odsiadanie nieraz bezmyślnie godzin oznaczonych. Pracownik taki w urzędzie swoim jest przeważnie tylko kółkiem biernym, któremu nie wolno aż do najdrobniejszych szczegółów biuralistyki wprowadzać do pracy swego ja. Musi on »załatwiać te kawałki«, które dla niego są przeznaczone, załatwiać je w ten sposób, w jaki wymaga instrukcja i nic więcej. Wprowadzanie jakichś zmian, wynajdywanie na własną rękę nowych terenów pracy jest wykluczone. — Przypnijmy teraz do tego obrazu bujną bądź co bądź ale próżniaczą naturę Polaka, a zobaczymy jaką anomalją musi on być w roli urzędnika austriackiego. Indywidualność jego skrzepowana jest zupełnie, natomiast próżniactwo ma teren podatny do rozwoju, stale bowiem roboty jest mniej, niż czasu na nią przeznaczanego. Wytwarza się przez to poświęcanie każdej czynności ogromnie wiele czasu, nadawanie jej wielkiej wagi: nie może już taki człowiek załatwić nic na poczekaniu, na wszystko potrzeba mu namysłu i dużo czasu. Za tą zaś biernością pracy biurowej idzie i bierność życiowa. Ponieważ zaś w Galicji stan urzędniczy jest najliczniejszym odłamem inteligencji, przeto i nastrój całego społeczeństwa cechuje ta sama bierność życiowa, wiadomo bowiem iż psychika jednej części społeczeństwa, oddziaływa sugiestywnie na nie całe i to tym silniej im ta część jest większą i wpływowszą.

Ale na tym nie koniec: oprócz biurokratyzmu na bezwład społeczeństwa naszego składają się zapewne i inne gorsze, bo stalsze od niego czynniki. Nie jestem antropologiem, nie mogę więc tłumaczyć, w jaki sposób klimat i warunki naturalne wpływają na psychikę narodów. W każdym razie i bez antropologii znaną

jest rzeczą, że narody wyspiarskie lub nadmorskie, stale odznaczają się wielkim hartem ducha, energją i rzutkością. Do pewnego stopnia narody górskie posiadają cechy te same. Jest to bezpośrednim wynikiem doboru naturalnego, w tych bowiem warunkach mogą się ostać tylko ludzie, temi zaletami ducha obdarzeni. Wręcz przeciwne cechy charakteru posiada naród kontynentalny nizinny, zwłaszcza od czasów prastarych osiadły. Takim narodem jesteśmy my właśnie. Wprawdzie w Galicji mamy góry i górali, mimo to, oprócz może Huculów, nie są to rdzenni Górale: i oni pochodzą z równin i ich przodkowie ongiś rolnikami na nizinach byli. Z drugiej strony klimat kraju też zapewne tutaj jakąś rolę odgrywa.

Widzimy więc, iż wszystko składa się na wytworzenie nader niskiej dzielności sfer inteligentnych społeczeństwa naszego. Z faktem tym należy się liczyć przy każdej pracy, a więc i przy pracy społeczno-rolniczej. Narzekać na to byłoby bezcelowe: oczywiście lepiejby było, gdybyśmy mieli lepsze siły, tak samo, jak lepiejby było, gdyby Galicja miała powierzchnię zamiast nie całych 80 tysięcy klm² np. 200.000. Można więc myśleć o odrodzeniu społeczeństwa, łamać jednak ręką nad jego bezwładem — niema sensu.

Siły fachowe, a więc funkcjonariusze pracy społeczno-rolniczej również przedstawiają się dosyć niepomyślnie. Wszystkich funkcjonariuszy tej pracy można podzielić na dwie zasadniczo różne kategorie: prowadzących część techniczną całej akcji i mających za zadanie tę lub inną działalność pedagogiczną. O pierwszej kategorii — licznych urzędnikach wszelkiego rodzaju biur, towarzystw i innych instytucji, kierownikach fachowych tych instytucji i t. p. nic specjalnego do powiedzenia nie ma. Natomiast co się tyczy funkcyjona-

rjuszy pracy rolniczo-pedagogicznej, to trzeba podkreślić, że tutaj bodaj że kryje się największa bolączka całej akcji społeczno-rolniczej. Przez czas dłuższy potrzeba nauczania rolniczego, zwłaszcza nauczania wędrownego, nie w szkołach systematycznie prowadzonych, była zapoznawana. W końcu, gdy zaczęto stwarzać nader nieliczne posady takich lub innych nauczycieli wędrownych, odrazu postawiono tę kwestję na błędnej zasadniczo podstawie. Oto uznano, że ludzie ci są mniej potrzebni, niż inni jacyś pracownicy społeczni; przyznano więc im wyposażenie o wiele niższe, niż ludziom tak samo ukwalifikowanym w innych branżach. Gdy w takiej Danji np. widzimy, iż, w stosunku do ogólnego nader niskiego poziomu płac, »statskonsulenci« rolniczy stoją pod względem materjalnym wyjątkowo dobrze, o tyle u nas nieliczni obecnie odpowiadający im funkcjonariusze, a także obok nich nauczycielowie niższych szkół rolniczych wyposażeni są stosunkowo bardzo lichy. Z drugiej strony zawód rolniczy do dzisiaj pozostał w Galicji lepiej popłatnym od innych branży, zwłaszcza że, pracując na wsi w roli rządcy lub administratora, ma każdy agronom liczne dodatki in natura, które przedstawiają tym większą wartość, iż drożyzna miast naszych doszła już niemal do absurdu. Naturalnie, że wobec tego lichy popłatna praca społeczno-rolnicza lub nauczycielstwo w szkołach rolniczych wcale agronomów zawodowych nie pociąga. Choćby który z nich i miał specjalny pociąg do tej pracy to, zabrawszy się do niej, spostrzega po pewnym czasie, że robi pod względem materjalnym interes jak najgorszy, gnany więc warunkami życia, porzuca bardzo szybko tę niwę niewdzięczną. Ciekawą ilustrację tego daje Zarząd Główny Towarzystwa Kółek rol-

czych: tam inspektorowie rolniczy zmieniają się, jak w kalejdoskopie.

Skutki tego oczywiście są opłakane: żadna praca bodaj nie wymaga takiej ciągłości, nie wymaga takiej stałości, co praca pedagogiczno-rolnicza, zwłaszcza akcja nauczania wędrownego. Dotychczas prowadzoną była ona na bardzo małą skalę i dlatego może potrzeba tej stałości nie wystąpiła zbyt jaskrawo. Gdy jednak rozwinie się szerzej, gdy z czasem więcej ludzi zaangażować do niej wypadnie, okaże się nie tylko zgubny wpływ ciągłej zmiany funkcyjnarjuszy, lecz i wogóle tych funkcyjnarjuszy zdobyć nie będzie można.

Radykalnym środkiem poprawy tej anomalji byłoby zapewnienie tym ludziom lepszego wyposażenia. Czy jednak jest to możliwe? Przypuszczam, że nie: na radykalne zmiany wogóle trzeba więcej rzutkości i śmiałości, niż społeczeństwo galicyjskie posiada: na wyjście więc raptowne z raz wprowadzonej rutyny liczyć nie można. Chcąc więc złemu zaradzić trzeba obejrzeć się za środkiem innym.

Sprawa potrzeby zdobycia ludzi dla pracy oświatowo-rolniczej weszła już w kadencji ubiegłej i do sejmu. Uchwalono tam na wniosek pośła Kędziora, szefa biura meljoracyjnego Wydziału krajowego, utworzyć szereg stypendjów w Akademji rolniczej w Dublinach dla słuchaczy, którzy zobowiążą się poświęcić pracy społeczno-rolniczej. Przypuszczam jednak, że jest to projekt chybiony: wprawdzie chętnych na korzystanie ze stypendjów zawsze będzie dosyć, czy jednak ludzie ci po ukończeniu studjów długo będą pracowali na niwie społeczno-rolniczej, wątpić należy. Będzie z nimi, zdaje się, to samo, co i z obecnymi pracownikami — oto po rozejrzeniu się w sytuacji będą oni stopniowo szukali innych lepiej płatnych zajęć.

Moim zdaniem kwestję wyrobienia odpowiedniej ilości instruktorów rolniczych rozwiązać można u nas tylko przez zaangażowanie do tej pracy ludzi o znacznie niższych wymaganiach, niż agronomowie z wyższymi studjami fachowemi. Należy stworzyć szkołę instruktorów rolniczych, gdzieby przyjmowani byli chłopcy np. po ukończeniu dwóch klas wydziałowych, a zdolniejsi i po ukończeniu szkoły normalnej. Kurs takiej szkoły powinien byłby być tylko rozszerzonym kursem obecnych szkół niższych rolniczych z położeniem wielkiego nacisku na przedmioty ogólnokształcące oraz z wprowadzeniem specjalnych wykładów, poświęconych polityce agrarnej i wogóle pracy społeczno-rolniczej. Należałoby zmniejszyć ilość zajęć praktycznych, a przedłużywszy jeszcze cały czas trwania nauki do lat np. czterech, można byłoby przy umiejętnym kierownictwie dojść do wychowywania w takiej szkole stosunkowo inteligentnych pracowników. Oczywiście wielką uwagę należałoby zwracać przy przyjmowaniu kandydatów do szkoły na ich moralność. Chłopców wątpliwej wartości moralnej, wykołajeńców jakichś, lub wogóle nie wiedzących co ze sobą robić i dlatego tylko pchających się do szkoły, należałoby absolutnie do niej nie przyjmować.

Po ukończeniu szkoły i odbyciu odpowiedniej praktyki, mógłby już wychowanec jej zabrać się do pracy oświatowo-rolniczej, tylko oczywiście na terenie nie nazbyt wielkim, np. w części powiatu. Naturalnie, że ludzie tacy nie byłiby dostatecznie ukwalifikowani do kierowania akcją oświatową — na to zawsze trzeba byłoby mieć fachowców nie tylko z wyższym wykształceniem, ale i specjalnie uzdolnionych do tego rodzaju pracy, odznaczających się szeroką wiedzą i gruntowną znajomością stosunków rolniczych kraju.

Założenie nowej zupełnie szkoły instruktorów rolniczych byłoby połączone z wielkimi trudnościami zarówno pod względem materialnym, jak i technicznym. O wiele prostsze byłoby przekształcenie jednej z obecnych szkół niższych rolniczych na tego rodzaju zakład. Nie wymagałoby to ani wielkiego nakładu pieniężnego ani trudności w wyszukaniu sił nauczycielskich.

Założywszy taką szkołę, moglibyśmy dojść do wypuszczania z niej coroku kilkunastu ukwalifikowanych już instruktorów rolniczych, a chociaż część z nich odpadałaby, szukając zatrudnienia na innych polach pracy, to przecież z pozostałych utworzyłby się z biegiem lat liczny zastęp dobrze wyszkolonych pracowników.

Akcja społeczno-rolnicza z natury rzeczy prowadzona jest w każdym kraju mniej lub więcej chaotycznie: zagarnia ona ogromne pole pracy, której normalnie tylko w części podołać jest w stanie; powstają więc liczne instytucje, poświęcone tej pracy — jedna bierze się do tej rzeczy, druga do innej, następnie każda z nich rozszerza zakres swego działania aż do zetknięcia się z zakresem pracy bratniej instytucji, przy czym zamiast współdziałania powstaje często dosyć oryginalna konkurencja. Taka chaotyczność pracy, brak porozumienia się ogólnego cechuje w znacznym stopniu całą akcję społeczno-rolniczą i w Galicji. Powołane są do niej tutaj instytucje może niezbyt liczne, ale za to nie pozostające niemal zupełnie w kontakcie ze sobą, co oczywiście znacznie utrudnia ich działalność oraz obniża jej wydatność.

Zinstytucji naszerzą skalę zakrojonych, a nadających całej akcji społeczno-rolniczej ten lub inny kierunek, wspomnę tutaj dla orientacji w dalszym wykładzie o Towarzystwach rolniczych i o Towarzystwie Kółek rolniczych.

Towarzystw rolniczych mamy w Galicji dwa: c. k. Towarzystwo gospodarskie we Lwowie, rozciągające działalność swą na całą część wschodnią kraju i c. k. Towarzystwo rolnicze krakowskie — na część zachodnią. Obydwa towarzystwa te mają ten sam zakres działania. W ścisłym znaczeniu tego słowa nie są to właściwie towarzystwa rolnicze, a prędeż może organa administracji rolniczej. Z biegiem czasu zatraciły one niemal zupełnie cechę zrzeszeń rolniczych, mających na celu podnoszenie kultury rolnej przez prowadzone tą lub inną drogą szerzenie wiedzy rolniczej pomiędzy członkami swojemi. To byłoby niejako klasycznym zadaniem towarzystw, przyczym cała ich praca powinnaby opierać się na współdziale w niej członków, fundusze zaś do niej też członkowie dostarczać by musieli. Obecnie jednak nic podobnego w towarzystwach naszych nie znajdujemy: całą niemal swoją działalność prowadzą one przez płatnych funkcjonariuszy, lwiał zaś częścią tej działalności jest zużytkowywanie przeznaczanych przez rząd i kraj fundusów na popieranie czynne kultury rolnej — w pierwszym rzędzie na podnoszenie hodowli przez zakładanie obór i chlewni zarodowych, utrzymywanie stacji buhajów i t. p. Na własną rękę na większą skalę prowadzą towarzystwa te tylko handel towarami, spożywanymi i produkowanymi przez gospodarstwo rolne. De facto jednak ta gałąź ich pracy coraz bardziej staje się samodzielną, wybijającą się z pod władzy towarzystw. Praca oświatowa ich jest dosyć nikła.

Organizacja wewnętrzna obydwu towarzystw rolniczych jest również bardzo do siebie zbliżona: Towarzystwo gospodarskie we Lwowie, bardziej centralistyczne, niż Towarzystwo krakowskie, kierowane jest przez komitet od którego dosyć ściśle zależą t. zw. Oddziały

towarzystwa, obejmujące jeden lub parę powiatów. Członkami oddziałów, a więc i towarzystwa są miejscowi ziemianie, częściowo włościanie i Kółka rolnicze. Rady oddziałów tych często są niemal tylko wykonawcami zleceń komitetu, chociaż mogłyby w razie czego zdobyć sobie nawet znaczną autonomię. Brak dążności do tej autonomji czyni z nich niejako filje komitetu.

Towarzystwo rolnicze krakowskie, również kierowane przez komitet, ma także pod sobą szereg oddziałów, które jednak mają tutaj o wiele więcej samodzielności, noszą też nazwy »Towarzystw rolniczych okręgowych«. Nie zmienia to jednak charakteru działalności towarzystwa. Wogóle o tej działalności można powiedzieć, że jest ona prowadzona dosyć wadliwie przeważnie z powodu nader ograniczonej ilości personalu: towarzystwa te obracają funduszami ogromnemi, pracę prowadzą na skalę bardzo wielką a ludzi do prowadzenia jej mają bardzo mało, musi więc ich działalność szwankować, musi cierpieć na brak odpowiedniej decentralizacji.

Zupełnie odmienny od Towarzystw rolniczych charakter nosi Towarzystwo Kółek rolniczych. Jest to związek rozsianych po całym kraju drobnych Kółek rolniczych, obejmujących zazwyczaj nie więcej, niż jedną gminę. Członkami Kółek tych są włościanie, a częściowo i jednostki z inteligencji, ci jednak przeważnie w roli protektorów. Idealnym celem Kółka rolniczego jest szerzenie oświaty zawodowej pomiędzy swemi członkami, budzenie w nich poczucia potrzeby zrzeszeń, dawanie inicjatywy i zakładanie wszelkiego rodzaju spółek, oraz działanie wspólne. Kółka te mogą łączyć się w związki powiatowe, na czele których stoją Zarządy powiatowe. Znowuż idealnym celem tych zarządów jest pomoc Kółkom w ich pracy, zakładanie no-

wych Kółek, budzenie do życia starych. Na czele wszystkiego stoi Zarząd Główny we Lwowie. Widzimy więc, iż Towarzystwo Kółek rolniczych w rzeczy samej jest towarzystwem rolników, które w pierwszym rzędzie ma na celu podniesienie oświaty zawodowej członków swoich. Oczywiście jednak nie może ono ograniczać się tylko do tej pracy, a nawet pierwotnie akcja w tym kierunku zepchnięta była na plan dalszy, w pierwszym rzędzie zaś stawiano organizację handlu: Kółka rolnicze utrzymywały licho prowadzone sklepiki spożywcze, zaś Zarząd główny zajmował się przeważnie pośrednictwem w handlu zwłaszcza w zakupnach zbiorowych, a prócz tego kontrolował funkcjonowanie sklepików wspomnianych. Akcja oświatowa była nader ograniczona, oparta na wydawaniu »Przewodnika Kółek rolniczych«, a później dopiero na utrzymywaniu także paru inspektorów rolniczych, którzy ostatecznie zorganizowani zostali w specjalne biuro rolnicze Zarządu Głównego. W ostatnich czasach coraz dobitniej występuje niedostateczność organizacji pracy oświatowej, coraz więcej odczuwać się daje potrzeba decentralizacji w tej pracy, skupienia jej w ręku odpowiednio ukwalifikowanych funkcjonariuszy w powiatach poszczególnych. Na razie jednak na utrzymywanie tych ludzi nie ma wcale środków, i to jest w obecnej chwili największą bolączką Towarzystwa Kółek rolniczych. De facto więc do dzisiaj Towarzystwo to większy wpływ wywiera na unormowanie handlu wiejskiego, niż na szerzenie oświaty zawodowej.

W dalszym ciągu instytucją kierowniczą w ruchu społeczno-rolniczym jest Patronat spółek włościańskich przy Wydziale krajowym. Patronat ten zakłada i opiekuje się kasami pożyczkowo-oszczędno-

ściowemi, włościańskimi spółkami mleczarskimi¹⁾ i wogóle zamierza rozszerzyć zakres swej działalności przez tworzenie spółek innego rodzaju np. magazynowo-zbożowych, torfowych i t. p. Instytucja ta jest prowadzona z wyjątkową w stosunkach galicyjskich sprężystością, co zawdzięczać należy wyłącznie jej kierownikowi Drowi Stefczykowi, dyrektorowi i twórcy Patronatu.

O innych instytucjach, biorących udział w akcji społeczno-rolniczej, mówić będę w odpowiednich ustępach rozdziału niniejszego. Tutaj musiałem wspomnieć tylko o towarzystwach kierujących tą akcją, aby tym łatwiej zorjentować się mógł czytelnik w rozglądaniu się w poszczególnych odłamach tej pracy. Dodam jeszcze, że do pracy społeczno-rolniczej zabierają się obecnie także dwa ruskie towarzystwa: »Proświta« i »Towarzystwo imienia Kaczkowskiego«.

Praca nad podniesieniem rolnictwa w kraju stale opierać się powinna na znajomości stosunków rolniczych i na wypracowanych metodach kultury rolnej. Gdzie niema znajomości tych rzeczy, tam nie może być i mowy o zupełnie celowej pracy, zawsze będzie wykazywała ona pewne braki i niedomagania.

Znajomość stosunków ekonomiczno-rolniczych opierać się musi na zbieraniu odpowiedniej statystyki. Mówiłem już o tej rzeczy w rozdziale I, tutaj więc zaznaczę tylko, że pomimo braków tej pracy, przecież materiału bardzo wiele daje już nam ona i tylko dział emigracji ludu rolnego leży zupełnie odłogiem.

Poznanie warunków naturalnych rolnictwa przedstawia się już o wiele gorzej. Klimat tylko zbadany

¹⁾ W ostatniej chwili opiekę nad spółkami mleczarskimi przelano na Biuro mleczarskie Wydziału krajowego.

został dosyć dokładnie, za to drugi ważniejszy od niego czynnik produkcji — gleba, wcale nie była dotąd systematycznie badana. Potrzeba badań pedologicznych jest pod każdym względem aż nadto widoczna: raz w celu wypracowania odpowiednich metod uprawy rolnej, po drugie dla lepszego oszacowania wartości poszczególnych gatunków ziemi i w końcu w interesie czysto naukowym. Już od kilku lat tułał się po Akademji Umiejętności, Zjeździe przyrodników i w prasie projekt założenia Instytutu geologiczno-pedologicznego we Lwowie. Oczywiście, że tylko założenie takiego instytutu, wyposażonego w środki odpowiednie, może złemu zaradzić. Dotychczas badania gleboznawcze na małą skalę prowadzą stacje doświadczalno-rolnicze Akademji rolniczej w Dublanach i Uniwersytetu Jagiellońskiego. Praca ich z natury rzeczy musi być stosunkowo bardzo ograniczona.

Bez znajomości gleb kraju nie może też być mowy o dokładnym opracowaniu metod uprawy poszczególnych płodów rolniczych. W krajach o kulturze rolniczej pierwotnej zwykle wypracowanie tych metod nie przedstawia wielkiej trudności — tam dopuszczalne są błędy nawet dosyć znaczne w technice rolniczej bez wielkiego uszczerbku wyniku finansowego gospodarki rolnej. W takich krajach każdy gospodarz zarówno większego obszaru, jak i fermer mniejszy, może sam łatwo dojść do takich metod uprawy, które mu maksymalny niemal dochód dadzą. Inna jest rzecz na terenie znacznie wyższej kultury rolnej. Tutaj uprawa roślin jest czynnością bardzo skomplikowaną i kosztowną; nieumiejętne wyzyskanie tego lub innego czynnika, zmniejszając może niezbyt wiele dochód brutto, może niemal w całości pochłonąć stosunkowo niewielki dochód netto. Dla przykładu weźmy np. użycie jakiego-

kolwiek nawozu sztucznego: niech kosztuje on na ha 40 koron. Jeżeli użyjemy go nie w miejscu, to cały wyłożony kapitał może zmarnować się zupełnie. Użycie więc tego nawozu zmniejszyło rentę tych pól, na które był stosowany, o całe 40 koron na hektarze — jest to często cała ta renta. Oczywiście więc, że w takich warunkach opracowanie planu użycia nawozów sztucznych i naturalnych, wyszukanie najlepszych odmian roślin na dane gleby, ocena wartości tej lub innej uprawy mechanicznej roli i t. p. — wszystko to ma ogromne znaczenie dla rolnictwa krajowego.

W Galicji pracę w tym kierunku prowadzą wspomniane już dwie stacje rolnicze doświadczalne. Zakładają one w różnych częściach kraju pola doświadczalne, przyczym stacja dublańska prowadzi przeważnie tylko doświadczenia nawozowe, zaś stacja krakowska także próbuje wartości odmian różnych roślin. Mimo to jednak praca ta bynajmniej nie jest wystarczająca: Galicja jako teren napół górzysty posiada ogromną różnorodność gleb, które w dodatku, jakem mówił, nie są zbadane; oczywiście więc o wypracowaniu metod uprawy przez dwie tylko stacje na tak wielkim i różnorodnym terenie mowy być nie może. Każdy gospodarz inteligentny albo agronom, poświęcony pracy oświatowo-rolniczej, powinien sam sobie zdawać sprawę z potrzeb gleb, znajdujących się w jego terenie działania, powinien sam opracowywać najlepsze metody uprawy rolnej. O należytych zaś rozszerzeniu działalności stacji doświadczalnych rolniczych nie można nawet myśleć, musiałyby one bowiem stokroć szerszą akcję prowadzić, niż to czynią dzisiaj.

Metody hodowli inwentarza nie potrzebują może już tak szerokiej pracy naukowo-praktycznej, jak metody uprawy. Hodowla bydła opierać się powinna na

na stworzeniu odpowiednich ras bydła w kraju, względnie importowaniu tych ras z zagranicy i na opracowaniu metod żywienia. Jeżeli więc chodzi o akcję społeczną w tym drugim kierunku, to zaznaczyć tu mogę, że coraz więcej rozwija się prowadzona przez towarzystwa rolnicze kontrola mleczności obór i oparte na niej żywienie indywidualne bydła. Na razie akcja ta objęła zaledwie parę tysięcy sztuk bydła w kraju, a więc cenioną z punktu widzenia społecznego powinna być przeważnie jako opracowanie metody żywienia, a już mniej nieco jako akcja czynna.

Najważniejszym odłamem pracy społeczno-rolniczej jest bez kwestji działalność oświatowo-rolnicza w najszerszym słowa tego znaczeniu. Rozpada się ona na dwie zasadniczo różne kategorie: na działalność za pomocą szkół, czyli naukę systematyczną przeważnie młodzieży, i oddziaływanie na ludzi już starszych przez akcję odpowiednią powołanych do tego instytucji i organów władz. Jedna i druga praca wykazuje w Galicji braki wprost krzyżące, bez porównania gorsze od braków w każdej innej gałęzi akcji społeczno-rolniczej.

Rozejrzyjmy się najpierw w tej drugiej akcji, t. j. w szerzeniu wiedzy rolniczej pomiędzy rolnikami dojrzałymi.

Jeżeli chodzi o oddziaływanie na włościan, to oczywiście prym w tej pracy trzyma Towarzystwo Kółek rolniczych, będące de nomine niemal par excellence instytucją oświatowo-zawodową. Dydaktyczna praca prowadzona jest w nim przez utrzymywanych specjalnie w tym celu inspektorów rolniczych biura Zarządu Głównego, w mniejszym stopniu przez t. zw. powiatowych lustratorów Kółek rolniczych, następnie dorywczo

przez osoby prywatne i w końcu przez samych kierowników Kółek poszczególnych. Praca dydaktyczna inspektorów rolniczych jest naogół zorganizowana dosyć wadliwie: mieszkają oni we Lwowie, a za teren działania mają całą Galicję, albo w najlepszym razie jej część. Inspektor taki rzadko więc tylko może wyjeżdżać na zwiedzanie Kółek i wygłaszanie tam odczytów, co nieobeznany z tą pracą jednostkom wydaje się głównym celem działalności tych ludzi. Zwiedzanie takie byłoby stosunkowo zbyt kosztowne, a korzyści wielkiej daćby nie mogło, gdyż po przyjeździe do nieznanego dotąd wsi nie sposób jest zorjentować się w warunkach miejscowych do tego stopnia, by od razu wytknąć najważniejsze błędy gospodarstw, wyaleść najważniejsze ich potrzeby i zapoczątkować pracę jakąś, któraby ślad widoczny lustracji inspektora pozostawiła. Oczywiście, że zupełnie bez korzyści objazdy tego rodzaju dla Kółek zwiedzanych nie są.

O wiele już racjonalniejsze są objazdy Kółek w przeznaczonym z góry celu, np. dla zakładania spółek meljoracyjnych, poprawy pastwisk, organizacji spółek mleczarskich, zakładania gnojowni wzorowych i t. p. W takich wypadkach zwykle Kołko rolnicze zgłasza się specjalnie z prośbą o wydelegowanie w tym celu inspektora rolniczego, który może już dokonać na miejscu jakiejś pracy definitywnej, a przy sposobności wygłosić odczyt, zbadać warunki miejscowe i t. p.

Bezpośrednia praca dydaktyczna częściej prowadzona jest na t. zw. zjazdach powiatowych Kółek rolniczych. Zjazdy te obsyłane bywają zwykle dosyć licznie, łatwiej więc poświęcić jest koszta podróży inspektora na taki zjazd, aby wygłosił przed licznym audytorjum odczyt o jakiejś kwestji najbardziej w danej chwili i danym miejscu aktualnej. Oprócz tego na

zjazdach takich często wygłaszane bywają odczyty przez ludzi prywatnych albo członków Zarządu Głównego Towarzystwa lub Zarządu powiatowego.

Prócz tego od pewnego czasu, za pośrednictwem swych inspektorów Zarząd Główny Kółek rol. organizuje kilkudniowe kursa rolnicze w różnych częściach kraju, przyczym największym powodzeniem cieszą się kursa weterynaryjno-hodowlane. Prowadzenie ich połączone jest z dość znacznymi kosztami, ale za to jest to najbardziej solidna praca dydaktyczno-oświatowa, zwłaszcza przy wyszkoleniu odpowiednim prelegentów.

Zarządy powiatowe, istniejące, nawiasem mówiąc, w części zaledwie powiatów Galicji, utrzymują zwykle wspomnianych wyżej lustratorów czyli instruktorów Kółek rolniczych. Po większej części są to ludzie zupełnie w kierunku swej pracy nie wyszkoleni, często nawet wogóle o rolnictwie słabe pojęcie mający. Poświęcają oni zresztą na tę pracę zwykle czasu bardzo mało, za to też płatni są za nią niezmiernie nisko: często np. Zarząd Powiatowy na rozjazdy i wynagrodzenie swego lustratora lub dwóch, a nawet trzech lustratorów posiada rocznie 300 lub 400 koron. Lustratorowie ci rekrutują się w głównej mierze z nauczycieli ludowych, z inteligentniejszych włościan i t. p.

W Poznańskim Kółka rolnicze ani inspektorów, ani lustratorów nie posiadają—tam kierują nimi światlejsi obywatele przeważnie ze sfery ziemian, tam więc też praca ta jest prowadzona u podstaw w samym Kółku przez człowieka miejscowego. W Galicji jest inaczej: tutaj pracy dydaktyczno-oświatowej na miejscu w Kółku dużo być nie może, gdyż najczęściej nie posiada ono obeznanego z rolnictwem kierownika inteligentnego. Sfery ziemiańskie w Galicji odsuwają się zwykle od pracy w Kółkach, jeżeli więc i posiada

Kółko kierownika inteligentnego, to jest to albo ksiądz, albo częściej jeszcze nauczyciel ludowy, a więc nie rolnik. Często zaś Kółko wcale kierownika takiego nie posiada. Praca więc oświatowa na miejscu w każdym poszczególnym Kółku musi z natury rzeczy kuleć, a akcji dydaktycznej najczęściej nie znajdujemy wcale.

Prócz tego w pracy dydaktyczno-oświatowej pomiędzy ludem częściowo udział biorą instruktorowie rolniczy stacji doświadczalnej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Objeżdżają oni zakładane w różnych wsiach półka doświadczalne tej stacji i przy sposobności wygłaszają odczyty i pogadanki.

Co się tyczy szerzenia wiedzy zawodowej z dziedziny ogrodnictwa i sadownictwa, to oprócz utrzymywanych kilku specjalistów przez Tow. rolnicze i Tow. Kółek rolniczych, w ostatnich czasach niektóre Rady powiatowe zaczęły dawać fundusze na utrzymywanie objazdowych ogrodników powiatowych. W każdym razie i w tym kierunku praca oświatowa wykazuje braki olbrzymie.

Drugim rodzajem pracy oświatowej jest słowo drukowane. Najszerszą działalność i zapewne najowocniejszą prowadzi »Przewodnik Kółek rolniczych«, organ Tow. Kółek roln. Jest to pismo, wychodzące trzy razy na miesiąc, poświęcone szerzeniu wiedzy zawodowej między włościanstwem. Rozchodzi się ono w blisko 5000 egzemplarzy i przez to samo ma już wpływ na szersze masy ludności. Przypuszczam, że liczy ono przynajmniej 20.000 czytelników, gdyż każdy egzemplarz »Przewodnika« czytany jest nie przez jednego, lecz przez kilku lub kilkunastu ludzi. Z drugiej jednak strony są miejscowości, gdzie pismo to zupełnie nie jest czytane, nawet nie wyjmowane z opasek. Oczywiście powodem

tę jest brak oświaty i zaufania do słowa drukowanego, chociaż częściowo przyczyna leży może i w samej technice redakcji: Chodzi o to, że Przewodnik jest za obszerny, pomieszcza artykuły bardzo długie, a co najgorsza, przez kurtuazję zbytnią przeładowany jest stale mocno gadatliwymi sprawozdaniem i zjazdów powiatowych, z Kółek poszczególnych i t. p. Przy wprowadzeniu pewnych zmian »Przewodnik« stałby się wiele przystępniejszy czytelnikom swoim i zjednywałby coraz szersze ich zastępy. W każdym razie, dostrzegając wady powyższe pisma tego, muszę przecież przyznać, że rolę swoją spełnia ono już i teraz, rolę tym wybitniejszą, iż musi zastępować potworne braki w pracy dydaktyczno-oświatowej.

Poza »Przewodnikiem« słowo drukowane treści rolniczej dostaje się do chat włościańskich przez zakładane przy każdym Kółku rolniczym biblioteczki i sprzedawane poszczególnym jednostkom książki i broszurki rolnicze. Chłop rzadko kiedy zdobywa się na wypisanie sobie książki i to nie przez oszczędność, lecz wskutek tego, iż nie widzi tego, co kupuje. Bardzo praktycznym okazał się przeto sposób wożenia tych książek na kursa wędrowne Tow. Kółek rolniczych, na których pomiędzy kilkudziesięciu np. słuchaczami udaje się nieraz rozsprzedać książek za 80 i więcej koron.

Mimo to akcja książkowo-oświatowa posiada jeden brak ogromny: oto nie mamy niemal wcale porządnie ułożonych dziełek rolniczych popularnych. Literatura nasza odnośna wykazuje stale niemal ten sam brak — mianowicie książeczki dla ludu odznaczają się niezmiernym ubóstwem treści, i tylko kilka albo kilkanaście najwyżej można uznać za odpowiednie. Wyda-

wanie nowych dziełek nie zaradziłoby tu złemu, nagromadziłoby bowiem tylko jeszcze więcej balastu. Wogóle trzeba zrozumieć, że napisać dziełko popularne nie jest wcale rzeczą łatwą: jeżeli ktoś nie ma daru wyrażania swych myśli w sposób jaknajbardziej przystępny, jeżeli nie potrafi w rozumowaniu swym posługiwać się psychiką umysłu mało rozwiniętego, a wątek myśli wiązać zechce podług psychiki własnej, to niech się do pisania dziełek popularnych nie bierze!

Moim zdaniem, dobrym sposobem na stworzenie odpowiedniej literatury popularno-rolniczej byłoby ogłoszenie w wysokie premje zaopatrzonego konkursu na kilka dziełek popularnych, a następnie po upatrzaniu przez taki konkurs autorów, mających dar pisania tego rodzaju rzeczy, zachęcenie ich przez wysokie honorarja do całego szeregu innych prac. Możeby np. Macierz Polska mogła zdobyć się na tego rodzaju akcję?

Od nauczania bezpośredniego lepiej nieco przedstawia się praca oświatowo-demonstracyjna, prowadzona za pomocą szeregu rozmaitych doświadczeń polowych, łąkowych i pastwiskowych na gruntach włościańskich. Doświadczenia te prowadzi na dość wielką skalę Zarząd Główny Tow. Kółek rol., a częściowo i stacja doświadczalna rolnicza Uniwersytetu Jagiellońskiego. Doświadczenia te mają na celu wykazanie gospodarzom korzyści i sposobów użycia wszelkiego rodzaju nawozów sztucznych, zapoznanie ich z nowszymi lub nieznanymi im odmianami roślin uprawnych, wykazanie korzyści tego lub innego sposobu uprawy i t. p. — Cała ta praca pochłania fundusze dosyć znaczne, chociaż nie tak wielkie, jakby na nią wyłożyć należało, w każdym razie już i przy tych rozmiarach byłaby nader owocną, gdybyśmy posiadali więcej sił pracy dydaktyczno-oświatowej poświęconych. Wobec braku od-

powiednich instruktorów powiatowych dużo funduszków marnuje się, nie odnosząc skutku należytego.

Praca zawodowo-oświatowa pomiędzy ziemianami czyli właścicielami większych posiadłości prowadzona jest u nas w znikomym małych rozmiarach. Towarzystwa rolnicze i ich oddziały ograniczają się do urządzania od czasu do czasu zebrań ogólnych, gdzie oprócz omawiania spraw administracyjnych, wygłaszane bywają zwykle odczyty z dziedziny rolnictwa. Prócz tego Towarzystwa te wydają dwa pisma fachowo-rolnicze: »Rolnika« (Lwów) i »Tygodnik rolniczy« (Kraków) — następnie popierają i wydają na własną rękę niektóre książki rolnicze. Czasami prócz tego przez swych fachowców inspektorów udzielają one porad zgłaszającym się o to ziemianom. Na tym właściwie ich działalność oświatowa kończy się. Z drugiej strony potrzeba tej działalności jest dosyć silnie odczuwaną, czego też wynikiem było zawiązanie kilku t.zw. »Kół zjazdów rolników« albo »Kółek ziemian«. Koła te są zrzeszeniami niewielkiej ilości gospodarzy rolnych większych, za cel swój mają w pierwszym rzędzie wzajemne wspieranie się radą i nauką. Cel ten osiągnąć bywa w sposób nader wybitny, a to głównie wskutek wprowadzenia do tych kół życia towarzyskiego: zebranie Koła często nie tylko jest zebraniem zawodowym lecz i towarzyskim; to w znacznym stopniu zbliża ludzi do siebie i tym lepsze owoce pracy oświatowej osiągnąć pozwala. Szerzy rozwój Kółek ziemian może z czasem odegrać bardzo ważną rolę w akcji społeczno-rolniczej pomiędzy ziemianstwem naszym, zwłaszcza w akcji, na czystej samopomocy opartej. Koła te zorganizowane są w »Związek Kółek Ziemian«, który zapewne nie omisszka i wpływu na obronę interesów zawodowych wyrzeć.

Drugą gałęzią działalności oświatowo-rolniczej jest wspomniana już praca szkół.

Szkół rolniczych zawodowych posiadamy w Galicji: dwie wyższe: Akademię rolniczą w Dublinach i studjum rolnicze Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, 1 szkołę średnią w Czernichowie, 7 szkół niższych i 2 zimowe. O szkołach wyższych i Czernichowie nie chciałbym tutaj nic mówić, ponieważ wytykanie ich braków jest kwestją zanadto teoretyczną, tycząca się wogóle zasad wyższego nauczania rolniczego. Prasa nasza zawodowa poświęca sprawie tej sporo miejsca, zwłaszcza »Rolnik«, a prócz tego prof. Klecki zebrał obszerną ankietę; mimo to wyników konkretnych dyskusja ta nie dała.

Szkoły niższe przeznaczone są częściowo do kształcenia niższych oficjalistów rolnych, a częściowo gospodarzy-włościan. O ile zadaniu pierwszemu odpowiadają one dosyć dobrze, o tyle drugie zupełnie chybia celu, gdyż na rolę wraca zaledwie kilka byłych uczni z całej, wypuszczanej coroku przez wszystkie szkoły ilości chłopców. Wogóle każdą szkołę kończy mniej więcej dziesięciu do dwunastu uczni rocznie.

Jeżeli więc chodzi o szerzenie oświaty przez szkoły te między ludnością włościańską, to wywiązują się one z zadania swego zupełnie źle. A jednak niższe szkoły rolnicze powinny byłyby mieć na to wpływ bardzo szeroki, powinny coroku wypuszczać odpowiednią ilość uczni ukończonych, którzy, wracając na zagon ojczysty, nie tylko by sami dobrze gospodarzyć potrafili, ale i innym służyliby przykładem.

Kurs szkół tych jest trzyletni, przyczym bardzo dużo mają one zajęć praktycznych, zaś z nauk teoretycznych, oprócz nauk fachowych, wykładane są i przedmioty ogólnokształcące — język polski, arytmetyka

i inne. Kopciuszkciem w szkołach tych jest stale nauka ogrodnictwa, nie wykładana w niektórych wcale. Jeżeli chodzi o kształcenie włościan-gospodarzy, to jest to błąd kardynalny programu, ogrodnictwo bowiem i warzywnictwo posiadają przed sobą w Galicji, być może, świetną przeszłość, a więc i w szkołach powinny być traktowane bardzo szeroko, nie mniej, niż nauka rolnictwa i hodowli.

Dwie szkoły rolnicze zimowe przeznaczone są dla młodzieży włościańskiej sąsiadujących ze szkołami wsi (szkoły znajdują się w Lubczy powiatu pilzeńskiego i w Tęgoborzu pow. sądeckiego). Prowadzone są one każda przez jednego tylko nauczyciela, który latem jest nauczycielem wędrownym rolnictwa. Szkoły takie mogłyby wywiązywać się wcale dobrze z zadania swego, gdyby miały większy personal nauczycielski. W obecnych warunkach rozwijają się one dosyć słabo, chociaż zupełnie bez znaczenia nie są.

Prócz tego nauka rolnictwa wykładana jest na kursach dopełniających rolniczych w szkołach ludowych. Kursy te, utworzone dotychczas przy 30 szkołach, prowadzone są przez nauczycieli, którzy odbyli specjalne roczne studia rolnicze, organizowane przy szkole rolniczej w Suchodole, a w ostatnim roku przy Akademii dublańskiej. Kursy dopełniające nie odnoszą jednak rezultatu zbyt wielkiego, ponieważ do nauki fachowej rolniczej najbardziej nadaje się młodzież powyżej lat 18, a już w znacznie mniejszym stopniu starsze dzieci w wieku szkolnym.

Prof. Bujak w pracy swej (»Galicja«), podnosząc myśl potrzeby gruntownej organizacji pracy oświatowo-rolniczej, stawia projekt założenia szeregu specjalnych »instytutów rolniczych«, gęstą siecią obejmujących całą Galicję. Instytut taki składałby się z 1) szkoły rol-

niczej w zimie dla chłopców, na wiosnę dla dziewcząt, 2) fermy wzorowej, 3) pola doświadczalnego, 4) laboratorium chemicznego, 5) ze szkółki i ogrodu sadowniczo-warzywnego. Personal zaś tego instytutu: 1) z rolnika (uprawa roli i organizacja gospodarstwa), 2) hodowcy (mleczarstwo, hodowla tudzież leczenie bydła), 3) chemika (gleba, nasiona, nawozy, pasza), 4) ogrodnika, 5) ekonomisty (assocjacje, rachunkowość, informacje handlowe).

Zdaniem autora instytuty te, rozciągające działalność swą na jeden, a najwyżej dwa powiaty, prowadziłyby oprócz szerokiej działalności oświatowej, także pracę administracyjną w akcji społeczno-rolniczej. Jako sposób zachęcenia włościan do posyłania swych dzieci do szkoły zimowej instytutu proponuje autor danie uczniom tej szkoły pewnych ulg wojskowych.

Krytykując projekt ten z zasadniczego punktu widzenia, trzeba przyznać, że jest on nader celowy, doskonale organizujący całą akcję oświatowo-rolniczą, a w znacznym stopniu ułatwiający i wogóle całą akcję społeczną ku podniesieniu rolnictwa. Nie zgodziłbym się tylko na myśl zakładania tak gęstych laboratorjów chemiczno-rolniczych i na utrzymywanie specjalistów chemików. Nie wiem, czy autor zna dobrze laboratorja chemiczno-rolnicze i pracę w nich. Laboratorjum takie może tylko wtedy pracować ekonomicznie, gdy ma pracy wiele, nawet powiedziałbym, bardzo wiele: małe laboratorja chemiczne marnowałyby siły pracowników swych, raz wskutek zmuszania ich do wykonywania analiz po jednej lub parę zaledwie naraz, a po wtóre wskutek wielkiego ubóstwa w kosztowne środki i urządzenia pracowniane. Wobec tego rozstrzelanie pracy takiej na liczne laboratorja nie miałyby racji bytu.

Tak samo za bezcelowe uważałbym trzymanie w instytucie prof. Bujaka »ekonomistów« — świątły »rolnik« mógłby z powodzeniem rolę tegoż wziąć na siebie, ze znacznym przez to zaoszczędzeniem kosztów.

To były zarzuty teoretyczne. O wiele cięższe od nich muszą być zarzuty natury praktycznej. Skąd byśmy wzięli na zakłady te ludzi i środki? Sam prof. Bujak twierdzi, iż funkcjonariusze instytutów musieliby oprócz wiedzy gruntownej odznaczać się jeszcze wielu innymi zaletami. Ludzi takich przedewszystkiem nie mamy wcale. Nawet jeżeli byśmy stypendjami zachęcili część młodzieży do poświęcenia się pracy tego rodzaju, to przecież nie mielibyśmy jeszcze pewności, iż ludzie ci po uzyskaniu tych posad nie staną się zwykłymi biurokratai, których wcale praca ich nie interesuje, a wykonywają wszelkie czynności z musu tylko. Po co się ludzi? Przecież żyjemy w Galicji nie w Anglii! Z drugiej strony choćbyśmy, patrząc różowo na rzeczy, przypuścili, że zdobędziemy przecież zastęp ludzi dzielnych, trzeba byłoby ludziom tym dać wyposażenie, odpowiednie do ich wysokich kwalifikacji. Rachując, iż całkowite utrzymanie jednego takiego funkcjonariusza kosztowałoby 6000 koron rocznie, trzebaby było na to tylko mieć w każdym instytucie 30.000 koron (na pięciu), niech inne koszta wraz z amortyzacją i oprocentowaniem wkładów wyniosłyby jeszcze 20.000, to razem utrzymanie jednego instytutu kosztowałoby okrągło 50.000 koron. — Nie przeczę, że nawet przy niezbyt świetnym prosperowaniu takiego instytutu, jeszcze by się ten nakład społeczeństwu opłacił; ale przecież tych środków nie posiadamy i jeszcze nie prędko posiadać będziemy. Wprawdzie co jest sprawą opłacającą się, może być też śmiało finansowe, albo nawet powinno być finansowane — jest to jednak teoria — w praktyce

finansuje się tylko wtedy wszelkie rzeczy, gdy się ma na to środki. Praca społeczno-rolnicza leży odłogiem; żeby ją »sfinansować« potrzeba wielu wielu milionów. Opłaciłyby się miliony te sownie; cóż z tego jednak, kiedy społeczeństwo nie tylko nie może dać tego wszystkiego, ale nawet nie chce dać tego, co by mogło! Kreśląc więc plan sanacji pracy społeczno-rolniczej, trzeba zabierać się do budowania tych rzeczy, które mniej nakładu potrzebując, są mimo to celowe, nie są jeszcze przez swą małą kosztowność tak rozpowszechnionymi u nas paljatywami.

W każdym razie obecne nasze szkolnictwo rolnicze wykazuje, jakem mówił, tyle braków względem potrzeb ludności włościańskiej, że zmiany pewnej albo uzupełnienia wymaga gwałtownie. W ostatnich czasach coraz częściej dają się słyszeć głosy, nawołujące do zakładania szkół zimowych, tak rozpowszechnionych w Czechach i na Morawach. Że szkoły zimowe, rozrzucone gęsto po kraju, nawet bez połączenia ich z całokształtem działalności instytutów prof. Bujaka mogłyby odnieść korzyść niewątpliwą, temu zaprzeczyć się nie da. Z drugiej jednak strony, nim nie mamy możliwości prowadzenia szerszej akcji oświatowej pomiędzy ludźmi, siedzącymi już na roli, szkoła zimowa nie wyda też owoców maksymalnych, ponieważ poświęcona tylko nauce teoretycznej, nie utrwali w pamięci swego wychowanka wszystkich wykładanych mu nauk. Aby umysł surowy, jakim jest umysł chłopca ze wsi, mógł przyswoić pewne wskazówki z możliwością stosowania ich później w życiu, powinien on przedewszystkim zobaczyć na własne oczy, jak to zastosowanie wygląda. Gdy obok szkoły zimowej istnieje nauka wędrowna, tam sama szkoła jest niejako wstępem tylko do nauki dłuższej, przeważnie już na roli prowadzonej.

U nas moim zdaniem należałoby zamiast szkół zimowych, albo może obok szkół zimowych, zakładać szkoły o programie szerszym, gdzieby przyszli gospodarze rolni kształcić się mogli. Typem wzorowym jest dla mnie Pszczelin — szkoła rolniczo-ogrodnicza dla włościan pod Warszawą. Kurs nauki trwa tam 11 miesięcy (odpada grudzień); do programu wchodzi nauki ogólnokształcące, rolnictwo i hodowla z praktyką na fermie szkoły, ogrodnictwo, sadownictwo i pszczelnictwo również z szeroką praktyką, wreszcie stolarstwo. Nauczycielowie tej szkoły żyją i obcuja z uczniami, przez co oddziaływają na nich moralnie. Każdy z uczni przyjmowany jest tylko po podpisaniu zobowiązania, iż po ukończeniu szkoły wróci na zagon ojczysty, a nie będzie szukał zajęcia płatnego. Wiek uczni waha się od lat 18 do 30, a nieraz i wyżej. Ile razy bywałem w Pszczelinie lub wykładałem tam w zastępstwie), tyle razy mogłem podziwiać, jak świetne rezultaty wydaje ta szkoła: chłopcy pierwotnie dzicy i niesforni stopniowo pod wpływem ciągłego obcowania z nauczycielami stają się ogładzeni, obowiązkowi i wogóle budzi się w nich pewna solidność i przejęcie się pracą w szkole. Praca też ta jest bardzo urozmaicona i miła: nauka przerywana jest ciągle zajęciami praktycznymi w polu, w ogrodzie, w stolarni, ćwiczeniami straży ogniowej i gimnastyką. Każdy z uczni może do pewnego stopnia specjalizować się — jeden lubi stolarkę, to w wolniejszych chwilach będzie przesiadywał w stolarni, drugi ma zamiłowanie do pszczelnictwa — będzie więcej czasu pszczołom poświęcał; każdy jednak mimo to wykładów opuszczać nie ma prawa, każdy wykonywa też w swojej kolei i wszelkie prace w gospodarstwie. Po upływie 11 miesięcy uczeń zdolniejszy posiada zwykle oprócz wielkiej ilości wiado-

mości praktycznych jeszcze i znaczną dozę wiadomości teoretycznych; uczeń mniej zdolny mniej już ich posiada, w każdym razie praktycznie wyszkolony jest on znacznie, obeznany z metodami należytej uprawy i hodowli, z ogrodnictwem, pszczelnictwem i częściowo stolarstwem, umysł jego jest już przystosowany do przyjmowania wszelkiej wiedzy z zewnątrz.

Personal nauczycielski szkoły pszczelińskiej składa się z rolnika, ogrodnika, dwu nauczycieli nauk ogólnokształcących i stolarza; prócz tego kilku prelegentów dojeżdża (weterynarz, nauczyciel gimnastyki, katecheta i t. p.) Przy szkole jest internat na 60 osób stale zapelniony, a w ostatnim roku (1909) jest uczni nawet 72, zaś prócz tego kilkunastu pozostało z roku poprzedniego na kursach uzupełniających. Coroku więc opuszcza Pszczelin 60 uczniów, z których tylko mały procent nie wraca na rolę własną. Jeżeli zważymy że z 7 niższych szkół galicyjskich do gospodarstw własnych idzie coroku zaledwie kilkunastu chłopców, to się przekonamy, że jeden Pszczelin robi dla stanu włościańskiego kilkakrotnie więcej, niż wszystkie te szkoły razem wzięte.

Szkoły typu pszczelińskiego byłyby bezwarunkowo bardzo przydatne i dla Galicji, jest to bowiem szkoła, która daje zaokrąglony dosyć zespół wiadomości, każdemu rolnikowi potrzebnych. Zwłaszcza nauka ogrodnictwa jest gałęzią bardzo ważną. Być może, szkoły takie w Galicji do tak dobrych rezultatów, jak Pszczelin, nie dochodziłyby nigdy, tam bowiem występuje pewien czynnik bardzo ważny, który u nas wprowadzićby się nie dał — jest nim opłata za naukę i wikt w wysokości rb. 60. Gdy chłop lub chłopiec zapłaci taką kwotę, zaczyna on naukę cenić, stara się jaknajwiększą korzyść z niej wyciągnąć. Zresztą z powodu opłaty idą

tylko ci, którzy rzeczywiście uczyć się pragną. W Galicji wprowadzenie opłaty jest już niemożliwe wobec stale praktykowanej zasady nauczania bezpłatnego we wszelkiego rodzaju szkołach niższych.

Tak czy owak jednak założenie kilku szkół tego typu jest u nas nader wskazane. Kandydatów do tych szkół niewątpliwie nie brakłoby nigdy, ponieważ znaczną atrakcją byłby tu krótki termin nauki. Zapewne wielu gospodarzy zechciałoby oddawać dzieci swoje, a wielu młodych ludzi już samodzielnych na własną rękę by przychodziło.

Obok organizacji szkolnictwa rolniczego, należałoby zabrać się także do sanacji i organizacji pracy dydaktyczno-oświatowej. Należy wogóle sprawę tę tak postawić, by detaliczna praca społeczno-rolnicza, prowadzona obecnie przez Towarzystwo Kółek rolniczych i Towarzystwa rolnicze spoczęła w rękę specjalnych ludzi, przeznaczonych na teren jaknajmniejszy, np. na powiat albo pół powiatu, czyli dążyć do możliwej decentralizacji, co i w projekcie prof. Bujaka (str. 173) jest myślą przewodnią. W jaki sposób decentralizację ową przeprowadzić — to już zależy w pierwszym rzędzie od środków, jakie można byłoby na to zdobyć. Ponieważ jednak, jak mówiłem, środków wielkich zapewne mieć szybko nie będziemy, przeto oprzeć tę decentralizację należałoby w znacznej części na pracownikach o niewysokich wymaganiach, a więc np. na instruktorach rolniczych, którychby wychowywała projektowana przezemnie szkoła specjalna. Kontrolę nad temi instruktorami i dawanie dyrektywy w pracy musieliby mieć specjaliści urzędnicy albo instytucje całe — powiatowe lub większy okręg działania obejmujące, zależnie od funduszków na nie. W ten sposób można byłoby mieć wszędzie pracowników do prowadzenia

akcji dydaktyczno-rolniczej, a zarazem i wszelkiej działalności detalicznej Towarzystw rolniczych i Zarządu Głównego Kółek rol. Myśl powołania całej rzeszy takich instruktorów nie jest ani nową, ani do jej autorstwa nie mam najmniejszej pretensji. Kto ją pierwszy podniósł, powiedzieć tego nie mogę, w każdym razie w teorii mówiono stale o ludziach z wyższym wykształceniem fachowym, w praktyce zaś Zarząd Kółek rolniczych łąta tę rzecz ludźmi zupełnie nie ukwalifikowanymi.

Oprócz instruktorów rolniczych, w powiatach powinni być utrzymywani także instruktorowie ogrodnicy, co zresztą powoli zaczyna wchodzić już w życie.

Oprócz jednak stworzenia akcji dydaktyczno-oświatowej z góry, należałoby dążyć do zapewnienia każdemu Kółku rolniczemu mniej lub więcej inteligentnego i ukwalifikowanego kierownika na miejscu. Duchowieństwo mogłoby tutaj działać bardzo wiele, czego przykładem są obecnie nieliczne niestety Kółka, prowadzone przez dzielnych księży. W każdym razie z tej strony na pomoc ogólną liczyć nie można, gdyż praca ta wyłącznie tylko na dobrej woli jednostek opartą być może. Inna jest nieco rzecz z nauczycielstwem ludowym: przypuszczam, że wcale nie trudno można byłoby zachęcić je, by niemal in gremio zwróciło się do pracy społeczno-rolniczej. Na to trzeba ośbiście zainteresować w niej nauczyciela, a z drugiej strony wyrzucić na niego wpływ z góry. Sądzę, że o wiele celowsze, niż urządzanie dopełniających kursów rolniczych, byłoby utworzenie przy każdej szkole kilkumorgowego gospodarstwa z poleceniem, by nauczyciel starał się zrobić zeń gospodarstwo wzorowe. Niechby nauczyciel, posiadający takie gospodarstwo, miał przydzieloną trochę mniejszą, niż normalnie, ilość

godzin lekcji, a za to wymagać od niego można poświęcenia pewnego czasu pracy społeczno-rolniczej we wsi jego. Sądzę, że stworzenie takich gospodarstw szkolnych, a jednocześnie przyznanie ulg w lekcjach, takby zachęciło nauczyciela każdego do zajęcia się rolnictwem i ogrodnictwem, iż mógłby on być zupełnie dobrym kierownikiem Kółka. Trzeba pamiętać, iż nic tak nie podnosi energii człowieka, nic tak nie pobudza go do czynu i nie zachęca do życia i pracy, jak danie mu możliwości ciągnięcia bezpośrednich korzyści z wyłożonej pracy własnej, gdzie rezultat tylko od tej pracy zależy. Gospodarstwo szkolne byłoby jakby antidotum na deprymujące energję działanie pracy »przepisanej«. Przypuszczam, że nauka szkolna nie tyłkoby na tym nie ucierpiała, lecz zyskałaby wiele raz wskutek podniesienia się energii życiowej nauczyciela, powtóre przez rozszerzenie jego światopoglądu i inteligencji, jakie praca społeczna pośrednio lub bezpośrednio by mu dała. Należy więc dążyć, by Rada szkolna zdobyła się na zakupno odpowiednich parcel gruntu dla każdej szkoły. Wydatek byłby to na każdą szkołę stosunkowo nieznaczny, wyrażający się może cyfrą 100 do 200 koron procentów rocznych od wyłożonego kapitału, dobrobyt zaś pomiędzy nauczycielstwem podniósłby się przez to znacznie i zachęciłoby się ich do pracy. — Aby nauczycielom dać potrzebną dozę wiadomości rolniczych, oprócz nauki w seminarjach, należałoby organizować specjalne kursa wędrownie dla nich, np. tygodniowe lub dwutygodniowe, któreby mógł doskonale prowadzić choćby Zarząd Główny Kółek rol., jeżeliby Rada szkolna przyszła mu z pomocą finansową. — Takie postawienie kwestji byłoby, moim zdaniem, o wiele racjonalniejsze od bezcelowej w obecnych warunkach nauki dopełniającej rolnictwa. Na razie oddziaływać trzeba

na ludzi dojrzałych, nie na dzieci. Gdy już tamci zrozumieją potrzebę nauki rolniczej, zwrócić się można będzie i do dzieci, które wtedy nie będą zatracaly w domu tego, czego ich szkoła nauczy.

Bardzo ważną gałęzią akcji społeczno-rolniczej jest popieranie czynne gospodarstwa wiejskiego, zwłaszcza popieranie hodowli przez wybór lub wyprodukowanie odpowiedniej rasy zwierząt i rozpowszechnianie jej pomiędzy ludnością rolniczą. Prócz tego ta gałąź pracy obejmuje także rozpowszechnianie i hodowlę nowych odmian roślin.

Akcję hodowlaną prowadzą na wielką skalę oba Towarzystwa rolnicze, jest to nawet ich pracą najważniejszą. Prócz tego rząd bezpośrednio utrzymuje stacje ogierów.

Praca czynna towarzystw rolniczych w kierunku podniesienia chowu bydła skupia się głównie na utrzymywaniu całego szeregu stacji buhajów. Stację taką zakłada się w ten sposób, iż zgłaszającemu się hodowcy—członkowi towarzystwa daje ono swego buhaja, którego tenże obowiązany jest utrzymywać podług wskazówek Towarzystwa, pokrywać nim krowy sąsiadów za z góry oznaczoną opłatą, a za to po dwóch latach staje się jego właścicielem po zapłaceniu towarzystwu tylko połowy kosztów nabycia buhaja. W innych wypadkach, kwestja postawiona jest tak, że hodowca nie staje się wcale właścicielem buhaja, lecz pobiera wynagrodzenie za utrzymywanie tegoż w wysokości 120 koron i więcej rocznie. Stacji takich Tow. gospodarskie utrzymywało w r. 1908 528, Tow. rol. krakowskie 266, prócz tego subwencjonowały Tow. te buhai prywatnych pierwsze — 22, drugie — 135, w okręgu zaś działania Tow. Gospod. także Rady powiatowe subwencjonowały 74 buhaje.

Akcja ta musi być oczywiście oparta na celowym wyborze rasy dla danego okręgu i popieraniu w nim tylko tej rasy. Jest to można powiedzieć postulat sine qua non, bez którego o celowości pracy mowy być nie może. Mimo to Towarzystwa nasze nie zawsze przecież są w tym kierunku konsekwentne i nieraz dla błahych powodów miejscowych dają obok dwie rasy, a nawet trzy. Wogóle Tow. rolnicze krakowskie popiera rasę wschodnio-fryzyjską dla okolic nizinnych i rasę simentalską dla okolic wyżynnych; oprócz tego zaś proteguje nowo się tworzącą rasę bydła czerwonego polskiego. Tow. gospodarskie przyjęło dla okolic nizinnych rasę oldenburską¹⁾, a dla górskich też simentalską.

Co do tych ras wiele było sporów i zdań sprzecznych: niektórzy zarzucali im takie wady, inni znowu inne. W każdym razie zawsze pozostanie jedna wada bydła ras obcokrajowych, iż ono stopniowo się musi wyradzać, ciągle więc należy je poprawiać kosztownymi rozplodnikami importowanymi. Z tego powodu na uwagę zasługuje rasa czerwona polska. Istnieje obecnie towarzystwo hodowców tej rasy, zostające pod opieką Tow. rol. krakowskiego. Wszelkie dane każą przypuszczać, że dojdzie ono z czasem do rezultatów bardzo dobrych, tak że rasa ta może mieć świetną przyszłość przed sobą.

Aby mieć dostateczną ilość buhai, odpowiednich do stacji swoich, towarzystwa rolnicze utrzymują albo subwencjonują obory zarodowe, skąd też nabywają buhaje.

Akcja nad podniesieniem rasy trzody chlewnej prowadzona jest w sposób podobny. Towarzystwa zakładają stacje pojedynczych knurów, lub też dają na

¹⁾ Ostatniemi czasy zwrócono się także do holenderskiej.

warunkach ulgowych trójki trzody, złożone z dwóch loch i jednego knura. Prócz tego Tow. gospodarskie popiera hodowlę owiec, a Tow. krakowskie hodowlę kóz.

Praca ta Towarzystw rolniczych wykazuje oczywiście pewne braki. Bodaj że najważniejszym z nich jest brak porządnej organizacji i dozoru wskutek zbyt małej ilości funkcjonariuszy fachowych. Popieranie hodowli przez utrzymywanie stacji rozplodników wtedy tylko skutek maksymalny odnieść może, gdy każda ze stacji będzie umieszczona nie przypadkowo, lecz w zgóry obranym miejscu, aby obsługiwała miejscowości najbardziej do poprawy bydła nadające się. Z drugiej strony utrzymywanie buhaja wymaga wielkiej pieczołowitości i znacznych kosztów ze strony hodowcy. Aby więc przypilnować go i pokierować rozdawaniem buhai, knurów i t. p. musi być na miejscu człowiek fachowy, znający stosunki swego rejonu. Takim człowiekiem byłby np. powiatowy instruktor rolniczy. — Oprócz tego wspomniałem już, że często w akcję tę wkłada się błąd zasadniczy przez popieranie w tej samej okolicy dwu ras bydła: jest to nader zgubne, przez krzyżowanie bowiem np. fryzów z siementalerami wychodzą sztuki karykaturalne.

Wogóle jednak trzeba przyznać, że prowadzone przez Towarzystwa te popieranie w ten sposób hodowli jest może jedną z najbardziej owocnych prac w całej naszej akcji społeczno-rolniczej. Jest to praca zupełnie konkretna, a więc musi ona pozostawiać rezultaty widoczne i pozostawia je w rzeczy samej, co można zauważyć na coraz to lepszej jakości bydła w kraju. Dzielnym środkiem pomocniczym tej pracy jest ustawa hodowlana, która zakazuje właścicielom buhai pokrywać krowy cudze, jeżeli buhaj nie był przedstawiony

komisji licencyjnej i uznany przez nią za odpowiedniego do rozplodu. Prócz tego ustawa ta wymaga od gmin, gdzie niema buhai licencjonowanych, aby gmina własnym kosztem utrzymywała je w ilości odpowiedniej, rachując na 100 krów jednego buhaja.

Z rozdawaniami trójkami trzody chlewnej dzieje się zwykle jaknajgorzej, gdyż dla braku dozoru, hodowca często sprzedaje albo zabija otrzymane sztuki. W każdym razie i tutaj korzyść z tego jest większa, niżby się na pierwszy rzut oka wydawało, ponieważ choć jednego miotu gospodarz zwykle doczeka, a mając dobre prosięta, dochodzi do lepszej rasy, która stopniowo i w całej wsi się rozpowszechnia — jeżeli nie w czystości, to przynajmniej jako pół krwi.

Poprawę rasy koni rząd wziął bezpośrednio w ręce swoje przez utrzymywanie stacji ogierów. Towarzystwa rolnicze też utrzymują po kilkanaście ogierów, ale w porównaniu z ilością rozplodników rządowych bardzo nie wiele. Akcja rządowa, zmierzająca przeważnie do wytworzenia należytego materiału dla remont, nie jest przez to celową z punktu widzenia gospodarstwa rolnego: remonta wymagają innego materiału w koniach, a gospodarstwo rolne zwłaszcza chłopskie innego. Gdyby jeszcze za materiał remontowy płacono ceny wyższe, możnaby było uznać hodowlę koni takich za gałąź gospodarstwa dochodowego, w obecnych jednak warunkach rachunek skrupulatny niewątpliwie wykaże, że całkowity koszt wychowu źrebięcia na konia remontowego, z policzeniem wartości pracy gospodarza, ryzyka i t. p., wyniesie nieraz więcej, niż się za tego konia uzyska.

Aby uzdrowić te stosunki, jest jedna tylko rada — oprzeć należy i tę akcję na pracy instytucji krajowych, powołanych do podnoszenia hodowli zwierząt w kraju.

Rząd, chcąc mieć dobre konie na remonta, powinien podnieść ceny za nie płacone, a wtedy i bez sztucznego podtrzymywania tej gałęzi hodowli, znajdzie się dosyć gospodarzy, którzy konie należyte chować będą.

Hodowla drobiu, a częściowo i królików, wskutek wielkiego rozdrobnienia gospodarstw ma w Galicji już obecnie znaczenie pierwszorzędne. Wprawdzie na razie, dając już znaczny dochód brutto, niesie ona, być może, tylko minimalny dochód netto, albo nawet przyprawia gospodarstwo o straty, przy umiejętnym jednak postawieniu mogłaby przynosić korzyści nader okazałe. Aby dojść do tego należy rozpowszechnić odpowiedni materiał hodowlany. W tym kierunku działają specjalne towarzystwa hodowli drobiu (Jarosławskie, Lwowskie i in.), a także zajął się tym Zarząd Główny Tow. Kół. roln. i Komitety Towarzystw rolniczych. Rozpowszechniają one w ten lub inny sposób ulepszone rasy drobiu — kaczki przeważnie Peking, gęsi emdeńskie (choć zaniem specjalistki w tym kierunku, pani Stasiniewiczowej, lepsze by były pomorskie), kury zaś w ostatnich latach przeważnie krajowe t. zw. zielononóżki. Gorącą zwolniczką zielononózek jest wspomniana już pani Stasiniewiczowa, która w swej szkole chowu drobiu pod Rawą Ruską uszlachetnia tę rasę i zaleca ją wszystkim hodowcom. W styczniu zaś r. 1909 za jej inicjatywą zawiązał się klub hodowców zielononózek.

Hodowlę królików, która z czasem może stać się wcale zyskownym przedsięwzięciem drobnych gospodarstw, popiera Zarząd Główny Kółek rolniczych w porozumieniu z »Hodowlą królików« we Lwowie. Na razie akcja ta wielkich rezultatów jeszcze nie wydała.

Obok popierania czynnego hodowli akcja społeczno-rolnicza powinna popierać także czynnie i inne

gałęzie gospodarstwa wiejskiego przez rozpowszechnianie nowszych i uszlachetnionych odmian roślin uprawnych. Aby tego rodzaju praca mogła być należycie wykonywaną potrzeba mieć te uszlachetnione odmiany roślin. Pod tym względem Galicja wykazuje jednak dużo braków. Tylko produkcja odmian ziemniaków stoi u nas na poziomie wcale nie niższym, niż w Europie Zachodniej, mamy bowiem w swym kraju hodowlę p. Dołkowskiego w Nowej Wsi, który coroku daje całe serje świetnych nieraz odmian ziemniaków, zdobywających często pierwsze miejsce przy próbach porównawczych nawet przez stacje doświadczalne niemieckie prowadzonych. Gorzej już jest z hodowlą zbóż. Zajmują się nią dosyć liczne gospodarstwa, które jednak przeważnie zadawalniają się aklimatyzacją odmian zagranicznych lub uszlachetnianiem na małą skalę odmian miejscowych. Wobec tego silnie daje się odczuć potrzeba założenia instytutu hodowli roślin gospodarskich. Od lat też czterech, zdaje się, pokutuje myśl założenia tego instytutu w Dublinach przy katedrze rolnictwa. Czy prędko wejdzie w życie ten projekt — trudno przewidzieć; w każdym razie bez energicznego wystąpienia powołanych do tego osób trudno przypuszczać, aby Sejm coś zrobił: Austria nauczyła nas, że o wszystko trzeba »dobijać się«! Instytut taki byłby powołany nietylko do hodowli zbóż, lecz i do hodowli wszelkiego rodzaju roślin pastewnych, a zwłaszcza traw.

W każdym razie wyprodukowanie odmian ulepszonych samo jeszcze nie wystarczy do racjonalnego postępowania przy ich rozpowszechnianiu: prócz tego stacje doświadczalne powinny dać odpowiedź, w jakich okolicach i na jakie typy gleb jakie odmiany dawać. Jakem jednak mówił, stacje te absolutnie nie mogą podołać temu zadaniu, a gleby gruntownie nie są zba-

dane. Z konieczności więc należy na razie obywać się bez tej pomocy stacji.

Obecna akcja rozpowszechniania uszlachetnionych i nieznanych roślin gospodarskich prowadzona jest na skalę dosyć szeroką przez Towarzystwo Kółek rolniczych, następnie przez stację doświadczalno-rolniczą Uniwersytetu Jagiellońskiego, a w mniejszym już stopniu przez Towarzystwa rolnicze. Akcja ta połączona jest przeważnie z prowadzeniem pól demonstracyjnych.

Wogóle już i obecnie, nawet wobec wspomnianych braków kardynalnych tej akcji, wyniki jej są bardzo znaczne i nader zbawienne. Chłopi nasi mają przeważnie odmiany wszelkich roślin gospodarskich liche i zdegenerowane, gdy więc założy się we wsi poletko próbne z odmianami lepszymi, choćby nawet niezupełnie odpowiednimi do warunków miejscowych, rezultat bywa przeważnie uderzający, tak że odmiana ta odrazu zyskuje we wsi wielkie wzięcie. Mimo to wskutek wielkiej centralizacji pracy instytucji wspomnianych rezultat ten jest mniejszy, niżby mógł być przy istnieniu np. odpowiednich instytucji powiatowych, kierujących pracą na miejscu i zakładających doświadczenia takie po tych wsiach, które dotychczas wcale udziału w tym nie brały.

Jako wada rozpowszechniania obecnego uszlachetnionych odmian roślin gospodarskich podnoszoną bywa wywołana przez to wielka pstrokacizna towaru, zbóż zwłaszcza, gdyż jeden gospodarz ma taką odmianę, inny inną i t. d. Jest to, zdaje się, zarzut pozornie tylko rację mający, gospodarze bowiem nasi nie produkują dużo zboża na sprzedaż, aby pstrokaciznę towaru można było uznać za szkodliwą — owszem, im więcej będzie odmian w okolicy, tym łatwiej znajdzie się

między niemi zupełnie dla danych warunków odpowiednia.

Jedną z najpotężniejszych dźwigni gospodarstwa rolnego przodujących krajów Europy Zachodniej są kooperatywy rolniczo-gospodarcze. Praca w kierunku ich organizacji i prowadzenia istnieje u nas od dawna, tylko rozmachu należytego dotychczas jeszcze nie nabrała. Najstarszym i bardzo rozpowszechnionym, ale też i najbardziej spaczonym typem kooperatyw są w Galicji spółki spożywcze, a raczej handelki na małą skalę, które przy należytej organizacji powinny byłyby być spółkami spożywcami. Temi handelkami są osławione sklepiki Kółek rolniczych. — Osławione — gdyż one przez czas długi były widomą oznaką pracy społeczno-rolniczej pomiędzy włościanstwem, one były jakby pionierami tej pracy, a jednocześnie pracę tę w zarodku paczyły. Jeszcze lat dziesięć temu za właściwy cel Kółka rolniczego uznawano niemal jedynie utrzymywanie sklepiku. Gdy więc się Kółko zakładało, zakładano jednocześnie i sklep. Na tym też zwykle cała praca się kończyła: sklep rozwijał się mniej lub więcej pomyślnie, dając w jednym i drugim wypadku masę kłopotów kierownikom, w końcu różnemi drogami przechodził w ręce prywatne i stawał się przez to zwyczajnym interesem handlowym na małą skalę.

Pomimo jednak tak wadliwej organizacji swej, sklepiki te przecież bez znaczenia nie pozostały: nauczyły one wieś naszą, iż handel drobny może i w rękach chrześcijan spoczywać, wyrugowały dużo Żydów, drobnych pasożytów wiejskich, a w końcu będąc bądź co bądź skutkiem usiłowań wspólnych, zwłaszcza jeżeli były prowadzone na wspólny rachunek Kółka, były dobrą lekcją dla włościan pracy zrzeszonej.

Obecnie Zarząd Główny Kółek rolniczych propaguje usilnie myśl przetwarzania tych sklepików na właściwe kooperatywy spożywcze, gdzie od udziałów płaciłoby się tylko z góry oznaczony procent, zaś zysk sklepu rozdzielałby się pomiędzy odbiorców—członków Kółka w stosunku do zakupionych towarów. Jeżeli gdzie sklep tego rodzaju nie może się utrzymać, tam Zarząd Główny stara się odwieść Kółko wogóle od tego interesu. — Niewątpliwie przy umiejętnej pracy cała Galicja może pokryć się w ten sposób właściwymi kooperatywami spożywczymi.

Handlem kooperatywnym towarów sklepów Kółek rol. en gros był dotychczas Związek Handlowy Kółek rol. w Krakowie — organizacja zresztą dosyć luźno z Kółkami związana, chociaż oparta na współdzielczości. Obecnie handel towarami temi został przez Związek ten zaniechany. Wobec tego Zarząd Główny Tow. Kółek rolniczych przy swym biurze otworzył agencję handlową, która zapewne duże usługi Kółkom rol. oddać potrafi.

Prócz tego zawiązano przy współudziale Banku krajowego i Związku Handlowego Kół. rol. t. zw. »Centralne Towarzystwo handlowe«. — Będzie ono wyłącznie poświęcone handlowi en gros towarami mieszanymi sklepów Kółek rolniczych. Oparte jest ono również na zasadzie współdzielczości.

Jedna lub dwie instytucje centralne nie mogą jeszcze zaspokoić potrzeb po całym kraju rozrzuconych sklepów, zwrócono się więc w ostatnich czasach przy poparciu i częściowej inicjatywie Zarządu Głównego T. K. rol. do zakładania kooperatywnych składnic powiatowych, które w pierwszym rzędzie miałyby dostarczać towarów sklepikom wiejskim. Do chwili obecnej

założono już kilka składnic takich, a jeszcze kilka znajduje się w stadjum organizacji.

Sklepy Kółek rolniczych, łącznie ze »składnicami powiatowemi« i odpowiednią instytucją centralną zaspakajając mogą w pierwszym rzędzie potrzeby życiowe ludności wiejskiej, a w znacznie mniejszym już stopniu jej potrzeby gospodarcze, t. j. właściwie potrzeby gospodarstw rolnych. Zaspokojenie tych potrzeb, a więc dostarczanie maszyn i narzędzi rolniczych, nawozów sztucznych, pasz, nasion i t. p. z natury rzeczy zorganizowane być musi inaczej, niż handel towarem drobnym. Działalność kooperatywna we wsi przejawia się tutaj w zakupnach zbiorowych tych towarów, zwykle albo nawet wyłącznie pod opieką, a często i z inicjatywy Kółka rolniczego. Zakupna takie prowadzone bywają na własną rękę od jakiegobądź handlarza, albo, co częściej znacznie się zdarza, za pośrednictwem Zarządu Głównego Kółek rolniczych lub miejscowych Towarzystw rolniczych filjalnych. Rola Zarządu Głównego polega tylko na pośredniczeniu w tych zakupnach, dbaniu o jakość towaru i cenę jego. Dawniej Zarząd Główny K. rol. w roli takiego maklera zwracał się do rozmaitych kupców, wybierając towar najtańszy i najlepszy. Dzisiaj związany jest z przekształconym Związkiem Handlowym Kółek rol. (zupełnie zresztą nie słusznie tak się nazywającym), tak że większość towarów rolniczych, jak maszyny, nasiona, pasze i t. p. bierze od Związku.

Zresztą utworzona agencja handlowa pozwoli częściowo wyemancypować się z pod wpływu Związku handlowego. Przetym takie towary, jak nafta, węgiel i inne dostarczane były Kółkom rol. już i dawniej przez inne firmy za pośrednictwem Zarządu Głównego.

Związek Handlowy K. r. jest obecnie kooperatywą

w ścisłym słowa tego znaczeniu, wypłacającą odbiorcom (ale tylko członkom swoim) zwrot pewien zależnie od ilości wybranych towarów. Prowadzi on handel tylko towarami rolniczemi. Stały punkt oparcia jego jest Kraków, posiada jednak filje we Lwowie, Rzeszowie i Wieliczce.

Kółka rolnicze przeważnie nie są członkami Związku Handlowego, dlatego też z rozdziału zysków nie korzystają. Jest to więc wada zasadnicza obecnej organizacji tego handlu, z czasem jednak zapewne uda się ją usunąć. Wtedy też handel towarami rolniczemi oparty zostanie we wsiach naszych na właściwej kooperatywie odbiorców.

Dotychczas Związek Handlowy jest jeszcze instytucją dopiero się wkładającą do pracy, często więc naręza odbiorców swych na złe skutki nieudanych eksperymentów, nie dostarcza towaru na czas i wogóle funkcjonuje często wadliwie. Tylko usunięcie tych braków może zapewnić mu powodzenie i zrobić zeń instytucję naprawdę pożyteczną. Obecnie istnieje projekt połączenia Związku Handlowego z pokrewnemi z nim instytucjami — Syndykatem Towarzystw rolniczych w Krakowie i Oddziałem Handlowym Towarz. Gospodarskiego we Lwowie.

A więc z jednej strony sklepy Kółek rolniczych wraz ze składnicami powiatowemi i odpowiednią instytucją centralną, z drugiej ad hoc umawiający się członkowie Kółek rol. do sprowadzania za pośrednictwem Związku Handlowego K. r. towarów, dałyby dwie organizacje, które przy należytych uświadomieniu chłopa a umiejętnej pracy mogłyby obsłużyć każdą wieś galicyjską w dostarczaniu jej towarów potrzeb życiowych i gospodarczych.

Oprócz tych instytucji kooperatywą handlową

małej własności jest także zorganizowana za inicjatywą Dra Stefczyka i zostająca pod opieką patronatu Wydziału krajowego spółka magazynowa w Bochni i związane z nią kilkanaście mniejszych spółek rolniczych powiatu bocheńskiego. Spółka magazynowa przeznaczona jest do pośrednictwa przy sprzedaży zboża i innych płodów rolniczych, oraz przy zakupie pasz, nawozów sztucznych, nasion, maszyn i narzędzi rolniczych, węgla i t. p. Posiada ona własny śpichlerz z elewatozem w Bochni, a spółki drobne wiejskie również myślą o budowie śpichlerzy, a jedna już wystawiła nawet.

Jak widzimy więc, spółki te już nie tylko są kooperatywami zakupna artykułów potrzeb rolnictwa, lecz zajmują się także sprzedażą wyprodukowanych przez gospodarstwo płodów. Pierwotnie nawet projektowano główny nacisk na to położyć, warunki jednak życia, tworzące z chłopa naszego w znacznie większym stopniu konsumenta, niż producenta, wypchnęły na plan pierwszy działalność w dostarczaniu gospodarstwu potrzebnych mu materiałów.

Spółki te robią oczywiście konkurencję akcji opisanej wyżej, prowadzonej przez Związek Handlowy w porozumieniu z Zarządem Głównym K. rol. i Kółkami poszczególnymi. Za objaw jednak ujemny tego uważać nie można. Przeciwnie należy uznać za ogromnie pożyteczną próbę, która wykaże, czy nie lepszą będzie organizacja ścisła na tym polu, niż luźne prowadzenie tej akcji przez instytucje wspomniane. Przeciwno całej organizacji poprzedniej nieraz podnoszą się głosy, że jest ona z gruntu wadliwa, jako nie oparta (z wyjątkiem Związku Handlowego) na zasadzie handlu kupieckiego. Na ten zarzut rzeczywiście nic powiedzieć nie można — jest on zupełnie słuszny, gdyż organiza-

cja handlu, na dalszą metę obliczona, powinna mieć podstawy trwałe, powinna też opierać się o ustawy odnośne — o spółkach handlowych.

Olbrzymią przewagą wspomnianych spółek magazynowych jest to, iż prowadzą one także sprzedaż produktów swych członków. Sprzedaż ta nigdy wielką nie będzie wskutek małej pod tym względem produktywności wsi naszych, w każdym razie znaczenie może mieć bardzo wielkie, umożliwiając znaczną specjalizację produkcji: np. we wsi, gdzie rodzi się dobrze pszenica, może być ona uprawiana na większą skalę z uszczerbkiem żyta, które członkowie przez spółkę sprowadzą. Przypuszczam, że wogóle spółki takie mogłyby wyrwać gospodarstwa chłopskie ze stanu produkcji wszystkiego na własny użytek, a popchnąć je do produkcji tych materiałów, które największy dochód dają, zrobiłyby więc z nich przedsiębiorstwa kapitałistyczne.

Własność większa posługuje się przeważnie odrębnymi kooperatywami, t. zw. oddziałami handlowymi Towarzystw rolniczych. Oddziały te istnieją przy niektórych towarzystwach filjalnych Galicji Zachodniej. Na czele zaś ich stoi jakby instytucja centralna t. zw. »Syndykat Towarzystw rolniczych«, od którego jednak de facto wspomniane oddziały handlowe bynajmniej nie są zależne, pozostając tylko w stałym kontakcie handlowym. Syndykat towarzystw rol. prowadzi, jak Spółka Bocheńska, oprócz dostarczania towarów potrzebnych rolnictwu, także sprzedaż komisową produktów rolniczych, głównie zboża i spirytusu. Obrót handlowy wykazuje on znaczny, przekraczający już 6 milionów koron rocznie.

Na wschodnią Galicję istnieje przy Tow. gospodarskim we Lwowie Oddział handlowy, który również

prowadzi handel częściowo komisowy na własną rękę, obroty jego są jednak już znacznie niższe, niż obroty »Syndykatu Tow. rolniczych«.

Wszystkie te oddziały handlowe Towarzystw rolniczych w ścisłym słowa tego znaczeniu kooperatywami nazwane być nie mogą, noszą bowiem na sobie piętno podobnie luźnego stosunku z odbiorcami, jak Związek handlowy Kółek rolniczych.

Z kooperatyw sprzedaży produktów gospodarstwa wiejskiego w ostatnich czasach zawiązała się i szybko się rozwija t. zw. organizacja handlu materiałem rzeźnym. Właściwie mamy obecnie dwie takie organizacje — jedną przy Tow. rol. Krakowskim, drugą prowadzoną przez Zarząd Główny Kółek rol. w porozumieniu z Towarz. gosp. Ścisłej organizacji producentów nie ma tutaj wcale, zorganizowaną jest tylko sprzedaż na spółkę. Prowadzi się ją w sposób następujący: na różnych stacjach kolejowych, gdzie zachodzi tego potrzeba, ustanawia biuro centralne (Tow. rol. lub Zarz. Gł.) swego agenta, który ma przyjmować materiał rzeźny od producentów. We wsiach, które mają zamiar brać udział w sprzedaży zbiorowej, wybiera się z pomiędzy mieszkańców ich t. zw. mężów zaufania. Gdy taki mąż zaufania zbierze dostateczną ilość chętnych do ekspedycji swego towaru rzeźnego, zawiadamia o tym agenta, który przygotowuje wagon na mające przyjść sztuki i zawiadamia, kiedy mają one być spędzone. W ten sposób sztuki się ładuje większemi partjami i wysyła na większe rynki zbytu przeważnie do Wiednia. Na tych rynkach są już specjaliści komisanci, którzy towar przyjmują i sprzedają. Nad nimi czuwają urzędnicy ministerjum rolnictwa. Po sprzedaży, pieniądze idą do biur centralnych, które piszą każdemu

wysyłającemu z osobna rachunek i wysyłają mu przekazem należność.

Akcja ta rozwija się dosyć szeroko i szybko dzięki wydatnemu poparciu rządu. Ministerjum rolnictwa preliminowało na tę rzecz (na Austrię) milion koron rocznie. Oczywiście z takim kapitałem można już sprawę pchnąć na tory właściwe.

Tow. rolnicze krakowskie prowadzi handel zarówno bydłem, jak i trzodą, Tow. Kółek rol. ogranicza się na razie przeważnie do trzody tylko. Korzystają z tej sprzedaży głównie włościanie, a tylko w bardzo nieznacznym stopniu dwory. Pierwsze kroki u nas organizacja ta na dobre zaczęła stawiać na wiosnę r. 1908 w powiecie Rzeszowskim. Spotkała się ona oczywiście z zażartą walką ze strony handlarzy świń, która do dzisiaj jeszcze nie ustała. Pomimo to z małemi przeszkodami organizacja postępuje dosyć szybko naprzód, zagarniając coraz nowsze tereny. Oprócz znaczenia czysto ekonomicznego, wywiera ona jeszcze ogromny wpływ wychowawczy, wykazując chłopu nacznie korzyści assocjacji. Z czasem zamieni się ona zapewne na ściślejszą kooperatywę handlową — rodzaj syndykatu producentów towaru rzeźnego.

Innego już typu kooperatywami są wszelkiego rodzaju zrzeszenia wytwórcze, mające na celu nie handel, lecz produkcję pewną lub też przeróbkę dostarczanych przez członków materiałów. Handel jest tu rozwinięty tylko o tyle, iż sprzedaje się produkowany przez kooperatywę materiał. Tego rodzaju zrzeszeń Galicja posiada dotąd bardzo niewiele, główną zaś między niemi rolę odgrywają spółki mleczarskie.

Podnoszenie hodowli bydła bez odpowiedniej organizacji przeróbki i zbytu nabiału nie mogłoby rozwi-

jać się należy. Dopiero wtedy gospodarze wiejscy nabierają chęci do poprawy rasy bydła i do odpowiedniego żywienia tegoż, gdy mają dobry zbytna nabiał. Oprócz więc bezpośredniej korzyści, mają spółki mleczarskie i ten plus, iż podnoszą hodowle bydła. Znaczenie ich wobec tego jest tym wybitniejsze. Jednakże, jak już wspomniałem, ilość tych spółek jest bardzo mała, mamy bowiem obecnie tylko dwadzieścia kilka spółek włościańskich. Oczywiście jest to ilość znikomo mała, jeżeli uwzględnimy, iż taka Danja — kraj $2\frac{1}{4}$ razy mniejszy od Galicji, posiada ich z górą tysiąc. Praca jednak w kierunku zakładania spółek prowadzi się i przez Tow. Kółek rolniczych i przez biuro mleczarskie Wydziału krajowego. Bardzo szybko postępować ona nie może, ponieważ na założenie mleczarni spółkowej potrzebna jest gwarancja, iż będzie ona miała dostateczną ilość mleka. Chociaż więc spółka mleczarska obliczona jest na mały okrąg działania, to jednak nie może być ona przedsiębiorstwem zbyt małym; — aby prowadzenie jej się opłacało, trzeba zebrać naraz większą ilość gospodarzy, którzyby zadeklarowali przystąpienie do spółki.

Obecnie istniejące spółki mleczarskie (wiejskie) prawie wszystkie poddały się pod opiekę patronatu Wydziału krajowego. Opieka ta, przelana obecnie na Biuro mleczarskie Wydziału krajowego, jest bardzo racjonalna i w skutki owocna. Wogóle już samo założenie spółki mleczarskiej bez poparcia »Patronatu« z pewnością tylko mogłoby dojść do skutku. Patronat więc, a obecnie Biuro mleczarskie, organizuje te spółki, jeżeli zgłosi się w której gminie odpowiednia ilość chętnych do założenia tego przedsiębiorstwa. Poparcie Biura mleczarskiego polega zresztą nie tylko na udzielaniu porady fachowej przez wysyłanie na miejsce specjal-

nych urzędników, lecz i na pomocy materialnej na zakupno ksiąg i innych papierów, oraz na sprowadzenie maszyn mleczarskich (które Biuro mleczarskie daje pod pewnymi warunkami bezpłatnie). Oprócz zaś tego wyjednywany bywa spółkom tym kredyt z sum krajowego funduszu przemysłowego.

Obecnie spółki te mają być połączone w związek dla wspólnej sprzedaży produkowanych przez nie materiałów, t. j. przeważnie masła.

Spółki mleczarskie mają przed sobą niewątpliwie świetną przyszłość: one zapewne będą jednym z najpoważniejszych czynników do przekształcenia gospodarstwa włościańskiego na racjonalny warsztat rolniczo-hodowlany i częściowo ogrodniczy. Praca więc też nad zawiązywaniem ich powinna byłaby prowadzoną być intensywniej, niż obecnie. Zresztą w ostatnich czasach daje się spostrzec pod tym względem znaczny postęp na lepsze — zapoczątkowano tę pracę zwiększoną od specjalnego kursu w Rzeszowie dla instruktorów mleczarskich. Jeżeli kurs ten będzie powtarzał się w niezbyt wielkich odstępach czasu, to i zrozumienie potrzeby organizacji spółek mleczarskich wzrośnie pomiędzy społeczeństwem do granic należytych. Z drugiej strony należałoby jednak, aby agitacja nad zakładaniem spółek była prowadzona na większą skalę i to nie tylko pomiędzy stanem włościańskim, lecz również i pomiędzy właścicielami ziemskimi, bardzo wiele bowiem dworów nie posiada dotychczas należytego zbytu na nabiał. W ostatnich czasach Biuro mleczarskie Wydziału krajowego podjęło zbieranie danych o ilości istniejących już w kraju mleczarni i ich rozmieszczeniu. Przypuszczam, iż wynik tej pracy da możliwość planowszej akcji przy zakładaniu spółek mleczarskich, okaże się bowiem niewątpliwie, iż wiele jest okolic, gdzie

niema ani mleczarni prywatnej ani też zbytu na mleko świeże. Tam bez wahania można będzie zacząć agitację za zakładaniem spółek mleczarskich i to agitację, rozpoczętą od zachęcenia okolicznych dworów do zapisania się do spółki.

Inne właściwe kooperatywy wytwórcze prawie że nie istnieją w rolnictwie naszym. Posiada Galicja jedną tylko gorzelnię spółkową, kilka cegielni i t. p. Na razie tego rodzaju kooperatywy nie wróżą w przyszłości rozwoju na szerszą skalę.

Wspomnieć tu może wypada jeszcze o t. zw. spółkach torfowych, zostających też pod opieką Patronatu spółek przy Wydziale krajowym. Spółki te (jest ich 11) mają na celu kulturę torfowisk, a niektóre także eksploatację tychże. Rozwijają się one może niezbyt pomyślnie, ale odmawiać im znaczenia niepodobna — mogą one z czasem oddać wielką usługę z jednej strony przez zmeljorowanie torfowisk, a z drugiej przez dostarczanie torfu jako materiału opałowego, a w jeszcze może większym stopniu, jako ściółki pod zwierzęta domowe. Ściółka torfowa, należycie sporządzona, prawie w niczym nie ustępuje słomie, a nawet ją pod pewnemi względami przewyższa. Z drugiej strony maximum rozwoju hodowli bydła danego kraju zależne jest od ilości pasz objętościowych, przedewszystkim słomy. Już w obecnych warunkach w wielu okolicach Galicji zachodniej odczuwa się we wsiach naszych ogromny brak słomy. Jeżeliby postęp gospodarstwa zmierzał drogą racjonalnej ewolucji, to musiałaby zmniejszyć się w znacznym nawet stopniu uprawa zbóż, przez co brak słomy byłby jeszcze dotkliwszy. Moim zdaniem rozwiązanie tej, wcale jeszcze u nas nie uświadomianej kwestji, leży z jednej strony w nauczaniu gospodarza

używania ściółki torfowej i dostarczeniu mu tej ściółki, a z drugiej w rozpowszechnieniu metod racjonalnego żywienia bydła, przy użyciu przynajmniej o 30% mniej słomy i plew, niż to się dzieje obecnie, główną bowiem wadą obecnego żywienia bydła we wsiach naszych jest rozpychanie go nadmiernymi ilościami słomy. Spółki torfowe mogłyby odegrać więc wybitniejszą rolę, gdyby zwróciły się do produkcji taniej a dobrej ściółki pod bydło.

Przy omawianiu kooperatyw wytwórczych nie można pominąć także bez wzmianki związku naszych gorzeln. Związek ten, na razie dosyć luźny, przybiera coraz bardziej znamiona kartelu. Że utworzenie kartelu gorzelnianego dla rolnictwa miałyby znaczenie ogromne, o tym oczywiście dwu zdań być nie może. Czy jednak z punktu widzenia ogólnospołecznego nie byłby on szkodliwy, jak wogóle większość karteli? Przypuszczam, że nie, ponieważ nawet podniesienie cen spirytusu do picia za objaw społecznie szkodliwy bynajmniej jeszcze uważaćby nie można było; zaś co się tyczy cen spirytusu denaturowanego, to musiałyby on stale konkurować z innymi produktami równorzędnymi, i dlatego kartel mógłby tylko doprowadzić do obniżki cen tegoż. Nie jest to bynajmniej paradoks — chodzi o to, że w obecnych warunkach gorzelnie nasze sprzedają spirytus po cenach tak wysokich, iż spirytus denaturowany wypada znacznie drożej, niż np. w Niemczech lub Rosji. Z tego powodu nie może on zdobyć sobie tego stanowiska pomiędzy konsumentami, jakie ma w pierwszym z tych krajów. Kartel zaś bez obniżenia cen spirytusu do picia mógłby przecież obniżyć cenę spirytusu denaturowanego aż do granic kosztów jego

produkcji, przez co oczywiście cała produkcja gorzelnicza znacznie by wzrosła.

Najbardziej żywotnymi i najbardziej rozpowszechnionymi kooperatywami pomiędzy ludnością rolniczą Galicji są spółki oszczędności i pożyczek. Prowadzone są one przez wspomniany już kilkakrotnie Patronat spółek włościańskich Wydziału krajowego. Spółkom tym poświęca Patronat lwią część swej pracy, specjalnie też dla nich został powołany do życia, a tylko z czasem roztoczył swą działalność i na inne spółki.

Typem spółek, prowadzonych przez Patronat, jest Kasa Raiffeisena, t. j. stowarzyszenie kredytowe, obejmujące jaknajmniejszy okrąg działania — wieś jedną lub parę wsi sąsiednich, tak by zarząd spółki mógł z łatwością mieć wszelkie potrzebne dane nie tylko o zdolności kredytowej członka każdego, lecz i o jego charakterze, wadach, potrzebach i t. p. — słowem jest to stowarzyszenie niemal że znających się nawzajem ludzi. Interesa bierne i czynne takich spółek z zasady są krótkoterminowe, chociaż interesa czynne mają zwykle terminy dłuższe, niż interesa bierne: interesa bierne spółki, to przyjmowanie wkładek oszczędności, wypłacanych za krótkoterminowym wypowiedzeniem; interesa jej czynne polegają na wydawaniu członkom pożyczek na czas już nieco dłuższy — pół roku, rok, dwa lata, a nieraz i cztery lata. Niewspółmierność ta byłaby ryzykowną, gdyby spółki nie miały żadnego poparcia z góry, a szły zupełnie samopas, każda z osobna. Ze środkiem zaradczym przychodzi tu znowu Patronat, który korzystając z kredytu Banku krajowego, prowadził t. zw. »Zbiorowy rachunek bieżący« ze spółkami temi. Na rachunku tym umieszczały spółki nad-

miar swej gotówki, albo też brały zeń pożyczki w razie braku tej gotówki. W r. 1907 kredyt Banku krajowego był zupełnie nie użytkowany, ponieważ ogólna suma lokacji spółek była stale większa, niż pobierane przez nie pożyczki. Patronat więc był w tym wypadku tylko pośrednikiem pomiędzy poszczególnymi spółkami, lokując prócz tego w Banku krajowym ogólny nadmiar ich gotówki. Rok 1908 był już pod tym względem znacznie gorszy wskutek klęsk elementarnych i krachu w przemyśle amerykańskim; — spółki naogół korzystały już z kredytu Banku krajowego. Stopa procentowa, jaką płaciły spółki za uzyskane pożyczki równą była stopie procentowej, płaconej przez spółki za wkładki, a więc wynosiła dla różnych spółek 4%, 4½ i 5%; od 1-go grudnia r. 1907 obowiązuje już jedna dla wszystkich spółek 5% stopa, tylko, jak i poprzednio, pierwszym pożyczkom, udzielanym spółkom, przyznawana jest za pierwszy rok bonifikacja w wysokości ½%. Natomiast za depozyta płać »Rachunek zbiorowy« spółkom 4½%. Obecnie sprawa kredytu dla spółek została radykalnie zreorganizowana przez założenie Centralnej kasy krajowej dla spółek włościańskich. Kasa ta jest instytucją krajową, prowadzoną przez kierownika Patronatu, Dra Stefczyka. Działalność swą roztacza nie tylko na spółki oszczędności i pożyczek lecz i na wszelkie inne spółki włościańskie. Jak łatwo zrozumieć, jest to instytucja bankowa, mająca na celu pośrednictwo w handlu pieniężnym pomiędzy spółkami. Z drugiej strony jednak, będąc instytucją dobra publicznego, zajmie się ona niewątpliwie bardzo intensywnie popieraniem spółek przez dawanie im inicjatywy do tych lub innych czynności, które będzie finansowała. Kapitał zakładowy kasy — dawniejszy »fundusz pożyczkowy« Zbiorowego ra-

chunku — wynosi K. 520.814.30. Prócz tego korzysta ona z kredytu w Banku krajowym do wysokości 2.000.000 koron.

Zdolność kredytowa spółek oszczędności i pożyczek jest zupełnie wystarczająca, ponieważ obowiązuje w nich (o ile korzystają z opieki Patronatu) poręka nieograniczona członków. Jest to szczególnie bardzo ważny, gdyż w przeciwnym razie nie mogłyby one mieć tak taniego kredytu.

Spółki te już wyszły z okresu początkowego swego rozwoju, znajdują się zaś niemal w pełnym rozkwicie, zagarnawszy połowę całego kraju. Sprawozdanie z r. 1908 mówi o 880 spółkach, obejmujących 2971 gmin. Obecnie ilość ich przekroczyła już 900 i zajmują one więcej, niż połowę gmin kraju. Rozwój ich liczebny jest bardzo szybki, co roku przybywa z górą 100 spółek (w r. 1908 — 139).

Obrót kasowy wszystkich tych spółek wynosił w r. 1908 k. 75.845.835, obrót zaś »Rachunku Zbiorowego« Patronatu przekroczył liczbę 11 milionów koron. Cyfry te dowodnie chyba świadczą, iż w organizacji krótko-terminowego kredytu wiejskiego stoi już Galicja bardzo wysoko. Trzeba też podziwiać pracę w tym kierunku, gdy się zważy, iż zorganizowaną ona została dopiero w r. 1900, kiedy został powołany do życia Patronat Wydz. kr.

Opieka Patronatu nad spółkami, poza wspomnianym pośrednictwem przy handlu pieniężnym, polega głównie na ścisłej kontroli spółek poszczególnych. Patronat posiada odpowiednią ilość urzędników, którzy objeżdżając spółki, prowadzą kontrolę ksiąg rachunkowych i kasy. Pozatym Patronat bierze udział w zakładaniu nowych spółek z jednej strony przez udzielanie pomocy fachowej, z drugiej — pomocy materjal-

nej: udziela mianowicie każdej nowej spółce zasiłku w wysokości 400 koron na zakupno kasy ogniotrwałej, ksiąg i t. p.

Pomimo świetnego rozwoju tych spółek trafiają one nieraz na krytykę zasadniczą: mianowicie, autorowie niektórzy podnoszą zarzut, iż tego rodzaju spółki powinny być bardziej samodzielne, kierowane nie przez organa władz krajowych, lecz przez jakąś radę np. naczelną, wybieraną z grona członków spółek. Zapewne, że zasadniczo jest to zarzut zupełnie słuszny, tylko że jest już on zgoła nie racjonalny na terenie stosunków galicyjskich, z jakimi w praktyce liczyć się trzeba. Chodzi o to, iż zasada dobra jest tam, gdzie niema obawy, że pomimo dobrego zorganizowania pewnej sprawy, oparcia jej na »zdrowych zasadach«, nie zostanie ona spaczona wskutek braku odpowiednich ludzi do jej prowadzenia. Obecnie widzimy, iż spółki rozwijają się świetnie. Gdybyśmy, chcąc zadość uczynić zasadzie wymienionej, zmienili kierunek opieki nad nimi, możliwe by było, iż u steru znaleźliby się ludzie mniej odpowiedni do kierownictwa, niż obecny dyrektor Patronatu Wydz. krajowego. Wynik byłby ten, iż zasadzie stałoby się zadość, lecz spółki nasze rozchwiałby się pod niedołężnym kierownictwem. Zresztą spółki kredytowe większe mogą zdobyć sobie zaufanie i tańszy kredyt, jeżeli są oparte o organa władz.

Oprócz spółek, będących pod Patronatem Wydz. krajowego, mamy w Galicji 26 podobnych spółek, nie korzystających z Patronatu tego.

Poza spółkami wspomnianymi istnieją w Galicji i inne kooperatywy kredytowe, obsługujące rolników; o nich jednak powiem przy omawianiu wogóle kredytu.

Osobną gałęzią pracy społeczno-rolniczej, jeżeli idzie o cel, zaś nie o metody działania, jest akcja nad podniesieniem kultury ogrodniczej, przeważnie zaś sadowniczej, t. zn. uprawy drzew owocowych. Ta gałąź gospodarstwa wiejskiego znajduje się u nas, jakem już mówił, w stanie nader opłakanym, chociaż gleba i klimat Galicji są naogół wcale odpowiednie do uprawy mniej szlachetnych owoców. Co się tyczy rynków zbytu, na owoce, to możnaby je zdobyć w Rosji, jeżelibyśmy się nauczyli produkować materiał doborowy; na warzywa zaś możnaby zdobyć rynki krajów przemysłowych Austrii, gdzie z każdym rokiem wzmaga się zapotrzebowanie na ten produkt.

W obecnych warunkach akcja nad podniesieniem ogrodnictwa prowadzona jest dosyć chaotycznie przez kilka naraz instytucji. Głównie polega ona na rozpowszechnianiu szczepów drzew owocowych. Zajmują się tym niektóre rady powiatowe, następnie Towarzystwa rolnicze i w końcu Tow. Kółek rolniczych. Drzewka owocowe rozdawane są przez jedne instytucje bezpłatnie, przez inne po cenach niższych, by zachęcić tylko chłopą do ich sadzenia. Praca ta więc byłaby najzupełniej niejednolita, gdyby nie obmyślenie z góry, jakie odmiany drzew owocowych powinny być w danej strefie klimatycznej rozpowszechniane. Ponieważ ściśle już wyznaczono, iż ta a ta srefa powinna uprawiać te a te odmiany, przeto pomimo rozbieżności akcji tych instytucji, ogólny materialny wynik jest wcale dobry, jeżeli pominąć stratę moralną przez to, iż chłop się »bałamuci«, widząc, iż to samo może dostać tu na takich warunkach tam na innych.

W każdym razie praca ta nie na wiele by się przydała, gdyby nie szerzyć jednocześnie pomiędzy ludem wiadomości zawodowo-ogrodniczych i zamiłowa-

nia do pracy w ogrodach. Zaradzać temu mają utrzymywani przez niektóre Rady powiatowe instruktorowie ogrodnicy, a także odpowiedni fachowcy obu Towarzystw rolniczych, oraz dwu instruktorów krajowych. Prócz tego zaś działalność podobną prowadzą Towarzystwa ogrodnicze w Krakowie i we Lwowie. Praca ta oczywiście jest zupełnie niewystarczająca, gdyż do ogrodnictwa trzeba gospodarza wprost nakłaniać i uczyć go zarazem. Chociaż więc praca niektórych instruktorów powiatowych jest dosyć owocna, to jednak całość jej należytego rozmachu może nabrać, gdy tych instruktorów będzie więcej, a z drugiej strony, gdy po wsiach będzie pewna ilość gospodarzy, którzy w szkołach specjalnych ogrodnictwa się uczyli. Takimi szkołami mogą być projektowane przezemnie szkoły ogrodniczo-rolnicze typu Pszczelina. Zamiłowanie do ogrodnictwa łatwo wzbudzić w każdym chłopcu, ponieważ praca jest tu może żmudna, ale czysta i miła, dająca szybko rezultaty. Skoro zaś w chłopcu zbudzi się zamiłowanie, to jako gospodarz we wsi będzie już on całe życie pionierem kultury ogrodniczej.

W Galicji tego rodzaju zadanie spełnia w swym okręgu działania »Krajowy zakład sadowniczy« w Zaleszczykach, który kształci synów gospodarzy w zawodzie ogrodniczym. Jest to mniej może szkoła, niż kurs praktyczny sadownictwa i warzywnictwa.

Szkoła ogrodnicza w Tarnowie kształci już zawodowych ogrodników. Służy więc ona przeważnie większej własności ziemskiej. Również wychowawcze znaczenie ma powiatowy zakład sadowniczy »Słoneczna« pod Limanową.

Sadownictwo i warzywnictwo, jako kultury najbardziej intensywne, wymagające wiele kapitału, a jeszcze więcej pracy, są niejako stworzone dla krajów o gęstym

zaludnieniu rolniczym, a nadają się z natury rzeczy najbardziej do gospodarstw małorolnych. Wobec tego Galicja, jako kraj o olbrzymim przeludnieniu rolniczym, przytym w przeważnej części składający się z gospodarstw drobnych, zdawałoby się powinna tym kulturom specjalną uwagę poświęcać. Dotychczas jednak, jakem mówił, nic podobnego powiedzieć nie można. Moim zdaniem rozwiązanie kwestji przeludnienia w znacznym stopniu zawisło od tego, do jakiego stopnia intensywności potrafimy doprowadzić nasze gospodarstwa włościańskie. Kultura rolna opłaca naogół intensywność o wiele niższą, niż kultura ogrodniczo-sadownicza. Większa i mniejsza zaś intensywność gospodarki wskazuje na większy i mniejszy dochód brutto. Przez zwiększenie intensywności podnosimy znacznie ten dochód. Ponieważ z drugiej strony dla gospodarstwa chłopskiego znaczenie ma w stopniu o wiele większym dochód brutto, niż netto, przeto o ten tylko dochód chodzić nam powinno. Jest to zrozumiałe: niech z jednostki przestrzeni jedno gospodarstwo włościańskie produkuje wartość A , drugie $3A$, niech jednak w pierwszym i drugim wypadku dochód netto jest równy a . W wartości więc A względnie $3A$ mieszczą się poza dochodem netto a koszty robocizny, zużycia inwentarza wreszcie zwrot kapitału obiegowego na zakupno nawozów sztucznych, pasz i t. p. Przy podnoszeniu intensywności gospodarstwa przez zwiększanie w pierwszym rzędzie pracy, jak to ma miejsce przy kulturze ogrodniczej, wartość dochodu brutto $3A$ będzie mieściła w sobie conajmniej trzykrotną ilość kosztów robocizny, czyli gospodarstwo tego typu da trzykrotną ilość zatrudnienia jego właścicielowi z rodziną w stosunku do gospodarstwa pierwszego. Przez taką więc intensyfikację stwarza się na tym samym te-

renie warsztat dla większej ilości rąk roboczych. Kwestję zaś przeludnienia rozstrzygać może albo danie pracy dla nadmiaru rąk roboczych, albo też emigracja zarobkowa lub osadnicza.

Dążyć więc powinniśmy do rozszerzenia w gospodarstwie włościańskim uprawy warzyw i owoców. Oprócz jednak zamiłowania do tego i fachowej znajomości rzeczy trzeba dać gospodarstwu jako takiemu możliwość rozszerzania produkcji tej, a z drugiej strony wyszukać rynki zbytu na nasz towar.

Warunkiem, decydującym o możliwości rozszerzenia tej kultury w gospodarstwie, jest w pierwszym rzędzie dostateczna ilość obornika, bez którego trudno myśleć o uprawie warzyw, a i drzewa owocowe też potrzebują go sporo. Do zdobycia obornika dojść można przez podniesienie hodowli. Z drugiej strony podniesienie to, zwiększając dochód brutto, też częściowo wpływa na większą pojemność gospodarstwa na pracę, jeżeli oczywiście hodowla nie prowadzona jest systemem pastwiskowym. Samo jednak gospodarstwo, opierając się na paszach w nim produkowanych, zbyt podnosić hodowli nie może, ponieważ jej maksimum ograniczone jest maksymalną ilością paszy, jaka na danym terenie wyprodukowaną być może. Do znacznego jednak podniesienia hodowli dojść można, jeżeli oprzemy ją na paszach kupowanych z zewnątrz, w pierwszym rzędzie paszach treściwych. Przy podniesieniu więc hodowli, zorganizowaniu dostatecznej ilości spółek mleczarskich i t. p. naogół warunek zdobycia dostatecznej ilości obornika nie jest zbyt trudnym do osiągnięcia.

Drugim warunkiem wewnętrznym rozwoju w danym gospodarstwie kultury ogrodniczej jest odpowiedni kształt areału rolnego. Jeżeli gospodarstwo nie jest

skomasowane, lecz rozrzucone, jak to się u nas dzieje, na szereg małych parcel, toć nie może być mowy o przeznaczeniu pod warzywa i drzewka owocowe większego zwykle skrawka ziemi, niż parcela przy domu wynosi. Uprawa tych płodów dalej od domu w polu możliwa jest tylko tam, gdzie ludność wiejska cudzą własność uszanować już potrafi. Zresztą sam typ uprawy ogrodniczej, wymagający wiele bardzo dozoru i ciągłych drobnych robót, nie pozwala na zbytne oddalenie terenu od mieszkania gospodarza. A więc dla możliwie największego rozwoju ogrodnictwa potrzebna jest komasacja gruntów włościańskich.

Czynnikiem zewnętrznym, bez którego mowy być nie może o rozwoju kultury ogrodniczej, jest zdobycie rynków zbytu na produkta tej kultury. Trzeba z góry powiedzieć, iż jest to sprawa nie łatwa, ponieważ w pierwszym rzędzie należałoby liczyć na zdobycie rynków zewnętrznych, gdyż wewnętrzny nasz rynek z powodu małego rozwoju przemysłu i miast oraz wielkiej nędzy ludności miejskiej, jest bardzo mało pojemny. W każdym razie o nim zapominać też nie można.

Pomimo trudności, zdobycie rynków zewnętrznych nie jest przecież niemożliwe. W pierwszym rzędzie mamy Rosję, jako rynek na nasze jabłka, a w mniejszym stopniu inne owoce. Zimowe odmiany jabłek galicyjskich w smaku mało ustępują jabłkom tyrolskim. Przy umiejętnej więc organizacji handlu a także przy zastosowaniu sposobów pakowania na wzór tyrolski mogłyby one śmiało konkurować z towarami, przez ten kraj dostarczonym. Z drugiej, strony, gdybyśmy mieli fabryki konserw owocowych i warzywnych, moglibyśmy nimi zalewać rynki przemysłowych krajów Austrii. Obecnie wprawdzie dzieje się odwrotnie,

ale powodem tego nie jest tańsza produkcja tamtych krajów, lecz nasza nieudolność. Gdyby Galicja zdołała dać tanie konserwy i przetwory owocowe, z pewnością rolnictwo tamtych krajów uznałoby za korzystniejsze dla siebie produkowanie owoców i warzyw, sprzedawanych latem w stanie świeżym.

Obecnie konserwy te, pomijając kapustę kiszoną i ogórki, mały mają zbyt na rynkach Austrii. Gdyby jednak dać towar dobry, a tani, niewątpliwie nauczyłyby się ludność do spożywania tych produktów w ilościach znacznie większych, jak w Niemczech np.

Naturalnie, że o szybkim zdobyciu wspomnianych rynków mowy nie ma, ale też nie podniesiemy szybko i naszej produkcji tych towarów. Powinna więc praca w jednym i drugim kierunku iść równomiernie. Organizację handlu tego można byłoby, moim zdaniem, oprzeć na powiatowych zakładach sadowniczych tego rodzaju, jaki istnieje już pod Limanową. Zakład taki nie tylko prowadzi szkółkę drzew owocowych i szerzy oświatę zawodową, lecz zakłada suszarnie owoców, organizuje zbyt. Idąc więc w tym kierunku dalej, mogłby on organizować spółki handlowe albo wytwórcze, tworzyć np. spółkowe fabryki konserw, spółki poszczególne łączyć w stowarzyszenia szersze, aby tym łatwiej znajdowały one zbyt na swój towar. W końcu mogłaby powstać jakaś instytucja centralna, któraby normowała cały ten ruch, nadawała mu należyty kierunek, nawiązywałaby wreszcie stosunki z coraz dalszemi i nowemi rynkami zbytu, a w końcu miałaby na celu obronę interesów ogrodnictwa i warzywnictwa naszego.

Potrzebę powiatowych zakładów sadowniczych zrozumiały już niektóre Rady powiatowe także poza Limanową i przystąpiły do ich organizowania. Naogół jednak sprawa ta nie daleko jeszcze postąpiła. Dąże-

niem więc społeczeństwa naszego powinno być nie zaspać tej sprawy, a rozwinąć ją w stopniu należytym, gdyż na tej drodze można byłoby tylko podnieść ogrodnictwo nasze do rozmiarów, o których mówiłem.

Bardzo ważnym warunkiem postępu rolnictwa w Galicji jest drenowanie gruntów, a częściowo i osuszanie ich rowami otwartymi. Klimat naszego kraju, zwłaszcza w jego części zachodniej, wykazuje nadmiar opadów atmosferycznych. Z tego powodu wszystkie grunta ciężkie, gliniaste, ilaste i t. p., a także położone na podglebiu nieprzepuszczalnym, gwałtownie domagają się osuszenia. Jedynym zaś racjonalnym w naszych warunkach osuszaniem gruntów ornych jest drenowanie — t. j. meljoracja, polegająca na zakładaniu w ziemi szeregu rurek glinianych, ściągających z pól nadmiar wody. Zabagnione zaś łąki i pastwiska wymagają odwodnienia rowami otwartymi.

Podług obliczeń inżyniera Dr. Blautha przestrzeń wymagających drenowania gruntów wynosi u nas około 1.775.000 ha¹⁾. Dotychczas zaś zapewne zdrenowano nie całe 100.000 ha, a, jak sądzi Bujak, zaledwie tylko 40.000 ha.

Opłacalność drenowania jest bardzo wysoka, ponieważ plony podnoszą się wskutek tej meljoracji o 20, 30 a nieraz i 100%. Drenowanie obszarów dworskich nie jest zazwyczaj połączone ze specjalnymi trudnościami, ponieważ dwór ma przestrzeń dostateczną dla przeprowadzenia tej meljoracji wyłącznie na własnym terenie. Inna jest sprawa z gruntami włościańskimi, zwłaszcza tak silnie rozkawałkowanymi, jak u nas. O drenowaniu poszczególnych parcel z osobna mowy

¹⁾ Bujak: »Galicja« T. I. (obacz odnośnik str. 5).

być najczęściej nie może, ponieważ meljoracja ta wymaga naraz większej przestrzeni, jeżeli ma być z ekonomją kosztów przeprowadzona, a i wogóle często na małej przestrzeni nie da się przeprowadzić, potrzebne jest bowiem znalezienie odpływu dla wód drenowych. Z tego powodu meljoracja ta na gruntach włościańskich może być prowadzona tylko na spółkę, jeżeli właściciele danej partji gruntów zgodzą się na nią.

Aby ułatwić ten sposób drenowania już w r. 1875 wydaną została krajowa ustawa wodna, która sprawę tę reguluje, umożliwiając zakładanie spółek wodnych, przyczym decyduje o tym nie jednomyślna uchwała właścicieli, lecz $\frac{2}{3}$ ich głosów.

Pozatym utworzone zostało przy Wydziale krajowym Biuro meljoracyjne, które między innymi prowadzi sprawę osuszania gruntów i to zarówno na obszarach dworskich, jak i na polach włościańskich. Ponieważ jednak zorganizowana w ten sposób pomoc fachowa była niedostateczną jeszcze pobudką dla rolnictwa włościańskiego, jak i dworskiego, do przystępowania do tej meljoracji, przeto Sejm w porozumieniu z rządem postanowił dawać na drenowanie gruntów włościańskich zapomogi, asygnując w ostatnich latach na to po 200.000 koron rocznie (a drugie tyle przeznacza rząd). Z drugiej strony przeważnie już dla własności tabularnej postanowiono dawać pożyczki bezprocentowe, spłacalne w dziesięciu ratach rocznych. Kredyt uchwalił na to Sejm przez zaciąganie roczne w ciągu lat dziesięciu pożyczki po 500.000 koron, przyczym procenta od tych sum podjął się płacić rząd.

Obecnie sprawa drenowania gruntów włościańskich przedstawia się tak, iż spółki drenarskie korzystają nie tylko z bezpłatnej pomocy fachowej biura meljoracyjnego przy sporządzaniu planów, lecz otrzymują bardzo

znaczące zapomogi, wynoszące od jesieni r. 1908 $33\frac{1}{3}\%$ ze strony kraju i tyleż ze strony rządu, tak że sam włościanin ma dopłacić już tylko trzecie $33\frac{1}{3}\%$, przy czym w specjalnych warunkach na tę trzecią część otrzymać może pożyczkę na 3% , spłacalną w ciągu lat 20 do 30. Te same zapomogi daje się i na osuszanie rowami.

Pierwotnie dawano wprawdzie na drenowanie tylko 50% łącznej zapomogi, ale kiedy cyfry z lat 1907 i 1908 wykazały, iż przeznaczony na nie kredyt nie został wyczerpany, postanowił Sejm w kadencji jesiennej r. 1908 podnieść subwencję do $66\frac{2}{3}\%$.

Wyniki nie dały na siebie długo czekać: — Pod wpływem agitacji odnośnych instytucji, w pierwszym rządzie Towarzystwa Kółek rolniczych, podania posyłały się o zawiązywanie tych spółek, przekraczając ilością swą nie tylko przeznaczone na zapomogi fundusze, ale i siły biura meljoracyjnego. Biuro więc to, nie mając innego wyjścia, musi już wiele podań odrzucać, tak czy owak motywując odmowę, w pierwszym rządzie powołując się na nieściśle wypełnienie formalności. I to właśnie jest złem bardzo wielkim, dobitnie wykazującym niebezpieczeństwo popierania takiej akcji przez uchwalanie funduszy agitacyjno-zapomogowych. Odmowa obecna przyjsia danej wsi z pomocą może zagwoździć sprawę na bardzo długo.

Właściwym więc obecnie byłoby, gdyby Sejm uchwalił na najbliższej kadencji zmniejszenie zapomóg znowu do 50% , a na obecnie złożone podania przeznaczył specjalny kredyt dodatkowy, aby z reguły nie odmówić żadnej gminie.

Wogóle zaś należy sobie powiedzieć, czy mamy uważać kredyty sejmowe za fundusz agitacyjny, czy też zmierzający do przeprowadzenia drenowania na

całej przestrzeni wymagających tego gruntów włościańskich przy współdziale pieniężnym kraju i rządu. Jeżeli za punkt wyjścia przyjąć ten drugi postulat, to z góry trzeba oznaczyć normę wysokości zapomóg, która w początku może być tylko nieco wyższą ze względów agitacyjnych, a wtedy w przybliżeniu obliczyć potrzebne na ten cel fundusze i odrazu uchwalić kredyt na te fundusze. Jeżelibyśmy przyjęli że hektar drenowania kosztować będzie przeciętnie 300 koron, a drenowania potrzebuje 1.000.000 ha gruntów włościańskich, to całkowity koszt tej meljoracji wyniósłby 300 milionów koron. Dając zapomogi w wysokości 50%, trzeba byłoby rozporządzać funduszem 150 milionów.

Nie ulega jednak wątpliwości, że na poświęcenie tak wielkiej sumy Sejm nie zdecyduje się. Wobec tego należy pomyśleć o racjonalnym unormowaniu i użytkowaniu funduszu agitacyjno-zapomogowego. Moim zdaniem, należałoby ustanowić nie kredyty roczne na ten cel, lecz kredyt ogólny, przyczym należałoby ustalić stopniowe zmniejszanie się wysokości zapomóg w miarę wyczerpywania się kredytu. Dajmy na to niech Sejm uchwali zaciągnięcie na ten cel pożyczki w wysokości 5.000.000 koron, a rząd przeznaczy drugie tyle. Mieliśmy więc razem 10 milionów. Można byłoby więc uchwalić, że pierwszy milion zostanie rozdany na zapomogi w wysokości 60%, drugi 55%, trzeci 50% i t. d. — ostatni już tylko 15%. Sądzę, że ogłoszenie odrazu takiego planu rozdawania zapomóg byłoby znakomitym środkiem agitacyjnym, każda bowiem wieś starałaby się o jaknajszybsze złożenie podania, aby uzyskać zapomogę wyższą. Jednocześnie z tym należałoby powiększyć personal Biura meljoracyjnego, aby praca nie zalegała.

Przypuszczam, że ten sposób byłby nie tylko najtańszym dla kraju środkiem rozwiązania kwestji, ale i wyniki dalby bardzo szybko, gdyż stworzyłoby się w całym kraju ogromny ruch w kierunku drenowania, któryby nie potrzebował być z góry hamowany, jak to ma miejsce w roku bieżącym przez odmowę na podania »nie formalne«.

Prof. Bujak porusza myśl przymusowego drenowania, przyczym udzielany miałby na to być kredyt bezpłatny. Zdaje się jednak tak radykalny środek nie jest już nam potrzebny, ponieważ i tak dojść możemy do rezultatów bardzo szybko, jeżelibyśmy mieli tylko dostateczne fundusze na zapomogi stopniowo ubywające i dostateczną ilość sił fachowych w Biurze meljoracyjnym.

Własność większa zbytniej opieki i poparcia w tym kierunku ze strony władz nie potrzebuje, ponieważ drenowanie jako meljoracja ogromnie rentowna powinna znaleźć zastosowanie na każdym potrzebującym tego gruncie bez żadnych postronnych zapomóg. Wystarcza w zupełności tutaj ustawa, ułatwiająca kredyt meljoracyjny (pierwszeństwo w ciężarach hipotecznych). Powinien więc większej własności wystarczyć istniejący bank meljoracyjny, a przeznaczane przez Sejm pożyczki bezprocentowe mogą być tylko uznane za pomoc w ostatecznym razie, kiedy majątek rzeczywiście jest przeciążony długami, a gleba drenowania wymaga nieodzownie. W praktyce jednak podają się o te pożyczki dwory, które i bez tego mogłyby się zdobyć na drenowanie. I tak w r. 1907 przyznano 19 pożyczek na sumę 466.526 K., wpłynęło zaś dalszych 34 podań na z górą 11.000 morgów do drenowania i 2000 do osuszenia rowami.

Nader wielką wadą ogólną drenowania w Galicji

jest ogromny koszt tegoż. Kiedy w Poznańskim zdrenowanie hektara kosztuje 120 do 200 marek (141—235 kor.), a w Królestwie od 60 do 80 rubli (150—200 kor.) u nas koszt tej meljoracji wynosi mniej więcej od 250 do 350 koron, a tylko we wschodniej Galicji nieraz trochę mniej¹⁾. Różnica więc jest ogromna, wcale nie usprawiedliwiona tym, iż przeciętnie u nas sączki drenowe kładzie się gęściej, niż w Poznańskim, a zwłaszcza w Królestwie. Przyczyny trzeba szukać w małej obrotności kapitału u nas, przez co koszt produkcji rurek drenowych jest wyższy w Galicji, niż tam, oraz w stosunkowej drożyznie robocizny — co nie jest paradoksem, gdyż u nas w każdej gałęzi wydajność pracy robotnika jest niższa, niż w Poznańskim

Ważniejszą od drenowania, a nawet o wiele ważniejszą, jest sprawa komasacji gruntów włościańskich. Czynność ta polega na regulacji szachownicy t. j. rozbicia na parcele gruntu poszczególnych gospodarzy.

Praktyka Europy dała nam trzy typy komasacji: 1) t. zw. konsolidację czyli utworzenie dojazdu do wszystkich parcel, 2) komasację właściwą, t. j. taki podział gruntów wsi, aby każdy gospodarz otrzymał swe liczne parcele scalone w jeden lub parę łąnów, 3) kolonizację, czyli podzielenie przestrzeni wsi tak, by każdy gospodarz dostał grunta swoje w jednym tylko kawałku, na któryby też przeniósł swoje budynki.

O potrzebie komasacji u nas mogę już nie pisać, dostatecznie bowiem rozwinąłem zgubne skutki szachownicy gruntów w rozdziale pierwszym mej pracy. Dla nas oczywiście celowemi mogą być tylko dwa

¹⁾ Cyfry, wzięte z praktyki.

drugie typy komasacji, ponieważ konsolidacja to tylko niewielki plus w życiu gospodarczym wsi.

Komasacja z natury rzeczy, jako czynność bardzo trudna i wymagająca dużej umiejętności, powinna być prowadzona przez specjalne instytucje publiczne, a nie przez samych włościan. Prócz tego opierać się ona powinna na odpowiedniej ustawie, któraby dała możliwość prowadzenia rzeczy nawet bez jednomyślnej zgody właścicieli gruntów, a tylko przy pewnej większości głosów, oddanych za nią.

W Austrii odnośna ustawa ramowa wydaną została przez parlament w r. 1883. Długo jednak szła ona do Sejmu naszego wskutek przetargów i zmian, tak że uchwaloną przezeń została dopiero w r. 1898. Nim jednak uzyskała sankcję i zatwierdzenie etatów urzędników i t. p. przez ministerjum, upłynęło jeszcze sześć lat, tak że w życie weszła dopiero w r. 1904.

W myśl tej ustawy utworzono we Lwowie t. zw. komisję agrarną, której zadaniem jest prowadzenie komasacji, regulacji władania lub użytkowania pastwisk gminnych, a także »ról« czyli »spółek« (patrz str. 24). Stronę administracyjną prac komisji prowadzi urzędnicy, opłacani przez rząd, zaś stronę techniczną, specjalnie przydzieleni do tego inżynierowie kultury Biura meljoracyjnego Wydziału krajowego.

Aby komasacja w jakiej gminie została przeprowadzoną, powinno być najpierw wniesione podanie o to czyli »prowokacja«, podpisana przez conajmniej połowę właścicieli gruntów. Wtedy deleguje komisja na miejsce swoich urzędników, którzy mają wykonać plan komasacji. Zebranie gminne wybiera im do pomocy swych mężów zaufania, którzy mają w pierwszym rzędzie wykonać dokładne oszacowanie gruntów całej wsi. Szacowanie to prowadzone jest podług przyjętych prze-

pisów z nadzwyczajną precyzją, przy podziale gruntów na klasy specjalne i t. p. Szacuje się więc parcelę po parceli i na dobro każdego gospodarza wpisuje się wartość jego gruntów. Po tym oszacowaniu przystępuje się do ułożenia prowizorycznego planu komasacji, przyczym każdy gospodarz otrzymuje tyle gruntu, aby wartość tego równa była ogólnej wartości jego rozsianych parcel, — a więc bierze się za podstawę nie przestrzeń gruntów, lecz ich wartość. Sporządzony plan wystawiany bywa w gminie, aby wszyscy interesowani mogli stawiać swoje zarzuty, ewentualnie wnosić reklamacje do komisji agrarnej. Po pewnym czasie zwołuje się zebranie gminne, które większością głosów, reprezentujących $\frac{2}{3}$ dochodu katastralnego wsi przyjmuje ten projekt. Wtedy następuje pomiar i prowizoryczne wprowadzenie we władanie, każdemu jednak gospodarzowi dozwolone jest wnoszenie rekursów, co zresztą ma obecnie być specjalną ustawą ograniczone. Skoro pretensje są wyrównane i rekursa załatwione, następuje ostateczne zatwierdzenie hipoteczne nowego podziału gruntów.

Koszta komasacji w pierwszych 15 latach od wejścia w życie ustawy ma ponosić kraj, a następnie sami interesowani.

Dotychczasowe wyniki pracy Komisji agrarnej są minimalne. Sprawozdanie Wydziału krajowego mówi, iż do końca r. 1907 wniesiono do komisji 19 »prowokacji« z czego dwie załatwiono odmownie. Z tego przeprowadzono 2 komasacje, 2 znajdują się w pełnym toku, w stadjum zaś początkowym 5 »operacji«, a 8 nie zaczęto wcale. Przedstawiając te wyniki, a także podkreślając bardzo długi czas trwania przeprowadzenia każdej komasacji, sprawozdawca dodaje:

»Otóż nasuwa się pytanie, kiedy i w jakim czasie mogą być przeprowadzone zgłoszone już operacje, jeżeli mimo wydatnej pracy personalu technicznego miejscowej komisji agrarnej, przeprowadzenie w toku będących operacji wymaga użycia tak długiego czasu.

Jeżeli się przytym zważy, iż w miarę przeprowadzonych operacji, oczekiwać należy wnoszenia liczniejszych prowokacji, zwłaszcza jeżeli przynajmniej jedna czynność agrarna przeprowadzoną zostanie w zachodniej części kraju, nietrudno przewidzieć, iż jedna komisja miejscowa nie będzie w możności podołać pracy w czasie, w jakimby ją ukończyć należało ze względu na interes ekonomiczny kraju«.

Wniosków jednak żadnych Wydział kr. nie stawia, pozostawiając je członkom komisji agrarnej, którzy dotychczas też milczą.

Nasuwa się więc pytanie, dlaczego wyniki pracy komisji tej są tak nikłe? Odpowiedź na to znaleźć nie trudno. — W pierwszym rzędzie utrudnia doprowadzenie rzeczy do skutku niezmiernie zawiła manipulacja przy komasacji, zwłaszcza ta precyzja w szacowaniu gruntów, a następnie zbyt szerokie uwzględnianie reklamacji po wygotowaniu już planu. Drugą może nie mniej ważną przyczyną jest ogromne rozkawałkowanie i rozdrobnienie gruntów wsi naszych. Gdyby chodziło o skomasowanie na danej przestrzeni 500 parcel zamiast 5000, praca byłaby znacznie łatwiejsza. Następnie wielką przeszkodą są nieuregulowane często stosunki posiadania gruntów. Wreszcie trzeba podnieść jeszcze i to, że personal techniczny komisji agrarnej nie jest jeszcze dostatecznie wyszkolony, a także nie wkłada może duszy w swą pracę, ponieważ nie jest specjalnie niczym zachęcany — ani poborami, które są za niskie, ani gratyfikacjami za dokonane prace.

Pierwszy czynnik — zawilość manipulacji łącznie z utrudnieniem rozpoczęcia akcji w danej wsi, dałoby się usunąć częściowo przez zmianę małą ustawy, a zwłaszcza przez zmianę w kierunku pracy technicznej powołanych do tego ludzi. W pierwszym rządzie znieść należy potrzebę aż połowy podpisów członków gminy na »prowokacji«. Na Litwie, gdzie obecnie komasacja niezwykle robi postępy, wcale nie ma oznaczenia ilości potrzebnych podpisów — wystarcza tam stwierdzenie, że w danej wsi gospodarze »mają zamiar komasować grunta«. I rzeczywiście do wsi trzeba przecież iść z propozycją komasacji, a nie czekać, aż od niej wyjdzie inicjatywa. Na Litwie też skłania się wiesz do komasacji drogami najrozmaitszemi — przez uciekanie się nieraz nawet do szykan administracyjno-policyjnych, tam bowiem wszystkie organa władz idą na rękę komisjom komasacyjnym. Gdyby więc u nas podobne zapanowały stosunki, niewątpliwie o wiele więcej zgłaszanoby podań do Komisji agrarnej.

W samej manipulacji czynności komasacyjnych należałoby znacznie uprościć szacowanie gruntów. Ktoś dobrze w tym kierunku wyszkolony bez trudu dokona wcale niezłego oszacowania gruntów tam, gdzie »komisje« całe miesiące tracą, aby ułożyć owe klasy gruntowe. — Owszem, metoda tworzenia klas gruntów jest dobra, ale nie trzeba znowu doprowadzać precyzji w szacowaniu do absurdu, boć o dokładności rzeczywistej mowy być nie może ze względów przyrodniczo-rolniczych, tak że specjalna precyzja jest tylko oszukiwaniem samego siebie.

Szkicowanie planu można ułatwić przez wprowadzenie dopłat pieniężnych: dajmy na to wypada w pewnym miejscu parcela wartości 10.000 koron, a zgłasza się o nią gospodarz, mający grunta za 9.500 koron —

niech więc dopłaci 500 koron, a kwota ta przypadnie w udziale tym, którzy z tego powodu otrzymają mniej ziemi. Zresztą na modłę litewską¹⁾ można podlicytować tę dopłatę, jeżeli zgłosi się paru gospodarzy. Wogóle umiejętnie stosowane branie i udzielanie dopłaty przy podziale parcel nowych może być ogromnym ułatwieniem komasacji.

Nader silnym czynnikiem, przyspieszającym akcję komasacyjną, byłoby udzielanie stosunkowo wysokich remuneracji urzędnikom Komisji agrarnej za dokonane prace. Nie chcę powiedzieć przez to aby wykazywali oni obecnie opieszałość w swej pracy — możliwe, iż energii nie wkładaliby więcej w swą pracę i przy owych remuneracjach, lecz prowadziliby ją mniej biurokratycznie, bardziej twórczo i, z uszczerbkiem może precyzyjności, pchaliby ją szybciej naprzód.

Przykład Litwy daje nam wskazówkę, iż przecież komasację można w tempie znacznie szybszym, niż u nas, prowadzić; tam np. w jednym tylko powiecie trockim miejscowa komisja komasacyjna w przeciągu 2 lat swej działalności skolonizowała 13.000 ha, a projektów wykonała nawet dla z górą 17.000 ha.

Najważniejszym jednak warunkiem przyspieszenia komasacji jest utworzenie większej ilości Komisji agrarnych. Wskazanymby było, aby w każdym powiecie była specjalna komisja. Na Litwie, organizując tę rzecz w końcu r. 1906, od razu założono tyle komisji, ile jest tam powiatów. Wprawdzie powiaty tam są większe, ale choćby w tym stosunku w Galicji powinna byłaby powstać nie jedna komisja, lecz conajmniej 20.

Agitację za komasacją należałoby prowadzić

¹⁾ Patrz artykuł mój: »Komasacja gruntów na Litwie« Nr. 24 »Rolnika« r. 1909.

wszelkimi sposobami, a w pierwszym rzędzie przez skomasowanie wzorowe po jednej wsi w każdym powiecie, udzielając takim wsiom specjalnych ulg.

Byłyby to objekta demonstracyjne. Koszta komasacji powinien pokrywać rząd albo kraj, aby nie odstręczać interesowanych wydatkami pieniędzmi. Komasacja ma tak doniosłe znaczenie dla całego społeczeństwa, iż zupełnie słusznymby było wykonanie jej z funduszków publicznych.

Poprzednio już zauważyłem, iż w naszych warunkach może być mowa albo o komasacji właściwej, t. j. scalaniu gruntów bez rozbudowywania się wsi, albo o »kolonizacji« czyli komasacji połączonej przejściem na gospodarstwa fermowe przez przenoszenie budynków. Należy zapytać, który z wymienionych rodzajów komasacji jest dla nas odpowiedniejszy, a więc i bardziej zalecenia godny?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy zdać sobie sprawę do czego komasacja powinna u nas prowadzić. Jeżelibyśmy za cel jej postawili umożliwienie lepszego wykorzystania parcel gruntowych i utworzenie do nich dostępu, toć oczywiście wystarczyłaby komasacja bez kolonizacji. Do niej się też uciec trzeba było jako do czynności łatwiejszej. Ten cel rzeczywiście postawiły sobie komisje agrarne w Austrii dolnej a także częściowo w innych krajach państwa. Dziwi się temu niepodobna, gdyż przejście na gospodarstwo fermowe wymaga przeniesienia budynków, a to jest prawie niemożliwe przy masywnych zabudowaniach murowanych, jakie tamte kraje posiadają. Ponieważ jednak takie rozwiązanie kwestji nie zmniejsza odległości przeciętnej pól od zabudowań gospodarskich, przeto samo przez się podsuwa kuszące ułatwienie sprawy przez wydzielenie każdemu gospodarzowi nie

jednej już parceli. a kilku — dla ułatwienia podziału. W wydanym przez ministerjum rolnictwa sprawozdaniu o tych czynnościach¹⁾ podane są plany komasacji dwu wsi: pierwsza z nich, Glinzendorf, skomasowaną została rzeczywiście wzorowo, każdy bowiem gospodarz otrzymał swój grunt w jednej parceli. W drugiej, Ebergassing, widzimy coś wręcz przeciwnego — oto gospodarz który miał pierwotnie pola swe i łąkę w 34 kawałkach, po komasacji pole otrzymał w 6 kawałkach, łąkę w jednym a ogród pod kapustę w dwu; razem więc ma obecnie 9 parcel, a na dziesiątej stoją zabudowania gospodarskie.

Z drugiej strony w Królestwie Polskim widziałem wsie, które zabierały się do komasacji, ponieważ pola gospodarzy były porozrzucane w 5, 6, 7 parcelach, a na Litwie wystarcza, gdy są rozbite na trzy parcele tylko.

Nasza komisja agrarna przyjęła w całości system innych komisji austriackich, a więc widocznie komasacji chce nadać znaczenie czynnika ułatwiającego prowadzenie gospodarstwa, utrudnionego na zbytnio rozdrobnionych skrawkach gruntu.

W Królestwie jednak, a zwłaszcza na Litwie mowy zwykle nawet niema o innym systemie komasacji, jak o kolonizacji. Tam też utarł się już i termin »kolonizacja« a nie »komasacja«, i np. za jeden z argumentów za potrzebą rychłego przeprowadzenia tej akcji stawiane bywa zdanie, iż we wsiach coraz więcej będzie budynków murowanych, a więc »komasacja stanie się niemożliwą«. Zdanie to świadczy dosadnie, iż nikomu tam do głowy nie przyjdzie zalecać komasacji bez przejścia na gospodarstwa fermowe.

¹⁾ Die agrarischen Operationen in Oesterreich. Wien 1908.

I rzeczywiście, o ile komasacja właściwa jest tylko ułatwieniem prowadzenia gospodarstwa, »kolonizacja« jest przewrotem, jest stworzeniem nowych podstaw bytu gospodarstwa rolnego. Ferma to typ gospodarstwa w każdym kierunku niezmiernie elastycznego, a więc zdolnego do postępu ad infinitum, podnoszącego do maximum wydajność każdej pracy, czyli redukującego do minimum pracę na wszelkie niemal czynności w gospodarstwie, umożliwiającego gospodarzowi trzymania stale w ręku całego swego warsztatu bez odrywania się od swych właściwych czynności...

Dla braku miejsca nie mogę tutaj gubić się w szczegółach w wyliczaniu zalet »kolonizacji« w porównaniu z komasacją bez rozbudowywania się. Tak samo nie będę mówił o jej stronach ujemnych (każda rzecz musi mieć choć minimalne strony ujemne). Ciekawych odsyłam do artykułu mego »W sprawie komasacji gruntów włościańskich« (Rolnik Nr.Nr. 51 i 52 r. 1908) oraz do powstałej na jego tle polemiki.

Za największy więc błąd poczytuję Komisji agrarnej, iż oparła się na wzorach austriackich, przyjmując w dodatku, narzuconą zresztą z góry, całą nieskończone długą procedurę w swych pracach. Gdyby okiem rzucono w stronę Danji, wnet by się przekonano, że tam, a nie pod Wiedniem trzeba nam się uczyć.

Dla nas komasacja bez kolonizacji to półśrodek — wprawdzie półśrodek o skutkach ogromnych, tak ogromnych, iż przyćmiewają one sam cel pracy, ale w każdym razie tylko półśrodek. Wprawdzie można byłoby się cieszyć, gdyby gospodarstwa nasze zostały radykalnie »podleczone« komasacją, jednakże są one w stanie tak groźnym, iż tylko zupełne wyleczenie może

być zalecane, a zupełne wyleczenie — to przejście na gospodarstwa fermowe.

Moim zdaniem więc Komisja agrarna powinna postawić sobie za zasadę — przeprowadzać tylko komasację z rozbudowywaniem wsi, a w wyjątkowych wypadkach, gdzie np. budynki są murowane wyłącznie lub lepione z gliny, albo gdzie nie ma na studnie wody na znaczniejszych przestrzeniach, tam poprzestać na komasacji właściwej.

Na przenoszenie budynków powinny być dawane zapomogi, aby w ten sposób sprawę tę ułatwić, a prócz tego przyznawane wszelkie ulgi podatkowe. Zaborczy rząd rosyjski, prowadząc komasację na Litwie, daje przecież dosyć znaczne zasiłki w gotówce i materiały budowlane (150 rubli i 25 pni drzewa za 25% wartości tegoż na gospodarstwo). Czyż więc u nas, gdzie na wszystko daje się subwencje, nie ma ta akcja w ten sposób być poparta?

Komasacja wraz z rozbiem wsi galicyjskiej na fermy powinna być kamieniem węgielnym całego gmaczu wysiłków społeczeństwa nad rozwiązaniem należytym kwestji rolnej. Kto głębiej wniknie w istotę gospodarstwa rolnego, w obecne warunki ekonomiczne tegoż, a pozna stosunki wsi naszej, niewątpliwie dojdzie, jak ja, do przekonania, iż bez rozwiązania kwestji rozkawałkowania naszych gospodarstw, nie może być mowy o rozwiązaniu kwestji rolnej. Praca społeczno-rolnicza w każdym kierunku może być prowadzona jaknajintensywniej, a jednak należytych owoców wydać nie będzie w stanie, jeżeli będzie wciąż trafiała na mur szachownicy gruntów.

Gospodarstwo rolne, które, jeżeli nie posiada jeszcze, to w każdym razie powinno posiadać cechy gospodar-

stwa pieniężnego, wymaga też odpowiedniej organizacji kredytu, bez której nie mogłoby w naszych warunkach istnieć. Naszkicowanie obrazu tego kredytu nie leży w zakresie mej pracy, wobec czego poruszam tę sprawę tylko o tyle, o ile ma ona związek z niedomaganiem naszego rolnictwa, a omawiam nieco szerzej te instytucje kredytowe, które dla specjalnych celów rolniczo-społecznych powołane do życia zostały. Jedną kategorią tych instytucji są opisane już wiejskie kasy oszczędnościowo-pożyczkowe, pozostające pod Patronatem Wydziału krajowego.

Najważniejszą potrzebą rolnictwa pod względem kredytowym jest należyta organizacja kredytu hipotecznego; należy przytym odróżniać kredyt dla własności większej od kredytu hipotecznego dla włościan.

Pierwszy nie napotyka zazwyczaj na wielkie trudności przy tworzeniu się swym, ponieważ ziemia w większych kompleksach jest doskonałą poręką hipoteczną, przewyższającą de facto nieruchomości miejskie. A jednak u nas w Galicji pod tym względem widzimy znaczne anomalje, bardzo nieraz dotkliwe dla rolnictwa — oto wszystkie instytucje kredytowe udzielają pożyczek hipotecznych na dobra ziemskie w rozmiarach zbyt małych, o wiele niższych zazwyczaj od odpowiedniego procentu ceny dóbr, podczas gdy np. w Ks. Poznańskim pożyczki te dochodzą nieraz do 75% rzeczywistej wartości majątku. Oczywiście tak wysokie, jak tam, obciążenie majątków może nie być ryzykowne tylko w warunkach ogromnego uregulowania życia ekonomicznego kraju. U nas zaś mamy stosunki wręcz odwrotne — widzimy znaczną dezorganizację życia ekonomicznego majątności ziemskich. Pochodzi ona przeważnie z wyśrubowanych niepomiarnie cen ziemi w większej części kraju i z chwiejności tych cen.

W okolicach, dokąd gorączka parcelacyjna jeszcze nie dotarła, mamy stosunki pod tym względem zupełnie normalne, ale gdzie tylko już istnieje ona, kredyt staje się bardzo bojaźliwy.

Kredytu hipotecznego udzielają u nas następujące instytucje:

1. Towarzystwo kredytowe ziemskie, specjalnie dla kredytu hipotecznego na dobra ziemskie przeznaczone, wykazywało z końcem r. 1908 pożyczek na sumę 250.837.000 koron;

2. Bank hipoteczny we Lwowie — towarzystwo prywatne akcyjne — miał na dobrach ziemskich w tym czasie 77.071.000 koron;

3. Bank krajowy na dobrach ziemskich—44.553.000 koron. Oprócz tych trzech instytucji lokują częściowo swe kapitały na hipotekach ziemskich kasy oszczędności. W r. 1905 ogólna ilość pożyczek hipotecznych tych kas wynosiła 155.842.000 koron. Jeżeli liczyć, że na dobra ziemskie przypada z tego 30% (tyle rachuje Kollischer¹⁾ dla r. 1895), to wypadnie na nie z tego źródła około 45.000.000 koron. W końcu Bank Austro-Węgierski i inne instytucje kredytowe pozagalicyjskie mają kilkadziesiąt milionów. Ogólne zaś obdłużenie hipoteczne własności tabularnej wynosiło w r. 1905 — 599.136.000 koron²⁾.

Zróżdła więc kredytu hipotecznego dla większej własności ziemskiej są liczne i dobre, więc główne niedomagania tego kredytu tkwią nie w instytucjach, lecz wewnątrz samej tej własności.

Oprócz kredytu hipotecznego, potrzebują dobra

¹⁾ Dr. Kollischer: Organizacja kredytu w Galicji.

²⁾ Cyfry ze sprawozdań rocznych odnośnych instytucji i z »Podręcznika statystyki Galicji«.

ziemskie kredytu na meljoracje. Tutaj przychodzi im z pomocą Bank meljoracyjny, a z drugiej strony Wydział krajowy, o czym mówiłem już. Wobec małego postępu meljoracji, kredyt ten jest dopiero w zarodku.

Właściwym kredytem wekslowym (w odróżnieniu od lichwy) posługują się ziemianie nasi w stopniu niezbyt wielkim, korzystając przeważnie z kredytu rachunku otwartego na towary firm, od których te towary biorą. Obliczenia rozmiarów tego kredytu nie podejmuję się, chociaż dla wytworzenia poglądu na stan naszego rolnictwa miałyby to znaczenie nie małe. Kredyt osobisty znajdują więksi właściciele ziemscy w różnych towarzystwach zaliczkowych i kredytowych.

Swoiste zadania nakreśliła sobie od roku powstała instytucja pod firmą »Związek ziemian«. Jest to instytucja bankowa, która ma za zadanie niesienie pomocy kredytowej, a nieraz i fachowej majątkom ziemskim swych członków i chronienie ich w ten sposób od upadku lub parcelacji. Pomoc taka jest im nieraz ogromnie potrzebna — jeżeli chodzi o oddłużenie, porobienie inwestycji, wogóle o »uregulowanie interesów«. Czynności te, prowadzone przez samego właściciela, jeżeli nie posiada on gotówki, a kredyt hipoteczny jest wyczerpany, połączone są zwykle z potrzebą uciekania się do kredytu bardzo drogiego, albo wręcz są niemożliwe. »Związek ziemian« ma temu właśnie zaradzić.

Organizacja instytucji jest taka, iż opiera się ona na udziałach 500 koronowych swych członków. Udziałów tych dotychczas zadeklarowano 1344 od 281 członków, z czego na samo tylko Towarzystwo kredytowe ziemskie przypada 1000 udziałów (500.000 koron) — a więc lwia część. Prócz tego towarzystwo to zdeponowało w Związku Ziemian drugie 500.000 koron.

Majątków, któreby pomocy Związku ziemian po-

trzebowały jest bardzo wiele, a więc jego kapitał zakładowy jest zbyt szczupły. Jak mi mówił dyrektor tej instytucji, p. Aleksander Dąbski, należycie rozwinąć działalność można byłoby tylko, rozporządzając conajmniej 15 milionami koron. O powiększeniu do tej sumy udziałów niema mowy, boć chodzi większej części udziałowców o kredyt, a nie o lokatę kapitałów. Ale instytucja tak pożyteczna mogłaby przecież znaleźć zaufanie naszych kapitalistów-ziemian, tak że operowałaby np. kapitałem nie swoim, lecz obcym.

Interesa więc bierne Związku ziemian mogą polegać na przyjmowaniu depozytów (długoterminowych) i ewentualnie wydawaniu obligacji, zależnie od interesów czynnych.

Interesa zaś czynne z założenia rzeczy obejmują finansowanie inwestycji w gospodarstwach rolnych, spłacanie w nich pożyczek uciążliwych lub naglących — i wogóle pomoc gospodarstwu rolnemu większej własności ziemskiej. Do końca marca r. 1909 wydano w ten sposób pożyczek na 1.387.000 koron.

Czy młoda ta instytucja odpowie należycie swemu zadaniu, trudno przewidzieć. W każdym razie powodzenie jej w pierwszej linji zależy będzie od poparcia, jakiego w społeczeństwie dozna.

Kredyt dla drobnej własności ziemskiej z natury rzeczy bywa o wiele trudniejszy, od kredytu dla wielkiej własności. Dezorganizacja gospodarcza naszej wsi jest przytym czynnikiem specjalnie utrudniającym tę kwestję.

Kredyt osobisty krótkoterminowy, jak widzieliśmy, mamy uporządkowany należycie w tych gminach, gdzie istnieją spółki oszczędności i pożyczek, zostające pod patronatem Wydziału krajowego. Kredyt ten w życiu

gospodarczym włościactwa odgrywa nie mniejszą rolę, niż kredyt długoterminowy hipoteczny. Jest to zrozumiałe, jeżeli się zważy fakt, że dla rolnika drobnego jego gospodarstwo to nie kapitał, z którego odsetków żyłby on, lecz jest to warsztat jego pracy. Na przychód właściciela większego majątku składa się w pierwszej linii dochód czysty z jego własności, podczas gdy dla chłopu właściwym przychodem jest niemal cały dochód brutto, po odliczeniu tylko podatków, rozchodów na zakupno narzędzi rolniczych, nawozów sztucznych, pasz i t. p. Jeżeli jednak gospodarstwo jego jest zbyt małe, to dochód ten może zaledwie sięgać minimum wydatków na potrzeby gospodarza i rodziny — wtedy oczywiście zdolność kredytowa jego jest de facto bardzo mała. Z drugiej strony, jeżeli gospodarstwo jest większe, albo właściciel jego ma dochody uboczne (zarobki) może ta zdolność podnieść się stosunkowo bardzo wysoko. W każdym razie i w jednym i w drugim wypadku można mówić tylko o zdolności kredytowej nie gospodarstwa lecz gospodarza. Stąd pochodzi ten znakomity podkład do rozwoju kredytu osobistego przez zakładanie spółek typu Raiffeisena, gdzie zarząd spółki zna każdego członka, i potrafi ocenić należyście jego osobistą zdolność kredytową.

Inaczej zupełnie przedstawia się kredyt hipoteczny. Tutaj zdolność kredytowa samego gospodarza odgrywa rolę tylko przy zaciąganiu pożyczek prywatnych. Te jednak stale będą zakrawały na lichwę, ponieważ tylko zwabiony wysokim procentem kapitał prywatny zechce rozproszkowsywać się na drobne pożyczki długoterminowe, a choćby nawet i krótkoterminowe. Pozatym kredyt prywatny ma tę wielką wadę, iż właściwie terminu wypowiedzenia zwykle z góry się nie oznacza, a zależy on w zupełności od kredy-

tora. Wogóle kredyt hipoteczny prywatny tyle posiada w sobie chaosu i braków, iż może być uważany tylko za malum necessarium. A jednak dla własności małorolnej odgrywać on musi w naszych warunkach pierwsze źródło pod tym względem. Dążeniem więc odpowiedniej akcji społeczno-ekonomicznej powinno być stworzenie instytucji, któraby mogła kredytu hipotecznego wsiom naszym udzielać.

Jest to oczywiście rzecz nie łatwa, bo chociaż pożyczka może mieć zupełną gwarancję w wartości ziemi, którą obciąża, to jednak każde gospodarstwo włościańskie narażone jest na niewypłacalność: drobne a bardzo liczne pożyczki doprowadzałyby stale do licznych a uciążliwych egzekucji, co działać może tylko odstraszająco na kapitał. Stąd kredytu hipotecznego dla włościan może dostarczać tylko instytucja publiczna, której listy zastawne miałyby jakąś gwarancję poza obciążoną niemi ziemią. Taką instytucją jest u nas Bank krajowy, który też rzeczywiście udziela włościanom pożyczek, tylko że rozmiary tej akcji są bardzo nieznaczne w stosunku do potrzeb kraju. Oto w końcu r. 1908 stan pożyczek hipotecznych własności włościańskiej wykazywał w tym Banku 10.957 pozycji na 17.571.000 koron. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, iż całkowite obciążenie hipoteczne tej własności wynosiło (w r. 1905) 382.620.000 koron, to się przekonamy, że udział Banku jest bardzo mały.

Kwestję tę w znacznym stopniu można byłoby rozwiązać przez rozszerzenie działalności Banku krajowego, opierając ją na kasach pożyczkowo-oszczędnościowych. Już obecnie kasy te nieraz wyjednywają dla swych członków pożyczki z Banku wspomnianego. Jest to wielką gwarancją, że pożyczkę otrzyma tylko gospodarz wypłacalny, a więc obawa przed ewentualną

egzekucją zmniejsza się w stopniu znacznym. Gwarancja zaś pożyczki jest stale dobra, ponieważ cena ziemi po wsiach naszych jest o wiele wyższa od szacunku Banku. Przytym włościanie posługują się kredytem o terminie znacznie krótszym, niż własność większa, co już samo podnosi stopień gwarancji przez szybką amortyzację, a więc i zmniejszanie pożyczki.

Pozatym po wsiach działają t. zw. kasy gminne i kasy powiatowe. Są to dosyć dziwaczne, jak na nasze czasy kapitalistyczne, instytucje kredytowe, operują one bowiem tylko kapitałem własnym, który jest własnością gminy lub powiatu. Prowadzą więc tylko interesa czynne. Udzielają one z tego kapitału pożyczek przeważnie hipotecznych na dłuższy lub krótszy termin.

Kasy te z założenia swego już więcej przypominały kasy wsparć, niż instytucje kredytowe, miały bowiem udzielać kredytu rolnikom w nagłej potrzebie — w biedzie. Kapitał tych kas (gminnych i powiatowych) wynosił obecnie z górą 15.000.000 koron.

Naogół prosperują one dosyć nieudolnie.

Zupełnie swoiste cechy nosi na sobie kredyt włościański na tworzenie tak zwanych włości rentowych. Wychodzi już on ze sfery zwykłego kredytu, wkraczając w dziedzinę polityki agrarnej w kierunku zmiany ukształtowania władania ziemią.

Przez wybitniejszych ekonomistów naszych za główną wadę ustosunkowania się władania ziemią poczytywany jest, jakem mówił, brak większych gospodarstw włościańskich, gospodarstw, któreby nie tylko były dobrymi warsztatami rolnymi, lecz jednocześnie demokratyzowały społeczeństwo nasze, dawały konsumentów na produkta przemysłu krajowego i t. p. Aby zaradzić więc temu brakowi postanowiono tworzyć wspomniane włości

rentowe. Sejm uchwalił na ten cel (w r. 1905) wydanie listów zastawnych rentowych, opartych na hipotece tworzonych włości, a gwarantowanych przez kraj. Listami temi wypłaca się pożyczki rentowe, w ten sposób puszczając je w obieg. Prowadzi tę sprawę specjalnie na to powołana do życia komisja dla włości rentowych wraz z jej biurem.

Kredyt rentowy różni się zasadniczo od kredytu hipotecznego: udziela się go nie na pewne nieruchomości (ziemię, budynki), lecz wyłącznie na gospodarstwa kompletne i dobrze zorganizowane. Za podstawę oceny gospodarstwa bierze się zazwyczaj nie jego wartość, lecz rentowność, przyczym pożyczka rentowa nie może być wyższą od 30-krotnego dochodu katastralnego ziemi wraz z połową sumy, na jaką ubezpieczone są budynki. Często jednak bierze się jako maximum pożyczki 75% wartości gospodarstwa. Rozmiary włości rentowych mogą się wahać tylko w granicach od 3 ha do 60 ha powierzchni i 50 do 1000 koron dochodu katastralnego.

Gospodarstwo, obciążone pożyczką rentową, nie może być dzielone i sprzedawane w całości lub częściowo, chyba na specjalnych warunkach za zezwoleniem komisji dla włości rentowych. Pożyczka rentowa nie może być spłacona prędzej, jak za lat 10, a normalnie rozkłada się jej spłatę na lat 52 lub 56. Wszelkie koszty administracyjne ponosi fundusz krajowy, tak że właściciele włości rentowych płacą tylko procent od listów zastawnych (4% lub 4½%) i ½% na amortyzację pożyczki.

Widzimy więc, że kredyt ten ma służyć do tworzenia średnich i większych gospodarstw włościńskich, których właściciele byłiby w znacznym stopniu ograniczeni w prawie władania swą ziemią. Gospodarstwa

te chronione byłyby w ten sposób od rozpadu, a więc stanowiłyby przeciwwagę rozdrabianiu się zagród włościańskich. Włość rentowa może być utworzona zarówno z gospodarstwa już istniejącego, albo też specjalnie w tym celu nabytego np. na parcelacji lub zaokrąglonego przez dokupno gruntów i t. p. Chodzi więc i o tworzenie nowych gospodarstw odpowiednich rozmiarów i o zachowanie już istniejących w ich obszarze przez związanie pożyczką rentową.

Ustawa o włościach rentowych w życie weszła dopiero w jesieni r. 1907. Przy swoich narodzinach spotkała się z różnemi zarzutami i z nieufnością społeczeństw, a nawet sejmu. Znakomicie jednak przetrwawszy próbę ogniwą stawiania pierwszych kroków, zyskuje coraz więcej zwolenników, i choć oznaczona norma maksymalna listów rentowych (5.000.000 kor.) już jest na wyczerpaniu, nie można wątpić, iż sejm uchwali w miarę potrzeby rozszerzenie jej.

Do lata r. 1909 przyznano naogół 4.070.700 kor. pożyczek rentowych, po odliczeniu tych które zostały przyznane, lecz później dla różnych przyczyn odpadły. Do dyspozycji więc pozostaje zaledwie 929.300 koron. W ten sposób wkrótce Sejm będzie musiał zezwolić na wypuszczanie nowej serji listów.

Rozmiary tworzonych przez Komisję włości rentowych są naogół średnie. I tak podług sprawozdań Wydziału krajowego w r. 1907 wypłacono pożyczek 112 gospodarstwom, które dzieliły się co do rozmiarów swych na kategorie następujące:

od 5 do 10 morgów	20 gosp.
» 10 » 15 »	29 »
» 15 » 25 »	36 »
» 25 » 35 »	14 »

» 35 » 50 morgów	6 gosp.
powyżej 50 »	7 »

(Przeciętna wartość szacunkowa morga gruntu wynosiła 737.11 koron, zaś udzielonej pożyczki — 460,17 koron na morg.)

Dotychczasowa działalność w kierunku tworzenia włości rentowych nie może jeszcze wyrzeć wpływu jakiegos na zmianę stosunków posiadania ziemi, ponieważ rozmiary tej pracy w porównaniu z potrzebami kraju są bardzo małe. Pamiętajmy jednak, iż są to pierwsze kroki. Gdyby z czasem powstało włości rentowych tyle, aby stanowiły one pewien okazały procent gospodarstw, wywarłyby one niewątpliwie wpływ nader dodatni na ogólne ukształtowanie stosunków rolniczych kraju. Zbyt wielka ilość gospodarstw wielkocłopskich, z pewnych względów bardzo wskazana, byłaby u nas już anomalją wskutek wielkiego rozdrobnienia ogólnego wsi. Do tego jednak działalność Komisji dla włości rentowych doprowadzić nie może, życie bowiem samo a i celowość pracy staną temu na przeszkodzie. Z przytoczonych cyfr widzimy, iż na 112 gospodarstw, aż 99 nie przekraczało rozmiarami 35 morgów. Są to wszystko gospodarstwa chłopskie średnie, czyli że gospodarstw wielkocłopskich tworzy się bardzo mało. Moim zdaniem, jest to objaw dodatni, nawet wbrew założeniu pierwotnemu twórców ustawy o włościach rentowych. Chodzi o to, iż zbyt wielkie zagrody włościńskie, w naszych warunkach 20—30 hektarowe, nie mogą dojść do tego stopnia intensywności, co zagrody nieco mniejsze np. 10 hektarowe. Jest to wynikiem w pierwszym rzędzie tego, że intensyfikacja gospodarstwa włościńskiego odbywa się w głównej mierze przez zwiększanie pracy, a w mniejszym stopniu

kapitału. Gospodarstwo zaś wielkocłołpskie ma już w znacznym stopniu cechy gospodarstwa folwarcznego— pracę wykonywa robotnik i przez to tego rodzaju intensyfikacja przestaje się opłacać, natomiast bardziej jest wskazane włożenie większego kapitału. Prócz tego, wskutek małych potrzeb naszej ludności, nie będzie tego bodźca postępu, jakim jest przewaga potrzeb gospodarza nad jego dochodami. Jeżeli więc weźmiemy z jednej strony to pod uwagę, a z drugiej przypomnimy, że wogóle ziemi nam brak, a przez to oddanie znacznych przestrzeni na gospodarstwa stosunkowo większe wytworzy jeszcze większą proletaryzację wsi, musimy dojść do przekonania, że wskazanym jest tworzenie włości rentowych, nie przekraczających rozmiarami 20 h a.

Być może włościom rentowym sądzono jest odegrać rolę bardziej zasadniczą, niż napozór się zdawać może. Godzą one bezpośrednio w dotychczasowe formy władania ziemią. Jesteśmy krajem niepodzielnego i indywidualnego władania ziemią. Tymczasem włość rentowa z jednej strony należy do właściciela z drugiej do kredytora tegoż — władz krajowych, które dosyć wybitny wpływ na życie ekonomiczne gospodarstwa tego wywierają. Możliwe więc, że ta forma władania, albo jakaś inna, ale zbliżona do niej, będzie mogła w zupełności zastąpić dotychczasową formę indywidualną i uporządkować chaos, w jaki życie gospodarcze wsi naszych wpadło.

Nader doniosłe znaczenie dla rolnictwa naszego ma sprawa uregulowania parcelacji. O dotychczasowym jej charakterze chaotycznym i połączonym z nim wykysku nabywców, tworzeniu parcel nieodpowiednich, oraz dewastacji folwarków pisałem już w rozdziale I.

Z projektem regulacji parcelacji wystąpił w r. 1905 Prof. St. Grabski. Projekt ten jednak upadł, ale zapewne znowu wróci do Sejmu i być może zostanie uchwalony.

Projekt Prof. Grabskiego domaga się stworzenia kredytu parcelacyjnego i prawnego uregulowania tej czynności. Projekt swój streszcza autor w ostatecznym wywodzie swego referatu¹⁾ w sposób następujący, zalecając:

»I. Utworzenie krajowej instytucji kredytu parcelacyjnego, udzielanego nabywcom parcelacyjnym ziemi, celem umożliwienia im nabycia jej bezpośrednio od większych przedsiębiorców rolnych. Kredyt ten służyć powinien tylko racjonalnej parcelacji i winien być tańszym i stosunkowo wyższym, gdy z parcelacji powstają gospodarstwa, mające warunki samoistnego bytu gospodarczego, niż gdy mają powstać osady karłowe.

II. Zorganizowanie przez kraj parcelacyjnego handlu ziemią. Gdy jednak chodzi o to, by z reguły na rynku parcelacyjnym bezpośredni między sprzedającymi a nabywcami istniał stosunek, nie może ono polegać na utworzeniu krajowej instytucji komisowo czy na własny rachunek trudniącej się parcelacją. Zresztą, kraj nie może być przecież przedsiębiorcą parcelacyjnym. Lecz kraj może i powinien wziąć handel parcelacyjny pod swą opiekę i kontrolę. A mianowicie winien on:

a) wydać ustawę normalną i utworzyć patronat dla spółek parcelacyjnych, organizujących zbiorowe zapotrzebowanie ziemi ze strony włościan, tak, by wła-

¹⁾ »Referat Dra Stanisława Grabskiego w sprawie parcelacji«. — Alegata do rozpraw sejmowych, r. 1905.

ściciel folwarku mógł ziemię swą sprzedać w większym odrazu kompleksie, nie wdając się w pertraktacje handlowe z każdym z parcelantów z osobna, a jednak by ci ostatni bezpośrednio od większego przedsiębiorcy rolnego nabywali ziemię.

b) spółkom stojącym pod kontrolą i kierownictwem Patronatu zapewnić specjalne przywileje, a więc:

α) uwolnienie od opłat stemplowych i ulgi w należnościach przenośnych,

β) wykonywane darmo przez krajowe biuro plany parcelacyjne, co oprócz oszczędności w kosztach da im możliwość znacznie szybszego prowadzenia interesu, niż gdyby musiały sporządzone przez się plany odnośnie podawać do zatwierdzenia kontrolującej parcelację władzy krajowej,

γ) przedewszystkim zaś, zarezerwowanie wyłącznie dla spółek tych krajowego kredytu parcelacyjnego.

c) kierować działalność spółek parcelacyjnych tak:

α) by możliwie największa część parcelowanej ziemi szła na tworzenie samodzielnych gospodarczo osad,

β) by z powodu parcelacji nie pogarszały się, lecz raczej poprawiały stosunki komasacji, by więc włościacini gmin sąsiadujących z folwarkiem, zamiast adjakcyjne przedewszystkim dokupywać części, o ile tylko można, sprzedawali raczej dawne swe grunta, a kupowali całkowite na ziemi folwarcznej osady,

γ) by wedle możliwości były tworzone przy parcelacji całkowitej i większe, 40 do 60 hektarowe włości rentowe, względnie folwarki 100 do 150 hektarowe, o ileby dało się je w pewne zasobnego w fachową wiedzę i odpowiedni kapitał przedsiębiorcy rolnego ręce odsprzedać,

δ) by zabudowania folwarczne, zamiast ulegać zniszczeniu szły na publiczny wsi użytek, jako to kaplicę, szkołę, ochronkę, mleczarnię spółkową etc., względnie pozostawały przy wspomnianych powyżej włościach rentowych czy folwarczkach.

III. Wydanie ustawy warunkującej handel parcelacyjny ziemią, któraby zmieniając odpowiednio §. 3. ustawy krajowej z 1. listopada 1868 r, o wolnym obrocie ziemi, postanowiła:

a) dla zawarcia prawomocnego kontraktu sprzedaży i kupna ziemi, powodującego podział posiadłości ziemskiej powyżej 3 hektarów obszaru mającej, potrzebnem jest przedłożenie zatwierdzonego przez kompetentną władzę kraj. planu parcelacyjnego;

b) plan parcelacyjny zawierać winien:

α) mapę i wykaz kultur poddanego parcelacji obszaru,

β) mapę zamierzonego podziału,

γ) wykaz prowizorycznie zawartych z nabywcami umów;

c) plan parcelacyjny może być nie zatwierdzonym, z powodu:

α) niezabezpieczenia odpowiednich dojazdów do poszczególnych nowo powstających pól,

β) uniemożliwienia, względnie zbytniego utrudnienia na przyszłość komasacji odnośnej gminy,

γ) widocznego narażenia lasów na bezprawną dewastację,

δ) wyraźnych znamion lichwy w zawartych umowach przedwstępnych.

W trzech pierwszych wypadkach winna władza krajowa wskazać zmiany, od dokonania których uzależnia zatwierdzenie przedłożonego jej planu. W razie

zaś skonstatowania lichwy winna uwiadomić o tym odpowiednie władze sądowe.

IV. Wydanie ustawy, któraby, nie ograniczając bynajmniej rozmiarów nowo powstających z parcelacji posiadłości ku zapobieżeniu jednak coraz groźniejszemu pogarszaniu się stosunków komasacji określiła dozwolone minimum nowo tworzonych parcel.

V. Wprowadzenie dopełnień i zmian do ustaw krajowych: gminnej, o obszarach dworskich, i o księgach hipotecznych. wynikających konsekwentnie z powyższych nowo wydanych ustaw, jakoteż regulujących nieprzewidziane w dotychczasowym ustaw tych sformułowaniu zmiany, powstające wskutek parcelacji w odnośnych stosunkach administracyjnych i prawno-cywilnych«.

Aby wprowadzić projekta te w czyn musiałby w pierwszym rzędzie być uchwalony kredyt odpowiedni — mianowicie na początek 30 milionów koron w obligacjach komunalnych Banku krajowego.

Na tych zasadach prawno-ekonomicznych oparta parcelacja, zatraciłaby niewątpliwie dotychczasowe swe cechy destrukcyjne, stałaby się zaś normalnym zjawiskiem ekonomicznym, któreby tylko za ewolucję w pewnym kierunku życia gospodarczego uważane być musiało. Z drugiej strony stworzenie krajowego kredytu parcelacyjnego dałoby władzom w rękę możliwość wpływania w pewnym kierunku na życie ekonomiczne obciążonych tym kredytem gospodarstw — można byłoby bardzo znacznie rozszerzyć działalność zakładania włości rentowych i to zarówno wielkich, jak chce Prof. Grabski, jak i średnich 5, 10, 15 hektarowych. Autor projektu jest wprawdzie zwolennikiem wielkich gospodarstw kmiecych, mimo to życie prawdopodobnie zmusiłoby i tutaj do tworzenia przeważnie średnich włości

rentowych, które też, moim zdaniem, są najbardziej racjonalne.

Znaczną bolączką rolnictwa Galicji jest nieuregulowana dotychczas kwestja ubezpieczenia od ognia. Od dawna już odzywają się głosy potrzeby wprowadzenia pod tym względem przymusu. Ostatnio sprawa ta oparła się o Sejm na sesji z r. 1908.

Przymus ubezpieczania nieruchomości od ognia istnieje w Królestwie Polskim i chociaż wysokość asekuracji jest tam zwykle wiele niższa od wartości budynku, jednakże pożary już nie są przez to tak straszną klęską w życiu rolnika, jak były dawniej. Mamy więc wzór dobry, a więc długie namysły Sejmu i rządu są, moim zdaniem, zbyteczne, gdyż niepotrzebnie tylko sprawę przewlekają.

Z towarzystw asekuracyjnych najwięcej znaczenia ma Krakowskie towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń, które w r. 1905 miało polis na 1731 milionów koron. Drugie miejsce zajmuje towarzystwo »Dniestr«, a w końcu niedawno utworzona »Wisła«. Towarzystwa te prowadzą ubezpieczenia od ognia nieruchomości i ruchomości, a także plonów od gradu.

Pożądanemby było, aby towarzystwa te większy położyły nacisk na ubezpieczanie krestencji gospodarstw rolnych, gdyż wartość jej często przewyższa wartość budynków, zaś przy pożarach trudną bywa do ratowania. Wątpię aby dało się przeprowadzić prawo ubezpieczenia przymusowego krestencji i wogóle wszelkich ruchomości, ponieważ nastęrczałoby to wiele trudności. Należałoby więc w tym kierunku rozwinąć akcję agitacyjną i ułatwić drobnym rolnikom korzystanie z tego rodzaju asekuracji. Niewątpliwie Kółka rolnicze mogłyby tu wiele zdziałać, agitując za asekuracją, a w ra-

zie czego biorąc subagiencje na siebie za niewielką prowizją. To samo dałoby się powiedzieć i o ubezpieczeniu od gradu.

O wiele trudniejszą od ubezpieczenia od ognia i gradu majątku rolnika, jest sprawa ubezpieczenia inwentarza żywego od upadku. Na szczęście mamy w tym kierunku duże, a zapewne drogo okupione doświadczenie krajów Europy zachodniej — państw Rzeszy niemieckiej, Francji, częściowo także Austrii. Wszędzie tam przekonano się, iż asekuracja zwierząt może być tylko wtedy należycie zorganizowaną, jeżeli za podstawę weźmie się małe stowarzyszenia, obejmujące jedną lub parę gmin. Upadek każdej sztuki nie tylko powinien być zakomunikowany instytucji ubezpieczeń, lecz mężowie zaufania jej powinni wiedzieć lub widzieć naocznie, co było przyczyną upadku, czy np. nie zachodzi tutaj wina samego gospodarza wskutek złego obchodzenia się ze zwierzęciem, czy nie nastąpiło nadużycie jakie i t. p. To może być skontrolowane tylko przez stowarzyszenie ograniczone co do swych rozmiarów. Dopiero opieka nad takimi małymi organizacjami może być powierzona instytucji centralnej, zależnej np. bezpośrednio od władz publicznych.

Projekt podobny istnieje już u nas, nawet robione są próby w tym kierunku w powiecie gródeckim.

Sprawa ta prawdopodobnie doczeka się pomyślnego rozstrzygnięcia w niedalekiej przyszłości. Jest ona w Galicji znacznie ułatwiona przez wcale dobrą organizację opieki weterynaryjnej, a chociaż autor projektu (hr. Skarbek), zarówno jak i komisja sejmowa, uznali, że może należałoby w pewnym kierunku zmienić ustawy weterynaryjne, to jednak już i obecnie pod tym względem mamy pole dosyć dobrze przygotowane.

Należycie zorganizowane ubezpieczenie od ognia, gradu i upadku inwentarza jest czynnikiem, nader dodatnio wpływającym, na rozwój rolnictwa. Nabiera ono przez to cech większej stałości, ryzyko klęsk zmniejsza się dosyć silnie, a przez to i całe gospodarstwo może wykazywać więcej rzutkości i śmiałości w postępie, każda bowiem sprawa, regulująca życie ekonomiczne gospodarstwa, w znacznym stopniu podnosi jego żywotność.

Przeglądając całokształt pracy społeczno-rolniczej w Galicji, spostrzegamy, iż wiele jej gałęzi, powstałych i prowadzonych pierwotnie na drodze samopomocy społecznej, powoli zatracą tę cechę, nabierając zabarwienia działalności organów administracji rolnej. W pierwszym rzędzie spostrzec to można na Towarzystwach rolniczych, a także na Towarzystwie Kółek rolniczych. Instytucje te rozwinęły obecnie działalność bardzo szeroką, ale za fundusze nie swoje, lecz subwencyjne. Przeto zarządy ich stały się panami położenia, a członkowie stali się w znacznym stopniu od nich zależni. Zarządy zaś ze swej strony wpadły w zależność od dającego subwencję — Wydziału krajowego lub rządu centralnego.

Z drugiej strony, jakem wspominał, instytucje te, rozszerzając zakres swej pracy, zaczęły stopniowo na pewnych polach konkurować ze sobą — wogóle niemal w całej pracy społeczno-rolniczej powstał nie mały chaos, zupełnie może zrozumiały, ale mimo to przecież wielce szkodliwy. Odczucie więc tego, a z drugiej strony uświadomienie coraz silniejszego zaostrzenia kwestji rolnej, pobudziło pewnych ekonomistów i działaczy społeczno-rolniczych do zastanowienia się nad sposobami sanacji pracy na tym polu. Potężny czynnik

do tego widziano w utworzeniu przymusowego związku zawodowego rolników, na wzór pruskich Izb rolniczych, który miałyby wchłonać w siebie całą niemal pracę towarzystw rolniczych i Towarzystwa Kółek rolniczych. Istnieje nawet od r. 1902 państwowa ustawa ramowa o tworzeniu zawodowych związków rolników, a niektóre kraje Austrii wprowadziły już ją w życie.

Pierwszym inicjatorem u nas w tym kierunku był poseł Hupka. Sprawa ta nie budziła jednak pierwotnie szerszego zainteresowania, aż znowu w ostatnich czasach nabrała aktualności i zapewne wejdzie na najbliższej kadencji pod obrady sejmu.

Tym razem występuje Dr. Stefczyk, kreśląc nie tylko plan organizacji zawodowej, lecz podając jednocześnie projekt reorganizacji niższego szkolnictwa rolniczego i tworzenia kooperatyw rolniczo-zarobkowych, na ścisłym planie ogólnym opartych. Traktująca o tym broszura Dra Stefczyka¹⁾ ukazała się, kiedy miał już rozdział niniejszy niemal wykończony, wobec czego nie mogłem uwzględnić wywodów autora na poprzednich stronicach.

Projektowany przez Dra Stefczyka Związek zawodowy rolników miałyby w pierwszym rządzie na celu prowadzenie pracy oświatowo rolniczej w bardzo szerokim zakresie, a także czynne popieranie rolnictwa.

Następnie popierałyby wszelkiego rodzaju spółki i stowarzyszenia rolnicze, prowadziłyby wobec władz obronę interesów rolnictwa, popierał i współdziałał w akcji społeczno-rolniczej władz krajowych i rządowych — wogóle byłyby pomocny przy wszelkiej akcji

¹⁾ Fr. Stefczyk: W sprawie organizacji krajowego rolnictwa. 1909.

tych czy owych instytucji, działających na korzyść rolnictwa lub jego gałęzi poszczególnych.

Związek ten opierałby się na organizacjach powiatowych, w których rękę skupiaćby się miała cała praca. Tworzone więc miałyby być związki powiatowe, których członkami byłiby wszyscy rolnicy, opłacający pewien minimalny podatek gruntowy, a także mogliby doń zapisywać się nauczyciele rolnictwa i inne osoby, z rolnictwem w kontakcie określonym stojące, spółki rolnicze i dobrowolne Związki rolników (np. Kółka rolnicze).

Związek powiatowy działałby przez zebranie powiatowe, składające się z delegatów gmin, z większych właścicieli ziemskich, delegatów stowarzyszeń, nauczycieli rolnictwa i wogóle tej kategorii członków Związku. Zebranie to wybierałoby powiatowy Zarząd rolniczy (10 członków), w skład którego weszliby pewni członkowie delegowani (przez Radę powiatową, »Krajowy Zarząd rolniczy« i pewne kooperatywy rolnicze).

Powiatowy Zarząd rolniczy wzięłby w swoje ręce całą niemal dotychczasową działalność Towarzystw rolniczych i znaczną część pracy Zarządu Głównego i Zarządów Powiatowych Kółek roln. za wyjątkiem w pierwszym rzędzie pracy handlowo-rolniczej. Oprócz tego niższe szkolnictwo rolnicze miałoby przejść zupełnie do tych związków, przyczym Dr. Stefczyk jest za utworzeniem podobnych do projektowanych przez Prof. Bujaka instytutów rolniczych, chciałby więc mieć w nich szkołę zimową (rozróżnia jej dwa typy) i podstawę pracy oświatowo-rolniczej wędrowniej. Sąsiednie związki powiatowe mogłyby się łączyć, aby tworzyć wspólnymi siłami owe zakłady rolnicze.

Związki powiatowe łączyłyby się w Krajowy Związek rolników, któryby działał przez swą

Radę Ogólną, złożoną z delegatów Zebrań powiatowych i kilku członków delegowanych przez pewne instytucje. Z łona Rady wybierany byłby Krajowy Zarząd rolniczy z Wydziałem wykonawczym i Biurem rolniczym. Wszędzie pewną rolę odgrywaliby także członkowie delegowani, chociaż członkowie z wyboru mieliby stale nad nimi znaczną przewagę liczebną.

Rola Krajowego Zarządu rolniczego polegałaby na opiece nad Związkami powiatowymi i pewnymi Towarzystwami rolniczymi (centralnemi), na wyjednywaniu i rozdzielaniu subwencji na cele rolnicze — krajowych i rządowych oraz czuwaniu nad ich użyciem, na obronie interesów zawodowych rolnictwa przed Reprezentacją kraju i Rządem, wreszcie na wykonywaniu zadań organu doradczego Wydziału krajowego w sprawach rolniczych.

Fundusze Związki powiatowe i Zarząd krajowy brałyby z subwencji, ewentualnie z dodatków do podatków gruntowych łącznie w maksymalnej ilości 6%, przyczym nieczłonkowie związku t. j. rolnicy najdrobniejsi, nie opłacający minimalnego podatku (5 K.), nie byłiby temi dodatkami obciążeni, (nie znaczy to jednak, aby na nich związek nie rozciągał swej działalności), wreszcie z dochodów własnych.

Obecne towarzystwa rolnicze powinnyby, zdaniem autora projektu, całkowicie złąć się ze Związkiem zawodowym rolników, natomiast Towarzystwo Kółek rolniczych musiałoby się zrzec całej swej centralnej pracy oświatowo rolniczej, przekształcić się zaś w »Towarzystwo Kółek i spółek rolniczych«, którego zadaniem byłaby działalność patronacka nad:

a) handlowemi przedsiębiorstwami Kółek rolniczych;

b) lokalnymi stowarzyszeniami spożywcami, utworzonymi bądź przez członków Kółka rolniczego, bądź też wogóle przez miejscową ludność rolniczą;

c) lokalnymi spółkami rolniczymi w celu zakupu artykułów rolniczych i wspólnej sprzedaży produktów rolniczych;

d) powiatowymi »składnicami« towarów spożywczych;

e) powiatowymi lub okręgowymi spółkami handlowo-rolniczymi (magazynowymi).

Oprócz wykonywania patronatu nad tym, miałyby Towarzystwo to wytykać nowe drogi — tworzyć więc spółki nowego typu, np. sprzedaży jaj, owoców i t. p.

W żadnym razie Towarzystwo Kółek i spółek rolniczych nie powinno byłoby zajmować się samo handlem. Do tego powinny być stworzone osobne instytucje, czysto handlowe, tylko na zasadach ścisłej spółdzielności oparte. Instytucji tych, zdaniem projektodawcy, powinno być kilka, aby mogła nastąpić specjalizacja i lepsze przez to wyrobienie handlowe. A więc przez, obecnie już projektowaną, fuzję Syndykatu Towarzystw rolniczych w Krakowie, Oddziału handlowo-gospodarskiego we Lwowie oraz Związku Handlowego Kółek rolniczych powstałaby instytucja centralna do dostarczania rolnikom produktów potrzebnych rolnictwu jako takiemu (nawozów sztucznych, pasz, nasion, maszyn i narzędzi i t. p.) oraz do sprzedaży pewnych produktów rolnictwa. Wspomniane zaś (str. 191) Centralne Towarzystwo handlowe, zlane ściśle z obecnymi »składnicami« powiatowymi, dałoby organizację dla dostawy produktów handlu sklepów Kółek rolniczych (lokalnych spółek spożywczych). Handel zaś materiałem rzeźnym powinien byłby znaleźć też ścisłą organizację samodzielną

z Centralnym zarządem np. w Krakowie i filjami okręgowymi po całym kraju, pod któremi stalyby agienci lokalni.

Tak mniej więcej w streszczeniu, z pominięciem wszelkich szczegółów, przedstawia się plan Dra Stefczyka. Zakrojony więc jest on na skalę bardzo szeroką, zmierza bowiem do zupełnej reorganizacji znacznej części akcji społeczno-rolniczej w Galicji. Myślą przewodnią tego planu jest wprowadzenie możliwie zupełnej decentralizacji w tej akcji, uporządkowanie jej i danie środków do intensywniejszego prosperowania, oraz oparcie działalności handlowo-rolniczej na zasadach silnych — kupieckich. Założeniu temu od siebie żadnego zarzutu postawić nie mogę, gdyż jestem zwolennikiem tych zasad, czego dowody dałem już w rozdziale niniejszym. Wprowadzenie w życie projektu w ogólnych zarysach spotka naturalnie na wiele przeszkód i trudności, które także w znacznym stopniu utrudnią a nawet może częściowo spaczą akcję późniejszą.

Przedewszystkim niebezpieczeństwo kryje się w samym założeniu projektu — oparciu tego związku na wyborach. Rozwinie się agitacja polityczna, i niewątpliwie różne stronnictwa zechcą wedrzeć się do Zarządów powiatowych i Rady Ogólnej, aby zrobić z nich swoje placówki. Toczy nas gangrena politykomanji; wszędzie się ona wciska, ziejąc zniszczeniem i deprawacją charakterów. I zdaje się jest to najsilniejsze niebezpieczeństwo dla projektu Dra Stefczyka, o co ewentualnie mógłby on się nawet rozbić, lub spaczyć w życiu zupełnie, nie dorosiliśmy bowiem jeszcze do tego, aby zrozumieć, że polityka nie jest celem, lecz środkiem, że drugim środkiem, tylko znacznie potęż-

niejszym i donioslejszym jest praca społeczna, organiczna, że nie wolno więc jej zakazać polityką.

Drugą bardzo ważną przeszkodą jest znalezienie ludzi do pracy. Przedewszystkim wątpić należy, aby w powiatach poszczególnych znalazła się dostateczna ilość ludzi światłych i dzielnych, którzyby mogli spełniać rolę swoją w powiatowym Zarządzie rolniczym, zwłaszcza że koteryjność nasza nie dałaby może wejść tam jednostkom odpowiedniejszym. Również wielką trudność sprawiłoby znalezienie dzielnych funkcjonarjuszów, i to nie tyle co do ich wykszolenia, ile co do zalet charakteru. Mogłoby więc być tak, że Zarząd byłby nieudolny i jego funkcjonarjusze również, albo Zarząd byłby wprowadzie nieudolny, ale funkcjonarjusze stosunkowo dzielni — wtedy działaliby oni na swoją rękę, nie byłoby więc jednolitości w pracy. Dzielny Zarząd dobierze zawsze i dobrych pracowników. Słowem z powodu naszych wad społecznych mógłby do całej akcji wkraść się bezwład biurokratyczny.

Te dwie przeszkody widzę na pierwszym planie przy wprowadzeniu w życie projektu. Będzie ich naturalnie znacznie więcej, dotyczyłyby jednak one już szczegółów organizacji i pracy, nie mam więc potrzeby wspominać o nich, gdyż tylko ogólne zarysy projektu przedstawiam.

Pomimo to wprowadzenie w życie projektu, regulującego w zasadzie tak znakomicie akcję społeczno-rolniczą, nie mogłoby nie wyrzucić skutku zbawiennego. Może właśnie uzmysłowienie sobie niebezpieczeństw, z jakimi się spotkać wypadnie, da nam pewną broń przeciwko nim, boć przecież najpierw nieprzyjaciela trzeba poznać, a później go można zwalczać dopiero.

Inna już rzecz, że projekt ten wogóle może nie doczekać się zatwierdzenia przez Sejm. Na to może

złożyć się wiele powodów, a w pierwszym rzędzie cechująca naszą reprezentację krajową bojaźliwość przed projektami zbyt radykalnie zmieniającymi dotychczasowy stan rzeczy.

Jako przeciwwaga projektu wprowadzenia Zawodowego Związku rolników, występuje projekt założenia Rady kultury krajowej, któraby miała dosyć znaczne pełnomocnictwa — mniej więcej te same, co krajowy Zarząd rolniczy w projekcie Dra Stefczyka. Oprócz tego Rada ta miałaby w pierwszym rzędzie podzielić pracę społeczną pomiędzy instytucje poszczególne tak, by jedna drugiej w drogę nie wchodziła. Rada taka, składałaby się zapewne z delegatów istniejących organizacji rolniczych i Wydziału krajowego.

Moim zdaniem, rada taka wtedy tylko mogłaby należycie wywiązać się ze swego zadania, jeżeliby, zasiadający w niej ludzie byli przeważnie nie zależni od organizacji rolniczych, aby tym większą mieć swobodę działania i kontrolę nad podlegającymi bądź co bądź im towarzystwami rolniczymi i innymi instytucjami tego rodzaju. Dobrym przykładem mogą być w tym wypadku komisarze rolniczy angielskiego ministerjum rolnictwa. Są to urzędnicy, którzy, jakby u nas powiedziano, pełnią rolę referentów od subwencji rządowych w swoich okręgach. Przeważnie są to ludzie wybitnie ukwalifikowani, prowadzą zaś oni kontrolę nad instytucjami, pobierającymi subwencje rolnicze, narzucając przytym często tym instytucjom swoje zdanie, popierając je przytym argumentem najsilniejszym — zagrożeniem odebrania subwencji. Otóż nasza ewentualna Rada kultury krajowej powinna byłaby wziąć ten dział w swoje ręce. Nie mogłaby ona w takim jednak razie składać się głównie z delegatów instytucji, nad którymi ma czuwać.

Obecnie już istnieje Rada rolnicza przy Wydziale krajowym, która ma głos doradczy w sprawach rolniczych. Rada ta uważana jest przez wielu za początek Rady kultury krajowej.

Projekt utworzenia Rady kul. kr. nie może być właściwie zestawiony z projektem Dra Stefczyka, gdyż rozwiązuje on tylko drobną część tych planów, które w tantym projekcie są nakreślone. Naogół, gdyby projekt Dra Stefczyka nie dał się w życie wprowadzić, należałoby uznać, że Rada projektowana mogłaby okazać się pożyteczną, ale nie wystarczającą.

Rzucając okiem na całokształt pracy społeczno-rolniczej w Galicji, widzimy iż cechuje ją wielka wszechstronność i różnorodność gałęzi, nie ma jednak ona należycie wytkniętych celów ogólnych, zadawalnia się zaś celami poszczególnych działów. Również wielką wadą jest omijanie czynności trudniejszych, kładzenie zaś większego nacisku na czynności łatwiejsze lub bardziej wypraktykowane. Naogół zaś praca ta prawie we wszystkich kierunkach prowadzoną jest na skalę zbyt małą.

W obecnych warunkach głównym celem pracy społeczno-rolniczej po za szerzeniem oświaty zawodowej jest stworzenie należytego warsztatu rolnego. W tym kierunku powinna być zwrócona uwaga nasza w pierwszym rzędzie. A więc akcja tworzenia gospodarstw normalnych rozmiarów (włości rentowe) powinna iść równorzędnie z akcją tworzenia gospodarstw skomasowanych. Komasacja gruntów powinna więc być osią czynnej akcji społeczno-rolniczej. Bez komasacji nigdy nie dojdziemy do należytej wydajności gospodarstw naszych.

Stworzywszy, a raczej tworząc gospodarstwa

normalne choćby tylko pod względem rozmieszczenia pól, a częściowo i wielkości, szerząc jednocześnie oświatę zawodową i wogóle pchając naprzód całość kształtu pracy społeczno-rolniczej, możemy dojść do upragnionej maksymalnej intensyfikacji rolnictwa naszego i to w pierwszym rzędzie przez zatrudnienie w nim jaknajwiększej ilości rąk roboczych.

Najlepiej nawet prowadzona akcja społeczno-rolnicza u nas kwestji rolnej jeszcze sama nie rozwiąże. Zbyt zaogniła się kwestja ta, do nazbyt wielkich rozmiarów urosła, aby ją pracą na jednym tylko polu rozwiązać się dało. Nie — przewyciężyć ją można, tylko skupiając działalność we wszelkich możliwych kierunkach, prowadzących do rozszerzenia wytwórczości naszej w najszerszym słowa tego znaczeniu. Dołączyć więc do pracy tej należy akcję uprzemysłowienia kraju, uregulowanie rynków zbytu na pracę naszą (emigracji zarobkowej), uregulowania wreszcie osadnictwa zamorskiego. W każdym razie żaden z wspomnianych działów pracy nie zdolny jest wydać owoców tak obfitych, jak akcja społeczno-rolnicza. Można liczyć, że skomasowanie wsi naszych, zdrenowanie jej gruntów, uregulowanie kupna i sprzedaży a także przeróbki produktów rolniczych i t. p. samo, bez dalszej pracy w tym kierunku, potrafi odrazu podnieść wydajność naszych gospodarstw małorolnych o jakie 300, 400 a może nawet 500 milionów koron. Do jak potwornych więc rozmiarów musiałaby n. p. dojść emigracja zarobkowa, aby z niej sumę podobną uzyskać się dało?!

Sanacja więc pracy społeczno-rolniczej i rozszerzanie jej to pierwszy nasz obowiązek, a zarazem najpotężniejszy czynnik do rozwiązania kwestji rolnej.

ROZDZIAŁ IV.

Uprzemysłowienie kraju oraz wychodźstwo osadnicze, jako czynniki rozwiązania kwestji przeludnienia w Galicji.

Z kwestją rolną łączą się u nas szersze plany, zmierzające do rozwiązania kwestji przeludnienia. Pierwszym z nich jest sprawa uprzemysłowienia kraju.

Uprzemysłowienie Galicji to hasło nie nowe. Położenie ekonomiczne naszego kraju w drugiej połowie wieku ubiegłego było nie tylko nie lepsze od obecnego, lecz nawet znacznie gorsze, nic więc dziwnego, że od dawna już kiełkowała myśl wydzwignięcia go z upadku gospodarczego przez stworzenie przemysłu. Przykład szedł z Zachodu, praktyki zaś w tym kierunku nie posiadano wcale. Nie doceniając więc należycie tych przeszkód, jakie myśl ta w swym rozwoju napotkać miała, na niej wyłącznie chciano oprzeć odrodzenie kraju. Dziwić się temu niepodobna — uprzemysłowienie kraju to tak ponętna, bo tak skuteczna droga rozwiązania wielu bolączek ekonomicznych: przemysł to intensyfikacja maksymalna gospodarstwa społecznego. Kraj, produkujący dotychczas tylko plody rolnicze, uzyskuje nową gałąź wytwórczości, być może, nie mniej-

szą od rolnictwa; dotychczasowa jego produkcja nie tylko nie cierpi na tym, lecz przeciwnie, znajdując rynki zbytu na swe towary w przemyśle, rozwija się coraz lepiej. Rzucono się więc na lep tych hasel, zapominając, że rolnictwo nasze nie mniejszej może potrzebuje opieki społecznej, niż nieistniejący dotychczas przemysł. Z drugiej strony nie mając władzy prawodawczej w ręku, nie można było myśleć o prowadzeniu należytej polityki ekonomicznej, aby przemysłowi utorować drogi rozwoju, nasza zaś reprezentacja krajowa, złożona z przedstawicieli większej własności ziemskiej, nie miała powodu entuzjazmowania się hasłem nowym. W ten sposób myśl uprzemysłowienia Galicji, oparta w pierwszym rządzie o program marszałka krajowego Zybkiewicza (r. 1881), została tylko projektem dziennikarskim, nie opartym ani o warunki ekonomiczne ani o politykę odpowiednią władz. I do dzisiaj projekta te pozostały niemal hasłem tylko.

Przemysł w Galicji ma w rzeczy samej nader trudne warunki rozwoju: musi on walczyć ze znacznie lepiej zorganizowanym, bo dawniej istniejącym, przemysłem innych krajów koronnych, a również i z zagranicznym. Walka ta byłaby może łatwiejsza, gdybyśmy mieli stan kupiecki bardziej do swego fachu uzdolniony, niż to jest w Galicji. U nas jednak przeciętny kupiec wcale nie stara się szukać rynków nowych na nabywane towary, lecz zadawalnia się tym, co mu znajomy »Reisender« podsuwa. Stąd trudność wywalczenia miejsca dla towarów przez nowo powstające fabryki produkowanych.

Następnie Galicja posiada warunki naturalne niezbyt sprzyjające rozwojowi przemysłu. Mamy wprawdzie węgiel na zachodzie, a ropę na wschodzie jako

produkta opałowe, jednak węgiel nie jest ani pierwszorzędnej jakości ani też nie połączony z pokładami rudy żelaznej, co jest pierwszą dźwignią rozwoju przemysłu takich krajów, jak Anglja i Niemcy; ropa zaś nie może dla przemysłu mieć tego znaczenia, co węgiel. Ważną przeszkodą jest także brak dobrych dróg wodnych. W każdym jednak razie warunki naturalne mamy w zachodniej części kraju może nie najlepsze do rozwoju fabryk, ale przecież kwestjonować ich istnienia nie można. Mamy też na miejscu robotnika, wyszkolonego w fabrykach i kopalniach amerykańskich.

Jedną z ważniejszych przeszkód zaś jest wspomniany już brak polityki ekonomicznej, chroniącej młody nasz przemysł od konkurencji zagranicznej. Na politykę zewnętrzną wpływ mamy za słaby, zaś na politykę odpowiednią wewnętrzną, opartą o ramy autonomji obecnej kraju, dotychczas nie zdobyliśmy się, boć działalność w tym kierunku Banku krajowego nie jest wcale wystarczającą. Zresztą wogóle, nawet przy najlepszych chęciach, reprezentacja krajowa wiele zdziałać nie potrafi, nie rozporządza bowiem należytyym zakresem władzy prawodawczej.

Brak Galicji również kapitału. Sądzę jednak, że to jest może czynnik co do swego wpływu nie tak doniosły, jak powszechnie się sądzi. Europa jest przeladowana kapitałem, jeżelibyśmy więc stworzyli warunki rozwoju przemysłu, wnetby popłynął ku nam kapitał obcy.

Zdaniem zaś prof. Bujaka¹⁾ najważniejszą przeszkodą uprzemysłowienia Galicji jest brak wyrobienia w tym kierunku społeczeństwa naszego. Uprzemysłowienie więc właściwe chciałby on oprzeć na reformie

¹⁾ Sprawa uprzemysłowienia Galicji. »Ateneum Polskie« r. 1908 Nr. 11 i 12.

wychowania szkolnego, któraby miała nas odrodzić, a może przerodzić na naród bussinesmanów.

Kreślenie planu samodzielnego rozbudzenia przemysłu, lub cytowanie planów już istniejących nie wchodzi w zakres mej pracy. Nie mogę jednak nie podnieść tutaj myśli prof. Bujaka¹⁾, iż w pierwszym rządzie należy pomyśleć o uprzemysłowieniu rolnictwa.

Na dotychczasowy nasz przemysł rolny składa się w głównej mierze gorzelnictwo, które jest po dworach rozwinięte należycie. W miarę jednak parcelacji dworów, upadają i gorzelnie. Należałoby więc, moim zdaniem, zwrócić uwagę na próby zakładania gorzelní spółkowych włościańskich. Powołanym do popierania tej akcji czynnie byłby Bank krajowy, opiekę zaś wzięłyby zapewne Patronat spółek włościańskich Wydziału krajowego.

Należałoby też popierać rozwój wszelkiego rodzaju przemysłu rolnego, lub z rolnictwem w ścisłym związku stojącego. Rodzaj przemysłu rolnego wylicza prof. Bujak cały szereg: cukrownie, browary, młyny, piekarnie, fabryki konserw, tartaki, stolarnie, huty szklane, fabryki wyrobów betonowych, cegielnie, kamieniołomy. Za przykład, jak daleko można w tym kierunku postąpić, podaje autor Danję, gdzie istnieje właściwie tylko przemysł rolny, a pomimo to liczył ten kraj 29% osób czynnych w przemyśle na ogólną ilość pracowników we wszelkich dziedzinach pracy. Galicja zaś wykazuje cyfrę 5.8%.

Niewątpliwie, iż przemysł rolniczy ma łatwiejszą o wiele drogę rozwoju od innych gałęzi: nie powstaje on samorzutnie, lecz jako odłam gospodarstwa rolnego.

¹⁾ tam samo.

Mając odpowiednie warunki rozwoju, może doskonale oprocentować włożony kapitał, a jednocześnie przez stworzenie na miejscu rynku zbytu na produkta rolne, które przetwarza, podnosi dochód z rolnictwa.

Bardzo wielkie znaczenie przyzwyczało się społeczeństwo nasze przypisywać przemysłowi drobnemu czyli włościańskiemu-domowemu. Przemysł ten wobec przeludnienia wsi naszej mógłby niewątpliwie odegrać rolę bardzo ważną, gdyby miał należyte warunki rozwoju. Dotychczasowa akcja jednak dała wyniki dosyć niepewne, boć przemysłu tego nie rozbudowano, jeżeli nie liczyć małych jego ognisk naokoło odnośnych szkół. Chcąc więc zbadać możność rozwoju na przyszłość tego przemysłu, należałoby obliczyć pojemność ewentualnego rynku na jego produkta. Przypuszczam, że obliczenie to wypadłoby bardzo niekorzystnie, boć produkta te najczęściej szłyby nie jako towar codziennego użytku, lecz jako »osobliwości« swojego rodzaju. Wprawdzie może pewne gałęzie rozwinęłyby się pierwotnie, ale wnet napotkałyby na konkurencję materiału fabrycznego — tańszego, a lepszego. Wobec tego, nie odmawiając przemysłowi temu pewnego znaczenia, nie można przecież liczyć na wielki jego rozwój.

Mimo przeszkód różnorodnych przemysł galicyjski chociaż powoli, ale stopniowo się rozwija. Nie trzeba też być ani optymistą zbyt, ani prorokiem, żeby przepowiedzieć, iż będzie on niewątpliwie rozwijał się i na przyszłość, zwalczając napotymane po drodze trudności. Łącznie z tym coraz więcej robotnika będzie znajdowało w nim zatrudnienie, coraz też większy będzie rynek wewnętrzny na płody rolnicze i ogrodnicze. A jednak oczekiwać od przemysłu rozwiązania kwestji przeludnienia byłoby na niczym nie opartą utopją. Wiadomo, jak świetnie rozwijał się w ostatnich

dziesiątkach lat przemysł niemiecki. Mimo to przecież ile ludności zdołał on zaabsorbować? Zapewne nie wiele więcej, niż jej przyrost naturalny wynosił. Wprawdzie obecnie zatrudniają Niemcy także 600.000 do 700.000 robotnika obcego, ale po odliczeniu zwiększenia robocizny w rolnictwie, prawdopodobnie na przemysł wypadnie tylko całkowity przyrost naturalny, który zresztą jest cyfrą olbrzymią, sięgającą rocznie 760.000 ludzi. U nas w Galicji stosunkowy przyrost ludności (naturalny) jest większy nawet niż w Niemczech (17‰ wobec 14‰), jakież więc tempo powinienby przybrać rozwój przemysłu, aby mógł pochłoniąć on cały ów przyrost? A przecież i toby jeszcze kwestji nie rozwiązywało, boć istnieje już obecnie ogromne przeludnienie kraju. Mrzonką więc jest myśl, iż przemysł sam potrafi nam kwestję przeludnienia rozwiązać. Owszem, uznać należy, iż jest on wcale silnym czynnikiem w tym kierunku, dając zatrudnienie jednostkom bezpośrednio lub pośrednio z nim związanym, a jednocześnie wpływając na intensyfikację rolnictwa. Ale przeceniać go nie można — tylko bowiem w połączeniu z innymi czynnikami, skuteczniejszymi odeń, może on przyczynić się do rozwiązania kwestji przeludnienia.

Jakśmy widzieli z rozdziału II, kwestję przeludnienia w obecnej chwili reguluje w znacznym stopniu prąd wychodźstwa zarobkowego naszej ludności rolnej. O stronach ujemnych i dodatnich ruchu tego jużem mówił, nie omówiony tylko został ten odłam wychodźców, który wyprowadza się z kraju naszego na stałe, aby szukać sobie nowej ojczyzny. Tego rodzaju emigracja da się u nas podzielić na dwie kategorie: mniej liczną emigrację osadniczą do Ameryki południowej,

Kanady a czasami i innych części świata i liczniejszą od niej emigrację zarobkową na stałe przeważnie do Stanów Zjednoczonych. Ta druga kategoria nie da się zupełnie oddzielić od wychodźstwa zarobkowego czasowego; składają się też na nią przeważnie ludzie, którzy pierwotnie zamierzali wyjechać na czas pewien, później jednak z tych czy innych powodów musieli zaniechać powrotu do kraju. W ten sposób powstało owe 3 miljonowe społeczeństwo polskie w Ameryce północnej. Jakem mówił też, grozi mu poważne niebezpieczeństwo rozlania się w morzu anglo-saskim. Z tego powodu wychodźstwo amerykańskie na stałe uważać można tylko za upust sił żywotnych narodu. Z punktu widzenia naszego posiadania narodowego o wiele lepsze jest wychodźstwo osadnicze, jednakże pod tym warunkiem, aby osadnicy polscy stanowili skupienia większe, któreby przez to nie były narażone na wynarodowienie.

Osadnictwo polskie istnieje, a ściślej mówiąc rozwija się i na terenie Stanów Zjednoczonych. Rekrutuje się jednak ono w głównej mierze nie z nowych przybyszów ze starego kraju, lecz z osiadłych już w Ameryce robotników. Fermy polskie choć rzadkie mamy rozrzucone po całym niemal terytorjum stanów północno-wschodnich. Znaczenia jednak dla nas mieć one nie mogą, ponieważ właściciele ich niewątpliwie prędzej czy później będą musieli ulec wynarodowieniu. Inaczej przedstawia się sprawa z projektowaną obecnie przez Związek Narodu Polskiego kolonizacją stanu Wisconsin i częściowo Michiganu. Obecnie otworzyły się tam znaczne tereny ziemi wolnej po wyeksploatowaniu z nich lasów. Istnieje więc projekt założenia banku kolonizacyjnego, któryby nabył te ziemie i rozsprzedał fermerom polskim.

Myśl to dobra, ponieważ Wisconsin i Michigan

skupiają na swym terytorjum lub w pobliżu znaczne rzesze Polaków — w Milwaukee, w Chicago, prócz tego mają te stany wiele dróg żelaznych i wodnych (jeziora), klimat zaś odpowiada klimatowi północnych części Królestwa Polskiego. Skupienie więc żywiołu polskiego w tych okolicach na roli byłoby ogromnym zyskiem dla polonji amerykańskiej, ponieważ stworzyłoby się stałe ognisko życia polskiego, nie zagrożone wynarodowieniem. Oddziaływałoby ono i na resztę rozsianych po miastach Polaków.

Projekta kolonizacji stanów zachodnich, są prawdopodobnie mniej celowe.

Kanada również jest pewną atrakcją dla ludności naszej, szukającej ziemi za oceanem. Jadą tam w pierwszej linii Rusini, a w mniejszym stopniu Polacy. Jako o terenie kolonizacyjnym mówi się zwykle o prowincji Albercie a częściowo i o Ontario i Manitobie, gdzie też kolonie polskie i ruskie się skupiają. Nie stanowią one tam jednak zwartych osad polskich lub ruskich, przez co ludność nasza narażona jest na wynarodowienie. Warunki naturalne rolnictwa tych prowincji nie są złe, chociaż klimat ich, zwłaszcza Alberty, jest już zbyt surowy; natomiast warunki ekonomiczne naogół są trudne wskutek wielkiej odległości od rynków zbytu produktów rolniczych.

O ile więc Ameryka północna, zwłaszcza stan Winconsin uważana być może za dobry teren dla kolonizacji przez ludność naszą już tam zamieszkałą, o tyle z drugiej strony kierowanie tam wychodźców naszych z Galicji byłoby wcale nie do polecenia, jak również wychodźstwo zarobkowe na stałe do krajów tych tylko upustem krwi być może.

Życie jednak nie pyta nas o zdanie, wypychając za ocean bardzo wielkie rzesze przesiedleńców.

Cyfra emigracji na stałe do innych krajów poza Stanami Zjednoczonymi i Kanadą jest stosunkowo nie wielka, jeżeli pominąć lata gorączki brazylijskiej. Gdybyśmy więc mieli cyfry emigracji tej choćby ogólne tylko, moglibyśmy nabrać pojęcia jakich rozmiarów sięga ona dla Ameryki Północnej. Pewne światło rzucić mogą dane Dra Caro, który twierdzi iż z 50.000 rocznie emigrujących do Ameryki Polaków z Galicji (dla r. 1904/5), wraca najwyżej trzecia część, a więc na stałe pozostaje tam rocznie około 30.000 Polaków i 9.000 Rusinów (emigrowało ich w r. 1904/5 14.500)¹⁾. Cyfra zaś przyrostu rzeczywistego ludności (rocznie 10⁰/₁₀₀). w porównaniu z przyrostem naturalnym (17⁰/₁₀₀) wykazuje, iż blisko 7⁰/₁₀₀ swej ludności traci nasz kraj przez emigrację na stałe. Wyniosłoby to około 56.000 osób. Jeżeli zważywszy, że bardzo wiele emigruje od nas Żydów, przekonamy się, że cyfry Dra Cara są dosyć prawdopodobne.

Mówiąc więc o kwestji rolnej, nie można pozostawić bez wzmianki tego ruchu emigracyjnego, który jest z nią ściśle związany. Przedstawia on bardzo poważny objaw życia społecznego i to przeważnie w znaczeniu dla kraju naszego ujemnym. Nasuwa się więc też pytanie, czyby nie dało się ruchu tego ująć w pewne ramy, któreby albo znosiły jego cechy ujemne, albo nawet nadawały mu cech dodatnich.

Ruch wychodzący na stałe z pewnego kraju może mieć dla tego kraju tylko wtedy znaczenie dodatnie, gdy przybiera on cechy osadnictwa na terenach no-

¹⁾ Rok 1904/5 może być niejako klasycznym dla naszej emigracji, ponieważ daty późniejsze byłyby zmienione różnymi wpływami — przesileniem w przemyśle, obecnymi szczykanami; poprzednie zaś są zbyt niskie.

wych, a nie grozi mu wynarodowienie. Stwarza się wtedy kolonję metropolji, kolonję, będącą rynkiem zbytu na jej towary. Dla nas stworzenie własnej kolonji nie jest możliwe, nie posiadamy bowiem na to ani samodzielnego bytu politycznego, ani szukającego za morzem rynków zbytu przemysłu i związanych z nim dróg morskich. Jednakże Ameryka południowa dotychczas jest krajem niezmiernie słabo zaludnionym, gdziebyśmy może własnych kolonji zakładać nie mogli, jednakże moglibyśmy wysyłać swoich kolonistów, którzyby stworzyli tam nowe skupione społeczeństwo polskie. Materjalny zysk dla kraju byłby przez to nie wielki, ale materjalny zysk narodu — olbrzymi: emigracja osadnicza — to zdobywanie nowych terenów, rozszerzanie stanu posiadania narodowego. Każdy zdobyty przez kolonistę nowy hektar ziemi to plus w bilansie naszego majątku narodowego. Zwodny byłby ten plus, gdyby kolonista narażony był na wynarodowienie. Jeżeli jednak to mu nie grozi, to jest już zysk zupełnie pewny.

A więc, aby emigrację naszej ludności rolnej, wyjeżdżającej na stałe, wyzyskać na korzyść społeczeństwa naszego, należałoby ją skierować na takie tereny, gdzieby mogła ona stworzyć nową naszą dzielnicę. Z drugiej strony, regulowana przez wychodźstwo kwestja przeludnienia zaostrza się u nas w ostatnich czasach przez utrudnienia immigracyjne w Stanach Zjednoczonych. Przez to zwiększy się nieproporcjonalnie podaż robotnika naszego na rynku pracy Europy Zachodniej. Wprawdzie zdobywamy tam dla niego coraz nowsze tereny, ale zważywszy, iż ruch obieżysaski wzmaga się co roku drogą naturalną, musimy uznać, że nadprogramowe jego zwiększenie przez zamknięcie dostępu do Ameryki północnej jest bardzo groźne. Z tego powodu również

skierowanie pewnej ilości wychodźstwa do Ameryki południowej także wskazanym by było. Wreszcie kwestja rolna, jako taka, wymagająca tworzenia gospodarstw włościańskich należytych rozmiarów, dałaby się łatwiej rozwiązać, gdyby wieś nasza uległa pewnej i to nie małej depopulacji. Dopopulacja taka maximum korzyści oddałaby nam mogła, gdyby wypchnięta ze wsi ludność została nie robotnikiem przemysłu i rolnictwa po za naszym krajem, lecz zdobyła sobie warsztat własny pracy, w pierwszym rzędzie ziemię na terenie nowym.

Z jednej więc strony mamy już wychodźstwo na stałe, które jednak marnuje się dla narodu naszego, z drugiej — warunki wewnętrzne zmuszają nas do szukania terenów wolnych dla nadmiaru ludności naszej, która dotychczas jeszcze nie uległa temu ruchowi. Obowiązkiem więc społeczeństwa powinno być ujęcie w pewne ramy wychodźstwa osadniczego, aby zadaniom powyższym sprostać.

Emigracja ludności naszej do Ameryki południowej jest przez większą część społeczeństwa traktowana jako coś wręcz szkodliwego, jako jazda za morze »na złamanie karku«. W ostatnich tylko latach daje się zauważyć pewien zwrot opinji, czego dowodem było wysłanie przez Centralne Towarzystwo rolnicze w Królestwie Polskim p. Ludwika Włodka jako delegata do obejrzenia kolonji polskich w Brazyliji. Sprawozdanie p. Włodka oraz artykuły poświęcone kolonjom nowym w Brazyliji, pomieszczone przez »Polski Przegląd Emigracyjny«, stopniowo zmieniają tę opinję.

Nieprzychylne, albo wręcz wrogie usposobienie społeczeństwa naszego względem Brazyliji należy w pierwszym rzędzie przypisać pamiętnym gorączkom emigracyjnym do tego kraju. Ówczesny ruch masowy zwłaszcza pierwszy — w latach 70-tych, zupełnie samopas

puszczony, naraził emigrantów na masę nieszczęść — wiele z nich zmarniało zupełnie, wiele w okropnej nędzy wróciło do kraju. Roztkliwionej zaś prasie naszej to było tylko znakomitą sposobnością do rozdierania szat. Stąd więc powstało mniemanie, że Brazylja to piekło na ziemi.

Z drugiej strony spory odłam społeczeństwa naszego, zwłaszcza klasy rządzące w Galicji, jest wrogo usposobiony względem każdego objawu emigracji jako czynnika, wpływającego na zmniejszenie ilości robotnika rolnego w kraju. Wielka zaś część prasy, jak również domorośli politycy i ekonomiści, uważają emigrację za szkodliwą tylko przez wzgląd na odrywanie się od pnia ojczyzstego rzesz ludności, które nieraz narażone bywają na poniewierkę; nim dobiją się czegoś, muszą przechodzić ciężkie lata próby i niedoli. Zresztą większość tego rodzaju przeciwników emigracji osadniczej sama sobie dobrze sprawy nie zdaje z przeświadczenia swego, kierując się tylko instynktem gromadnym, a może ślamazarnością, która boi się każdego poruszenia energiczniejszego, aby nie nabić guza. A kiedy mimo tych narzekań i jęków lud nasz, gnany potrzebą, rusza za morze, załamują ci ludzie tylko ręce, patrząc na to, jak kwoka na wyprowadzone przez się kaczęta, gdy wypłyną na wodę.

Trafiają się wreszcie głosy, wprawdzie coraz rzadsze, iż emigracja jest nam szkodliwa, ponieważ nie doszliśmy jeszcze do należytego zagęszczenia ludności.

Wszystkie te głosy świadczą dosadnie o naszym niedołęstwie tylko: coroku kilkadziesiąt tysięcy ludności wyjeżdża z Galicji na stałe. Zamiast więc ująć ten ruch w pewne ramy, zamiast nadać mu należyty kierunek, zadawalniamy się tylko debatowaniem, czy jest on w zasadzie pożyteczny, czy szkodliwy — w za-

sadzie tylko, gdyż de facto nie zdajemy sobie sprawy, nie tylko z jego rozmiarów, ale wprost z istnienia.

Terenem wychodźstwa naszego do Ameryki południowej jest przeważnie Brazylja, nieznaczny bowiem tylko odłam emigracji osiadł w Argentynie. Najwięcej Polaków skupia się w stanie Parana, mniej już nieco Rio Grande do Sul i Sta Catarina, a jeszcze mniej w São Paulo i Minas Geraes. Naogół Brazylja zajmuje olbrzymią przestrzeń z górą 8 milionów kilometrów kwadratowych, na której żyje nie całe 20 milionów ludności. Większa część tego obszaru wcale jest niezdatna pod jakiegokolwiek kolonje, a zwłaszcza naszej ludności, posiada bowiem zabójczy klimat podzwrotnikowy. Trzy tylko stany, wysunięte na południe (Parana, Sta Catarina i Rio Grande do Sul) posiadają klimat zdrowy i dla nas, a nawet, jak Parana, wprost znakomity. Największą atrakcją emigracji naszej jest, a i powinna być właśnie Parana. Zajmuje ona około 240.000 klm², a więc trzy razy tyle, co Galicja. Mniej więcej połowa tej przestrzeni jest nie zbadana. Znana połowa — wschodnia — przedstawia z wyjątkiem pasu nadmorskiego wysokie płaskowzgórze (od 1000 do 600 m nad poziom morza) łagodnie spadające ku zachodowi, ku rzece Parana. Klimat Parany opisuje dosyć dokładnie p. Szyszło we »Wszechświecie«¹⁾.

Dla części wschodniej, ale już na płaskowzgórzu położonej, t. j. tam gdzie skupiają się kolonje polskie i leży miasto Kurytyba, temperatura roczna wynosi 17° C z wahaniami od 13° C (lipiec) do 21° C (styczeń). Największe upały nie przekraczają zwykle 30° C, zaś

¹⁾ W. Szyszło: Warunki klimatyczne Parany. Wszechświat, r. 1908 Nr. 34.

mrozy, a raczej przymrozki sięgają -5°C . Opadów atmosferycznych wykazuje ta część kraju około 1500 mm.

Gleba Parany, przeważnie z pod lasu, jak jednogłośnie wszyscy znający ją stwierdzają, jest w części wcale dobra, w części zaś wprost znakomita, która, jak przypuszczam, musi być laterytem — a więc najurodzajniejszą glebą, jaka wogóle zdarza się na kuli ziemskiej. Za złą glebę uważane są ziemie z pod »camposów« czyli z części bezleśnych kraju. Mimo to próby wykazały w ostatnich czasach, że na niej przy należytej uprawie wszystko się znakomicie rodzi. Lasy Parany oprócz znakomitego budulca i wszelkiego rodzaju materiałów stolarskich dają znaną herbatę brazylijską (herva mate). Drzewka herwowe rosną tylko na glebach uboższych, dając znakomite dochody ich plantatorom, będąc więc jakby rekompensatą za niezbyt urodzajną rolę.

Warunki geograficzne Parany są natomiast niezbyt pomyślne — posiada ona tylko niewielki skrawek morza, do którego dostęp przegrodzony jest pasmem górskim (Serra do Mar). Najlepszy odpowiadający Paranie port — St. Francisco — leży już na terytorjum Sta Catariny. Rzeki wszystkie płyną do Parany, która prowadzi następnie przez terytorjum Argentyny, przytym są one pełne katarakt i wodospadów. W każdym razie dostęp do morza jest, istnieje też kolej z Kurytyby do Paranagua — portu parańskiego.

Stan Sta Catarina, mniejszy od Parany, również byłby bardzo odpowiedni dla nas, gdyby nie licznie rozsiane już tam kolonje niemieckie. W każdym razie i on ewentualnie mógłby nam służyć. Najbardziej na południe wysunięty stan Rio Grande do Sul co do przestrzeni przewyższa niemal dwukrotnie Parane, zaś ogólne warunki kolonizacji ma też podobno bardzo dobre. Na-

tomiast stany São Paulo, Minas Geraes a także Espirito Santo nieodpowiednie już są dla nas, chociaż pewna ilość kolonji naszych już tam istnieje. Posiadają one i klimat zabójczy i zaludnione są silniej, niż Parana. Ziemia np. w São Paulo jest droga — »kolonistów« zwabia się tam głównie aby mieć robotnika na plantacjach kawy.

W Paranie podług danych, zebranych przez p. Włodka¹⁾ i konsulat austro-węgierski w Kurytybie, mieszka około 50.000 Polaków i 20.000 Rusinów. Są to przeważnie koloniści, którzy otrzymawszy na dogodnie splety 25 hektarowe loty (niektórym dawano pierwotnie mniej), siedzą obecnie na własnych gospodarstwach, dokupując gdzie się da ziemi. Przez to dokupno doszli niektórzy z nich do posiadania setek, a nawet tysięcy hektarów ziemi. Pomimo nader nieumiejętnej gospodarki, powodzi im się naogół dobrze, niektórym nawet znakomicie. Dla ilustracji stosunków parańskich niech mi wolno będzie przytoczyć głos ks. Anusza z Araucarii. Oto co pisze on do »Pol. Przeglądu Emigracyjnego«:

»Kol. Araukaria (Parana, Brazylja), dnia 29/IX. 1908.

Już to pogoda w tym roku dopisuje nam doskonale. Pogodnie odbyła się orka i zasiew żyta, a teraz znowuż przy pięknym czasie odbywa się cięcie lasów i ros²⁾ pod kukurydzą.

Gdy wyjdę na balkon domu — w dzień jak tylko okiem sięgnąć można, widać dymy, a w nocy, hen, hen

¹⁾ L. Włodek: Memorjał z podróży do Parany dla Centr. Tow. roln. Także Ekonomista r. 1909 zes. I i II.

²⁾ Rosa — gaj po ściętym lesie, który się przycina i pali a na spalisku sadi zwykle kukurydzą i czarną fasolę.

daleko na horyzoncie czerwienią się łuny — to polscy koloniści palą lasy i »rosy«, przygotowując ziemię pod uprawę. Wszędzie widać życie, wszędzie znać rękę człowieka. I las na całych milach wyłysiał i step stracił dawną swą dziewiczość. Gdzie przedtym niebotyczne pinjory (*araucaria brasiliensis*) i barczyste imbuje, teraz stoją chaty i buja żyto, kukurydza. Na stepach pasą się konie i bydło. A wszystko to stało się tak niedawno, tak raptownie! Jeszcze piętnaście lat temu na całej przestrzeni mej parafji (parafja Araukaria ma 72 kilometry wzdłuż i 27 wszerz) nie było ani jednego polskiego kolonisty, tylko tu i owdzie, w puszczy siedział »kaboklo«, a jedynymi drogami komunikacyjnymi były ścieżki. Polacy, wychodźcy z Galicji osadzeni byli przed trzydziestu laty na kolonji Thomas Coelho w liczbie sześciuset rodzin i to byli jedyni i najbliżsi sąsiedzi Araukarii.

Biedny polski przychodźca z pod Gorlic i Jasła, dawny parobek i wyrobnik, gdy się dostał do Parany, gdy mu odmierzili czteroalkrowy szmat ziemi (alkier zawiera 24.200 metrów kwadratowych) porosły prawie dziewiczym lasem, zadrżał na jego widok z radości i strachu. Cieszył się, że on, niedawny nędzarz, jest teraz właścicielem i czuł dreszcz strachu na widok tysiącletnich olbrzymów puszczy. Jak się do nich zabrać, jak je powalić! Wszystkie one stoją butnie, posplatawszy się konarami, a gibkie ljaney, jak potężne liny, wiążą po kilka drzew w jedną zieloną masę. Ale trzeba się było wziąć do pracy, by coś zasadzić, by mieć, bo rok przeleci i rząd przestanie dawać zapomogi.

Chłop przeżegnał się, podrapał w głowę, znowu przeżegnał, plunął w garść, stęknął i uderzył. Siekiera wbiła się w pień, ale olbrzym ani drgnął.

Chłop rąbał i rąbał, pot lał się mu z czoła, aż na koniec wieloletni olbrzym zachwiał się, zatrzeszczał i pochyliwszy wsparł na sąsiadach. Jak go pozbawić opory, jak powalić na ziemię? Biedny kolonista i drapał się na niego, by mu podciąć gałęzie, i obrąbywał ljanya i ciął podszycie, aż, po wielu trudach, zwałił olbrzyma. Westchnął z ulgi i... troski, że trzeba się brać do drugiego. I tak ciął i ciął, rąbał i rąbał tygodnie całe, a później palił i pomiędzy opalonemi kłodami drzew sadził, a gdy chleb rósł, ciął dalej, stawiał chatę, grodził płot. Zboże wyrosło i dało plon, plon obfity. Na rok następny zrąbał i zasadził więcej. Przybywało mu czystego pola, przybywało chudoby, pieniędzy, pewności siebie i gdy przeszło z górą lat dziesiątek, dawnemu parobkowi i wyrobnikowi wydało się mało cztery alkry ziemi. Zapragnął mieć więcej. Wszak tuż za kolonją ciągną się nieprzejrzone obszary stepów i lasów. Ale jak tu się ruszyć z pośród swoich, jak iść pomiędzy Brazyljan? Znalazł się śmiałek i ruszył. Za nim poszli inni i obecnie w przeciągu lat piętnastu, trzy czwarte ziemi w parafji Araucaria z wolnej ręki wykupili Polacy, a teraz przechodzą w sąsiednie municipium Lapa i jak lawa suną naprzód. Już nie boją się lasów. Owszem rwą się do nich, bo widzą, że im gdzie tęższy las, tym ziemia lepsza. Do rąbania zabierają się z całą swobodą. Wiedzą od którego drzewa zacząć, by się nie zatrzymało o inne, który pień podciąć, by porwał ljanya i padł na ziemię.

Lubię patrzeć na wychowanych lub tu w Paranie wyrosłych kolonistów! Gdy sobie przypominam dawnych mych parafjan z Zamojskiego i Biłgorajskiego, gdy ich porównywan z Araucaryjskiemi, jakąż wielką różnicą! Tamten, to zgnębiony, zbity, obawiający

się wszystkiego niewolnik, a ten — pewny siebie pracownik, znający swą moc i wartość osadnik. Małomówny, stateczny, bezpański, o charakterze tak silnym, jak kanele lasów parańskich, a tak szerokim jak przestrzenie, naszych stepów. Nawet w kościele modlą się inaczej, niż europejscy rodacy.

I harde to dusze siedzą w nowym pokoleniu! Wychowane na swobodzie, przyzwyczajone do walki i zwycięstwa z lasem nie uznaje żadnej władzy i wszystko chce brać siłą...

Jeszcze więcej pochwał znajduje Parana w słowach p. Jana Hempla, który jedną ze swych korespondencji kończy w te słowa:

»Czwarty rok dobiega do końca od czasu, gdy przyjechałem do Parany; zawsze jestem gorącym tego cudnego kraju wielbicielem. Kocham Paranę za jej klimat tak rozkosznie ciepły, a przytym tak nieporównanie zdrowy; za jej bujną ziemię; za to, że chłop polski rozrasta tu się szeroko, bujnie, że mnoży się i lataroślami swemi kraj cały pokryć się zabiera; a przede wszystkim kocham Paranę za to rozkoszne poczucie wolności, którego w całej pełni doznaje się dopiero wtedy, gdy po paroletnim tutaj pobycie spojrzysz się w tył na Europę, wówczas Europa wydaje się ciasna, duszna, mała, zdaje się, że tam u Was ani odetchnąć czystym powietrzem nie można, ani zamachnąć się nie można, bo zaraz kogoś trzeba potrącić...«

A więc jako teren naturalny Parana, jak również dwa na południe od niej położone stany uznane być muszą nie tylko za odpowiednie dla naszego wychodźstwa osadniczego, lecz niemal za idealne. Gdybyśmy mogli rozszerzyć w nich stan swego posiadania, zdobylibyśmy w ten sposób pole dla ekspansji

narodu naszego na długie lata. Brazylja dotychczas jest w większej swej części krajem zupełnie dziewiczym, nie zajęтым. Z czasem w miarę rozrostu ludności i ulepszeń technicznych w sanacji stosunków klimatycznych, niezajęte ziemie będą się kolonizowały. Polacy zaś, mający między obywatelami Brazylji wiele swych rodaków, będą też mieli i do tych nowych kolonji dostęp ułatwiony. Zresztą nie sięgając wzrokiem tak daleko, należy przecież przyznać, że zawładnięcie choćby tylko jedną Paraną przez naszych kolonistów, mogłoby dać chleb kilku a nawet kilkunastu milionom ludności naszej. Słowem, że warunki naturalne pozwalają nam na utworzenie tam za oceanem rzeczywiście czwartej dzielnicy Polski.

Aby jednak nie być jednostronnym przyjrzyjmy się nieco odwrotnej stronie medalu — wadom Parany i sąsiednich stanów. Naogół można powiedzieć, że o ile warunki naturalne przedstawiają się pomyślnie, o tyle warunki społeczne rozwoju naszej kolonizacji są niepomyślne. Wprawdzie demokratyczny ustrój państwowy Brazylji jest tutaj ogromnym plusem, ułatwiającym taką czy owaką pracę społeczną, to jednak jest to kraj dotychczas dziki. Rząd i wszelkie władze znajdują się w rękach ludzi najczęściej zupełnie niezdatnych do tego, dbających tylko o swoją korzyść. Kolonizowanie ziem państwowych odbywa się w tempie niezmiernie powolnym — to, co zrobiliby np. Anglicy w kilka tygodni, ciągnie się w ręką Brazyłjan latami. Prawodawstwo jest też pierwotne — niema np. prawa hipotecznego, w ściąganiu podatków panuje chaos i wogóle podatki często są zabójcze dla pewnych gałęzi gospodarstwa społecznego. Komunikacja kolejowa i kołowa jest dopiero w zarodku — słowem pa-

nują stosunki pierwotne — zupełnego braku organizacji społecznej. Przez to i warunki naturalne wykazują te strony ujemne, któreby przy należytej organizacji społecznej nie istniały niemal — np. grasuje szarańcza, którą wcale nie tak trudno wytepić siłami zbiorowemi.

Te więc wady ustroju społecznego są główną przyczyną, hamującą nasze wychodźtvo. Czy jednak mamy prawo narzekać na to? Zdaje się, że nie, bo przecież, chcąc zdobyć tereny nowe dla ludności naszej, nie można oczekiwać, że jakiś dobroczyńca się znajdzie, który wszystko uporządkuje, przeprowadzi drogi, stworzy prawodawstwo odpowiednie dla nie istniejących na razie obywateli i wtedy powie nam — przybywajcie! Sądzę, że tylko nasze niedołęstwo winić należy, iż puszczamy ludzi do Brazylii na złamanie karku, wcale nie zatroszczywszy się o zorganizowanie należyte ruchu emigracyjnego do tego kraju.

Aby powstało na nowym terenie społeczeństwo nasze, nie może składać się ono wyłącznie tylko z chłopu kolonisty. Wprawdzie rolnictwo może i tam być podstawą naszego bytu narodowego, to jednak społeczeństwo o jednej warstwie rolników istnieć nie może. Dotychczas jednak poza nieliczną inteligencją, i pół inteligencją, a także niewielką liczbą rzemieślników, mamy w Paranie samych chłopów naszych. Jednakże już w tych warunkach rozwój tego skupienia Polaków na prawdziwe społeczeństwo już się odbywa. Oto po wsiach powstaje warstwa kapitalistów drobnych ze sklepikarzy miejscowych, zaś w Kurytybie wielu rzemieślników też dorobiło się niemałego majątku. Narazie wprawdzie nie myślą oni o dawaniu wykształcenia swym dzieciom, jednakże z czasem prąd w tym kie-

runku zjawić się musi, i wtedy stworzy sobie Parana sama klasę ludzi wykształconych, poświęconych różnym zawodom.

Moim zdaniem, można byłoby uzyskać jeszcze jeden czynnik, podnoszący wartość społeczeństwa polskiego w Brazylii. Mam na myśli emigrację ludzi z pewnym wykształceniem wprost na kolonistów do Brazylii. W Galicji mamy obecnie sporo gimnazjów, które przeważnie wychowują dzieci okolicznych włościan. Większość wychowanków tych szkół szuka później zajęcia po różnych biurach i urzędach, zajmując naogół posady lichy płatne i ciągle klepiąc biedę. Bez szkody dla społeczeństwa, a z wielką korzyścią dla nich, mogłaby część tej kategorii naszego społeczeństwa wyemigrować do Brazylii na kolonje. Potrzeby ludzie ci mają jeszcze bardzo niskie, do pracy na roli przyzwyczaili się w domu rodziców. Dlaczegożby więc nie mogli zostać kolonistami? Praca umiejtna na roli w Paranie opłaca się znakomicie, o wiele lepiej, niż u nas, a więc nie trudno im byłoby zdobyć środki na kształcenie dzieci w szkołach średnich i wyższych. Wogóle, mając przewagę intelektualną nad resztą kolonistów, nie tylko byliby oni pionierami postępu ekonomicznego i społecznego, lecz łatwiejby się dorabiali, niż inni koloniści.

I kto wie, czy prąd podobnej emigracji nie zbudzi się u nas wobec coraz większej nadprodukcji ludzi z maturą gimnazjalną, a bez żadnego fachu.

Tak, czy owak powstałe nowe społeczeństwo nasze bezwarunkowo różnić się będzie od nas, w kraju starym zamieszkałych. Różnica będzie podobna, jak między Anglią a Stanami Zjednoczonymi. Społeczeństwo więc nowe będzie nawskróś demokratyczne, bardziej rzutkie i energiczne, za to o wiele mniej kultu-

ralne. Nie mówię już o kulturze ducha, która dostępna jest jednostkom społeczeństw starszych. I ta jednak powierzchowna kultura, polegająca na zwiększeniu rzeczywistym potrzeb, uspołecznieniu t. j. przystosowaniu się do życia zbiorowego i t. p. będzie musiała być wiele niższą, od i tak niskiej kultury naszej w starym kraju. Za to silna demokratyzacja rozleje ją po wszystkich warstwach społecznych, tak że ostatecznie chłop z Parany będzie z czasem zapewne bardziej kulturalny, niż nasz obecny Maciek.

Reasumując to, com o kolonizacji naszej w Brazylii powiedział, muszę dojść do przekonania, że dla rozwoju naszego narodowego mogłaby ona mieć znaczenie pierwszorzędne. Z drugiej strony przeludnienie wypycha z Galicji sporo wychodźstwa stałego, a jeszcze więcej wypychać go będzie z czasem. Dążeniem więc naszym powinno być skierowanie tego ruchu do Brazylii.

Kolonizacja Brazylii jest w obecnych warunkach o tyle utrudniona, iż kolonizowane przez rząd przestrzenie są albo nie wymierzone jeszcze, albo już zajęte. Wogóle z rządem tamecznym sprawa jest trudna, chcąc więc poprowadzić kolonizację należycie należałoby oprzeć się o jakąś organizację bardziej sprężystą. Najbardziej wskazaneby było za wiązanie towarzystwa lub banku kolonizacyjnego z kilku lub kilkunastu miljonowym kapitałem, któryby nabywszy olbrzymie przestrzenie ziemi, kolonizował ją między naszymi osadnikami. Finansowo interes ten przedstawiałby się znakomicie, ponieważ większe obszary można dotychczas w Paranie nabywać po parę koron za hektar, rząd zaś przynajmniej w chwili obecnej płaci

za przejazd wszystkich emigrantów podpokładowych od portów europejskich.

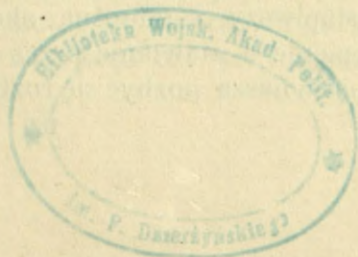
Że u nas kapitał potrzebny nie znalazłby się, o tym nie można wątpić, wobec czego należałoby może uciec się do kapitałów zagranicznych, np. francuskich. Byłoby już to gorsze, bo nie mielibyśmy pewności, czy nie zechce taki bank obok Polaków i Rusinów, sprowadzać Włochów, Hiszpanów i t. p., z drugiej jednak strony, mając poparcie energiczniejszego rządu niż nasz, będzie on miał większą swobodę działania. Może jeszcze łatwiejsze byłoby nawiązanie w tym względzie stosunku z kompanją kolejową Rio Grande do Sul — São Paulo, która otrzymała od rządu brazylijskiego wielkie obszary ziemi, wzdłuż jej kolei (budującej się obecnie) położone. Kompanji tej bardzo na rękę by było szybkie rozkolonizowanie jej ziemi — ewentualnie zaś z jej łona mógłby powstać bank kolonizacyjny, dla kolonizacji kupowanych z rąk prywatnych obszarów. Z kompanją tą należałoby nawiązać stosunki i podjąć się dostarczania jej kolonistów na wymierzone i przygotowane do oddania loty. Przypuszczam, że najbardziej do tego powołanym byłoby Polskie Towarzystwo Emigracyjne.

Przy dobrych chęciach i należytej energii niewątpliwie można byłoby znaleźć tę czy inną drogę kolonizacji Parany przez chłopą naszego. Chodzi w pierwszej linji tylko o to, aby śmiało i publicznie przyznać, że kolonizacja ta nie byłaby złem, lecz przeciwnie dobrodziejstwem dla naszego kraju, a zwłaszcza narodu. Należy więc przekonać w tym kierunku opinię publiczną, aby wystąpiwszy z odnośną akcją, nie narazić się na jej potępienie i stawianie przez nią przeszkód. Powinna raz opinja nasza pozbyć się roztkli-

wienia kokoszki, chcącej wszystkie pisklęta mieć pod skrzydłami, powinna też ona pozbyć się owego altruizmu jęczącego, który tylko szaty rozdierać potrafi, a do żadnej pracy pozytywnej jest niezdolny. Nie powinniśmy ciągle tylko rozpaczać nad niedolą naszego emigranta, boć bez emigracji już obyć się nie możemy; a że niejeden z wychodźców po drodze zginie lub się zmarnuje — na to rady niema: gdzie drwa rąbią, drzazgi lecą.

Dla kwestji rolnej w Galicji, rozwiązanie kwestji emigracji do Brazylii miałyby znaczenie pierwszorzędne: Przedewszystkim nastąpiłaby pewna depopulacja wsi. Następnie świadomość tego, że wpływianie na podnoszenie rozmiarów gospodarstw chłopskich nie pociągnie za sobą proletaryzacji wsi, gdyż bezrolni powędrują do Brazylii, rozwiązałyby nam ręce w tym kierunku i możnaby akcję odnośną prowadzić energiczniej i bezwzględniej. Wszyscy ekonomiści zgadzają się, że kwestję przeludnienia w Galicji i związaną z nią kwestję rolną dałoby się uregulować przez znaczne podniesienie produktyjności kraju. Jabym powiedział, że da się ją rozwiązać także przez podniesienie produktyjności narodu, bez względu na to, czy naród ten zostanie w całości na starych siedzibach, czy też zdobydzie sobie także nowe tereny. Wyładujmy więc naszą ekspansję w stronę Brazylii, a kwestja rolna w kraju da się już wiele łatwiej rozwiązać.

K O N I E C.





46849/
R